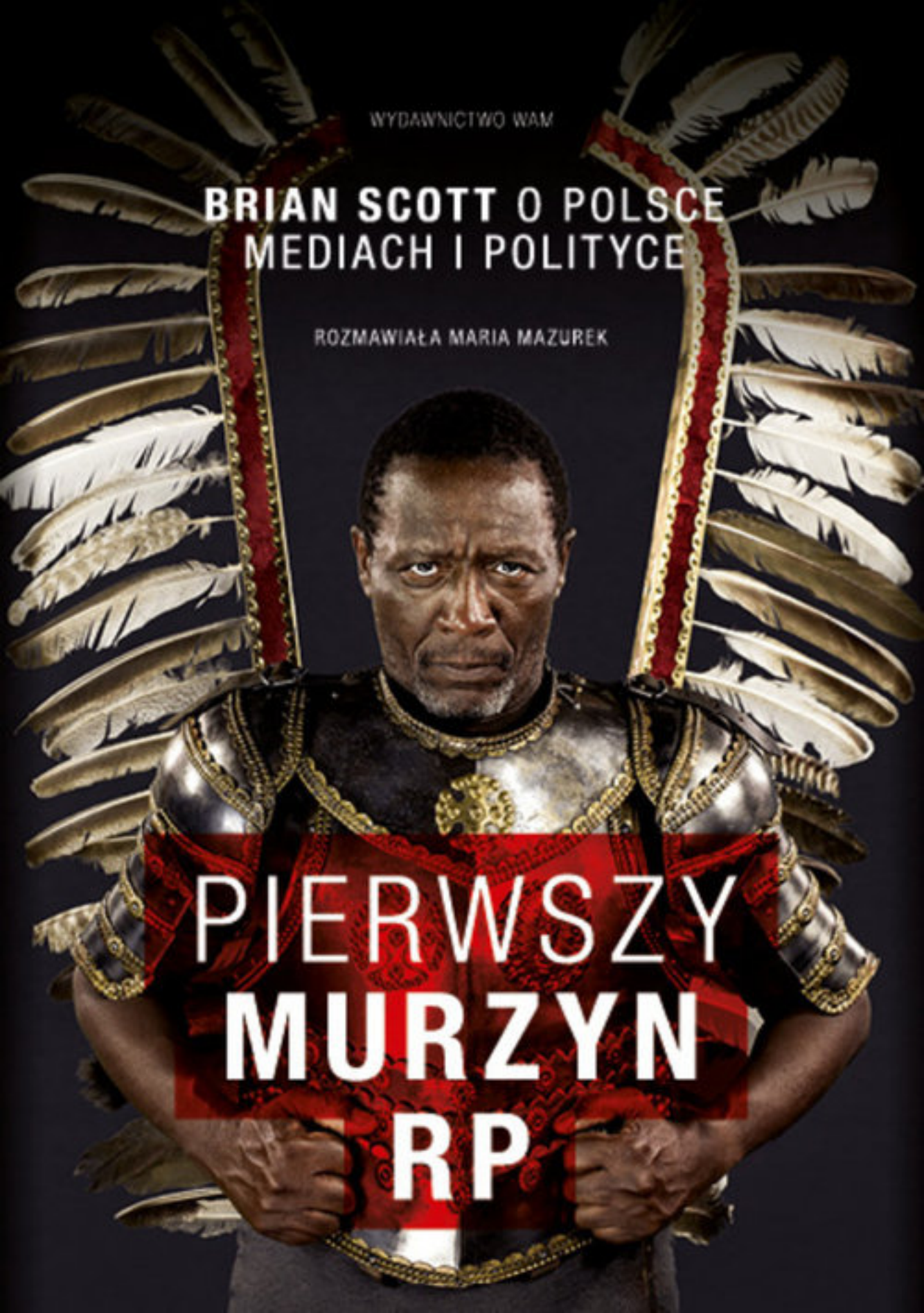


WYDAWNICTWO WAM

**BRIAN SCOTT O POLSCE
MEDIACH I POLITYCE**

ROZMAWIAŁA MARIA MAZUREK

A photograph of Brian Scott, a Black man with a serious expression, wearing a traditional Native American headdress with many white and brown feathers. He is also wearing a red and black patterned garment with gold trim. The background is dark.

**PIERWSZY
MURZYN
RP**

**BRIAN SCOTT O POLSCE
MEDIACH I POLITYCE**

ROZMAWIAŁA MARIA MAZUREK

**PIERWSZY
MURZYN
RP**

WYDAWNICTWO WAM

WYDAWNICTWO **WAM**, 2016

OPIEKA REDAKCYJNA **DOROTA TRZCINKA**

REDAKCJA **ILONA KLIMEK**

KOREKTA **NATALIA KARPIŃSKA DLA PRZYGOTOWALNIA**

OPRACOWANIE GRAFICZNE I SKŁAD **PRZYGOTOWALNIA**

PROJEKT OKŁADKI **KATARZYNA EWA LEGENDŹ**

ZDJĘCIA NA OKŁADCE © **GRAŻYNA MAKARA**

ZDJĘCIA W KSIĄŻCE **JEŚLI NIE ZAZNACZONO INACZEJ,**

ZDJĘCIA POCHODZĄ Z ARCHIWUM AUTORA

ISBN **978-83-277-1217-2**

WYDAWNICTWO WAM

UL. KOPERNIKA 26 • 31-501 KRAKÓW

TEL. 12 62 93 200 • FAKS 12 42 95 003

E-MAIL: WAM@WYDAWNICTWOWAM.PL

WWW.WYDAWNICTWOWAM.PL

DZIAŁ HANDLOWY

TEL. 12 62 93 254-255 • FAKS 12 62 93 496

E-MAIL HANDEL@WYDAWNICTWOWAM.PL

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA

TEL. 12 62 93 260

E.WYDAWNICTWOWAM.PL

DRUK: GRAFARTI • ŁÓDŹ

WYDAWNICTWO WAM PRAGNIE PODZIĘKOWAĆ MUZEUM ŚLUSARSTWA IM. MARCINA MIKUŁY
W ŚWIĄTNIKACH GÓRNYCH I SKLEPOWI IMPERIUM KOSZULEK ZA POMOC W PRZYGOTOWANIU
SESIJ FOTOGRAFICZNEJ.

SPIS TREŚCI

OJCZYŻNA SENTYMENTALNA	7
GUJAŃSKIE WYCHOWANIE	31
PIERWSZE POLSKIE WSPOMNIENIA	53
OBCOKRAJOWIEC NA UJ	77
MIEJSCE W PODRĘCZNIKU	95
ŻYCIE NIE KOŃCZY SIĘ NA TVN-IE	113
POLSKA INNA, KOLOROWA, RÓŻNA	131
NIESTANDARDOWA SZKOŁA	151
REPUTED WIFE	167
NACZELNY MURZYN	185

OJCZYZNA SENTYMENTALNA

KIM jesteś, Brianie Scotcie?

Wiesz, że kiedy prowadziłem w telewizji program o mniejszościach narodowych, *Etniczne klimaty*, zawsze zaczynałem rozmowę od tego pytania?

Wiem.

Kim są? Kim się czują? Jaka jest ich tożsamość? Gdzie jest ich ojczyzna? Gdzie jest ich dom?

Gdzie jest więc twój dom?

Bóg stworzył dla mnie dom na ziemi. Ten dom ma piękny, niebieski dach i światła, których nikt nie może zgasić – słońce, księżyc, krążące wokół gwiazdy. Możemy posiadać wiedzę ze wszystkich najlepszych uniwersytetów, ale nie możemy zmienić tego, co ten jedyny Pan, którego ja się boję – bo tylko Jego nikt nie jest w stanie pokonać – stworzył.

Nie jestem więc patriotą w polskim rozumieniu tego słowa. Nie byłbym w stanie bić się za ziemię, ginąć za nią. Bronię przede wszystkim tych, których kocham: mojej rodziny, przyjaciół. To ludzie mają dla mnie znaczenie. Dom jest tam, gdzie są osoby, które kochasz.

Bardziej myślisz o sobie jako o Gujańczyku czy jako o Polaku? Długo mówiłem i myślałem o sobie: Gujańczyk mieszkający w Polsce. Ale teraz uważam się za Polaka gujańskiego pochodzenia. Mam pięćdziesiąt sześć lat, a od trzydziestu jeden mieszkam w Polsce. To nie tak, że wstydzę się swoich korzeni, swojego pochodzenia. Jestem dumny ze swoich przodków, którzy byli murzyńskimi niewolnikami. Jestem dumny ze swoich rodziców, którzy mnie wychowali, zadbali, by ich dzieci były wykształcone. Jednak już nie bardzo czuję, że Gujana jest moim miejscem. Wyjechałem stamtąd w 1985 roku. Teraz, kiedy tam przyjeżdżam, spotykam ludzi, którzy byli wtedy dziećmi albo nawet nie było ich jeszcze na świecie. I nie mamy wiele wspólnych tematów. Nie mamy wspólnych wspomnień czy punktów odniesienia, bo nie chodziliśmy razem do szkoły. Cały czas słyszę od nich te same pytania: A gdzie jest ta Polska? Jakim językiem się tam mówi? Czy tam są tylko biali ludzie (bo na zdjęciach widzą, że jedynym Murzynem jestem ja, czasem zawieruszy się też jakiś wujek z Gujany)? Więc kiedy jadę do Ameryki, żeby odwiedzić rodzinne strony, po kilku dniach baterie są już naładowane. Nawet moja mama zdaje się to widzieć i mówi do mnie: „Chcesz już wracać, Brian, prawda? Chcesz do Polski, do swojej żony i synów?”. I mogę wracać, by znów zatęsknić. Gujanę mam cały czas w sercu.

Bardzo mało wiemy o tym kraju.

Ale Gujana naprawdę istnieje! To nie jest jakiś wymyślony, mityczny kraj.

Jaki więc jest?

Mały, zielony, bardzo różnorodny. Znajduje się w północno-wschodniej części Ameryki Południowej i jest tam jedynym krajem – jeśli nie liczyć wysp, tylko państwa na stałym lądzie – anglojęzycznym. Gujana była kolonią brytyjską, co bardzo ją

uwarunkowało i do dziś te wpływy są widoczne – nie tylko dlatego, że mówimy po angielsku. Jeśli natomiast chodzi o dokładniejsze usytuowanie, graniczymy z Brazylią, Surinamem – dawną Gujaną Holenderską, Wenezuelą, leżymy nad Oceanem Atlantyckim.

Z Wenezuelą o granicę się kłócicie.

To jest problem terytorialny, który istnieje od XIX wieku i który Brytyjczycy już dawno mieli rozwiązać – a tego nie zrobili, przynajmniej nie do końca. To nie jest konflikt zbrojny, nie jest tak, że się nienawidzimy, że walczymy ze sobą. Raczej chodzi o potyczki słowne i dyplomatyczne. Ich źródło sięga dawnych, jeszcze kolonialnych czasów, kiedy rysowano mapy. Według Wenezueli nastąpił błąd i część ich terytorium została uznana za brytyjskie. A potem tak już zostało.

Ten spór teraz odżył, bo Amerykanie znaleźli na spornym terytorium duże złoża ropy naftowej. Więc Wenezuela postanowiła upomnieć się o swoją – jak twierdzi – część.

To chyba klasyka w Ameryce Południowej. Chile odebrało Boliwii dostęp do morza, kiedy okazało się, że są tam złoża surowców.

Najczęściej problemy między państwami Ameryki Południowej wynikają ze sporów granicznych, z różnych wyobrażeń o tym, jak powinny przebiegać granice.

Ale mimo tego sporu Gujana i Wenezuela współpracują ze sobą, również na płaszczyźnie gospodarczej, a stosunki między mieszkańcami obu państw są życzliwe. Zresztą Gujańczycy nie byliby w stanie walczyć – w sensie zbrojnym – z Wenezuelą: Gujana ma obecnie mniej niż osiemset tysięcy mieszkańców.

Malutko. Tyle, ile Kraków.

Właśnie. A Wenezuela ma wojsko, które liczy ponad trzysta tysięcy żołnierzy.

Czym, po tylu latach, jest dla Ciebie Gujana?

Ojczyznę sentymentalną, emocjonalną, związaną z moją historią, z moją tożsamością. Gujana to dla mnie wszystkie dźwięki i zapachy dzieciństwa.

Jak pachnie Gujana?

Świeżymi owocami, świeżymi rybami. Gujana pachnie dzikością, dziewictwem, jest nierozwiniętą częścią naszego świata, dżunglą, w której ciągle są miejsca, gdzie człowiek jeszcze nie dotarł. Niedawno Brytyjczycy znaleźli tam kilkaset gatunków nieznanych wcześniej kwiatów i małych zwierząt – robactwa, ryb.

To mały kraj z potencjałem rozwoju, który – jak mi się wydaje – nigdy nie zostanie wykorzystany.

Dlaczego?

Bo nie mamy wystarczająco dużo ludności. Gdyby Gujana liczyła więcej mieszkańców, kraj mógłby się rozwijać.

Czy czujecie się w Gujanie wyautowani, wyizolowani, samotni?
Z jakiego powodu?

Rozmawiacie po angielsku, macie brytyjskie dziedzictwo, a wszyscy wokół Was mówią po hiszpańsku. Oprócz Brazylijczyków, którzy posługują się portugalskim, ale i to jest pokrewny, romański język.

Nie czujemy się jak na bezludnej wyspie. Jak można tak się czuć w kraju, w którym obok siebie mieszkają Murzyni, Hindusi, Azjaci? Owszem, może jesteśmy bardziej związani z krajami karaibskimi niż z naszymi sąsiadami w Ameryce Południowej, na lądzie. Zawarliśmy z krajami karaibskimi, anglojęzycznymi, byłymi koloniami angielskimi unię, która nazywa się CARICOM – The Carribean Community and Common Market, po polsku: Karaibska Wspólnota i Wspólny Rynek. To coś na kształt tutej-

szej Unii Europejskiej – jej członkowie wspierają się gospodarczo, biznesowo, choć ten sojusz daje też pewne poczucie tożsamości. Oprócz Gujany do CARICOM-u należą wyspy, między innymi Jamajka, Barbados, Dominika, Saint Lucia, Grenada, Bahamy, Trynidad i Tobago. One wszystkie są byłymi brytyjskimi koloniami. Brytyjczycy mieli w tej części świata tylko jedną kolonię na stałym lądzie: Gujanę. To stąd zarządzili resztą Karaibów. W Georgetown, stolicy Gujany, zwanej przez Brytyjczyków stolicą ogrodów, the Garden City, rezydował główny gubernator.

Mamy bogatą kulturę, która została nam przekazana przez Brytyjczyków. Jestem bardzo dumny ze swojej brytyjskiej, kolonialnej spuścizny – z edukacji, manier i etyki. Jako nauczyciel, ojciec, kolega, mąż i jako Polak próbuję te wartości przekazać osobom, z którymi spotykam się na co dzień.

W kuchni widać wpływy brytyjskie?

Brytyjskie wpływy w kuchni?! Chyba żartujesz! Brytyjczycy nie mają swojej kuchni, *sorry*. Herbata nie rośnie w Londynie. To, na czym Brytyjczycy budowali imperium i wielkość, zdobyli albo ukradli przez wyzysk na swoich terytoriach – i zamorskich, i karaibskich, i w Afryce, i w Azji.

Przed chwilą powiedziałeś, że jesteś dumny z brytyjskiego dziedzictwa.

Duma nie wyklucza krytycyzmu. Zastanówmy się: co tak naprawdę jest brytyjskie?

Królowa na pewno.

Okej, oni są dumni ze swojej królowej w pięknej koronie. Ale na jej koronie znajdują się kradzione diamenty i bogactwa. Nie ma węgla, są diamenty, złoto i błyskotki. Wystarczy się przejść do Muzeum Brytyjskiego w Londynie, żeby zobaczyć, skąd się wzięło bogactwo Brytyjczyków.

Pamiętam, że odwiedziłam to muzeum jako małe dziecko, jeszcze nierozumiejące wiele z historii. Zdziwiłam się, skąd „te faraony” wzięły się w BRYTYJSKIM muzeum.

I to trzeba powiedzieć wprost: bogactwo Brytyjczyków wynika z tego, że grabili cenne rzeczy, gdziekolwiek się zjawili. A rdzenną ludność wykorzystywali.

Powiedziałeś o zapachach Gujany. A co z dźwiękami?

Bębny naszych rdzennych Indian. Pieśni Hindusów podczas ich religijnych obrzędów. Dźwięki rytuałów Murzynów, którzy pochodzili od niewolników i którzy jeszcze praktykują to, co byli w stanie uratować ze swojej historii.

Też masz afrykańskie korzenie.

Tak, choć nie czuję się Afrykańczykiem. Nie uważam, że w Afryce jest moje miejsce. Moje miejsce, jak już powiedziałem, jest po prostu na świecie. Więc i w Afryce pewnie czułbym się dobrze. Odpowiada mi jednak to, że jestem Murzynem. Kolor skóry jest dla mnie powodem do dumy. Nie muszę się opalać, jak większość Europejczyków, na plażach w lecie. I nie stracę tej wymęczonej opalenizny w grudniu.

Gujana jest krajem, gdzie obok siebie żyją ludzie różnych ras i różnych religii.

Gujana jest nawet znana jako kraina sześciu ras – *The Land of Six Races*. Mamy tu Hindusów, Murzynów, Indian, Chińczyków, Europejczyków, Portugalczyków... Ale ludzie to tak naprawdę jeden gatunek. Nawiązuje do tego umieszczone na naszym godle motto Gujany, które brzmi: *One People, One Nation, One Destiny*, „Jedni ludzie, jeden naród, jedno przeznaczenie”. Znajdziesz u nas chrześcijan, hindusów, muzułmanów, rdzennych Indian, są też ludzie, którzy czczą jeszcze dawne, afrykańskie bóstwa.

I ci ludzie różnych ras, różnych religii żyją obok siebie w zgodzie? Nie zdarzają się konflikty?

Tak jak w prawdziwym życiu: nawet w najlepszym małżeństwie zdarzają się sprzeczki. Bywa różnie. Ale na pewno nasze kłótnie nie są na tyle mocne, by doprowadzić do wojny domowej.

Niesamowite, że to wszystko jest w kraju, który liczy osiemset tysięcy mieszkańców. Świat w pigułce.

Polakowi trudno to sobie wyobrazić, prawda? Bo Polska ewoluowała przez setki lat. A Gujana jest krajem, który został sztucznie stworzony, kiedy dotarli tam Europejczycy na czele z Krzysztofem Kolumbem – tym „wielkim” białym człowiekiem z Europy. Wówczas świat uznał, że ten region wcześniej nie istniał. Musiał dopiero pojawić się Europejczyk, żeby ogłosić wszem wobec, że on, w imieniu swojego króla i swojej królowej, odkrył nową ziemię.

Jakby ją stworzył?

Właśnie. Nie miał ani trochę szacunku do Indian, którzy już tam żyli. Kolumb ukradł tę ziemię siłą dla Europy.

Ludzie na Jamajce mówią często, że Kolumb nie odkrył Ameryki. On był po prostu pierwszym Europejczykiem, który tam dotarł. Nie można odkryć lądu, który już był zamieszkały. Co innego, gdyby żyły tam same zwierzęta.

Widać, że to Cię wkurza.

Wkurza. Mówimy dziś, że przeżywamy najazd imigrantów, cudzoziemców, uchodźców. Że mamy do czynienia z „inwazją na Europę”. Ale to mieszkańcy Ameryki w XV i XVI wieku zmagali się z najazdem Europejczyków. To Europejczycy byli uchodźcami, to oni przywieźli ze sobą bakterie i choroby. I zdiesiątkowali Indian. Większość z rdzennej ludności zginęła. Bo nie zgodzili się pracować dla Europejczyków, gdy ci chcieli uprawiać tabakę

i trzcinę cukrową. W tej sytuacji kolonizatorzy musieli znaleźć nową siłę roboczą. Pojechali do Afryki, a później również do Azji, i przywieźli niewolników. Najpierw więc na terenie Gujany mieszkali Indianie, następnie pojawili się Europejczycy, a potem Murzyni.

Wiesz, kiedy Twoi przodkowie dotarli do Gujany?

Nie. Bardzo trudno o dokumenty potwierdzające, kiedy i z jakiego kraju został przewieziony taki czy inny niewolnik, z jakiego był plemienia, jakie miał wcześniej nazwisko. Mój brat Michael, który jest socjologiem, od lat próbuje dowiedzieć się, skąd przybyła nasza rodzina Scottów. Mówię „Scottów”, ale to przecież tak naprawdę nie jest nasze nazwisko. Szanuję je i noszę z dumą, ale to jest nazwisko, które należało do pana moich przodków. Jakiś pan Scott był właścicielem mojej rodziny i stąd moje nazwisko. Jeśli niewolnik należał do pana Scotta, to i na niego mówiono „Scott”. Rozumiesz, mam nazwisko jakiegoś białego faceta, który był właścicielem moich przodków. Czarni ludzie z obu Ameryk noszą tego typu nazwiska. Polaków zawsze to zaskakuje. Pytają: „O, ty jesteś Scott, a dlaczego nie Kunta Kinte albo Dziambungubangu?”.

Murzynom zostało zabrane wszystko, łącznie z godnością. Odebrano im własne nazwiska, nie byli nawet numerami. Zostawało tylko to, że jesteś rzeczą. Towarem. Kupiono cię, więc potem można cię sprzedać – nieważne, czy masz żonę, dzieci. Jeśli twój pan chce sprzedać twoją żonę, twoje dzieci, robi to; to on decyduje komu – wcale nie musicie być razem, co go to obchodzi. Więc kto wie – może mam gdzieś nieznanych mi krewnych, którzy noszą inne nazwisko, bo byli sprzedani innemu właścicielowi? Panu Cameronowi, panu Thatcherowi albo panu Bushowi? I nie wiemy, że na przykład pan Bush i pan Scott są z tej samej linii z Afryki, że są krewnymi.

Czyli nie wiesz, z jakiego regionu Afryki pochodzi Twoja rodzina?

Brytyjczycy najczęściej mieli niewolników ze swoich kolonii: Nigerii, Ghany, Kenii, Tanzanii i tak dalej. Nie mogę tego powiedzieć ze stuprocentową pewnością, mamy jedynie podejrzenia, że nasza rodzina pochodzi z plemion ghanińskich i nigeryjskich. I nawet wiem, z których plemion konkretnie: z ghanińskiego Aszanti i z nigeryjskich Jorubów. I to wszystko, co wiem, czy raczej czego się domyślam.

Takie są moje korzenie. Ale zwyczaje przejąłem już od Brytyjczyków. Nie wiem, jakiego afrykańskiego Boga moi przodkowie mieli, ale my przyjęliśmy chrześcijaństwo, bo zostało nam siłą przez Brytyjczyków narzucone. Jestem protestantem, całe dzieciństwo co niedzielę chodziłem do kościoła prezbiteriańskiego, The Presbyterian Church of Scotland, i śpiewałem pieśni w języku angielskim.

Uczyłeś się tam jakiegoś innego języka poza angielskim?

Nie, moim drugim językiem był dopiero polski. Wiadomo, że w każdym kraju istnieją różne gwary, więc w Gujanie potrafimy kaleczyć angielski i tworzyć dialekty, które różnią się od siebie w poszczególnych częściach kraju. Ponadto Hindusi mówią inaczej, Murzyni inaczej, ale język urzędowy jest poprawny.

A po hiszpańsku ktoś w Gujanie mówi?

Przy granicy. W miejscowościach blisko Wenezueli można znaleźć ludzi, którzy mówią po hiszpańsku. W miejscowościach blisko Brazylii są ludzie, którzy mówią po portugalsku. W miejscowościach bliżej Surinamu – na przykład w moim rodzinnym Skeldon – bardzo dużo ludzi mówi po holendersku. Ale to normalne zjawisko przy granicach. W Polsce, gdy prowadziłem program telewizyjny i jeździłem na Podlasie, Kaszuby, Dolny Śląsk, w Bieszczady, ludzie też mówili w różnych językach. Na

Dolnym Śląsku znacznie częściej słyszy się niemiecki, a w Bieszczadach – ukraiński.

Więc te różne języki są w Gujanie obecne, choć przede wszystkim używa się angielskiego. No i kultura jest mocno brytyjska, cały system edukacji jest brytyjski.

Kiedy dzieci w Gujanie idą do szkoły?

Tak jak w Wielkiej Brytanii – kiedy mają pięć lat. Edukacja w podstawówce, *primary school*, trwa sześć lat. Gdy masz jedenaście lat, piszesz egzamin. Jak masz szczęście i dobrze ci pójdzie, możesz dostać się do liceum, *high school*. Jeśli nie, jest jeszcze *junior high school*, takie trzy dodatkowe klasy podstawówki, coś na kształt polskiego gimnazjum. Po tych trzech latach możesz znów zdawać do *high school*.

Edukacja w *high school* także trwa sześć lat, więc jeśli trafiasz tam bezpośrednio po podstawówce, piszesz maturę w wieku szesnastu–siedemnastu lat. U nas nazywa się to The General Certificate of Secondary Education i jest przygotowywane przez Uniwersytet w Cambridge. Zdawałem tę maturę w 1976 roku. Kawał czasu, prawda?

Ludzie, którzy dobrze zdają maturę, idą na studia?

Niekoniecznie. Gujana to mały, biedny kraj, nie ma dużo do zaoferowania. Najzdolniejsi wyjeżdżają na studia poza granice kraju, bo jedyny uniwersytet, który mamy, Uniwersytet Gujany w Georgetown, nie kształci studentów we wszystkich dziedzinach nauki. Gdy wyjeżdżałem z Gujany, nie było tam takich podstawowych kierunków jak prawo czy medycyna.

A co się dzieje, jeśli po *junior high school* nie dostaniesz się do liceum?

Idziesz na trzy lata do szkoły, którą można porównać do naszego technikum. Uczysz się tam zawodu – chłopcy zajmują się stolar-

ką albo mechaniką, a dziewczyny na przykład szyciem. Potem idziesz do pracy, choć przez pierwsze dwa lata pracujesz pod czyimś nadzorem.

W Gujanie – to również na pewno mocno odróżnia ją od Polski – nie ma pór roku.

Nie ma. To kraj tropikalny, położony przy równiku. Cały rok jest ciepło i cały rok doba jest podzielona dokładnie na pół. Przez dwanaście godzin jest ciemna noc, a przez kolejne dwanaście godzin świeci słońce i jest jasno. Dzień zawsze trwa od szóstej rano do szóstej po południu. Zawsze! Przychodzi szósta po południu i momentalnie jest ciemno.

Nie wiem, czy to fajne.

Mnie się to bardzo podoba. Tak samo jak cała przyroda w Gujanie. Nazwa „Gujana”, którą wymyślili rdzenni Indianie, znaczy „krajina wód”, *land of many waters*. Ludzie nie mają pojęcia, że spośród krajów w Ameryce Południowej to Gujana ma najwięcej rzek i wodospadów. Wśród tych drugich jest Kaieteur, ewenement na światową skalę. To nie jest jakaś tam sikawka. Ten wodospad ma najwyższy swobodny spad, dwieście dwadzieścia sześć metrów. Cała rzeka spada nagle w dół. Niagara to nic w porównaniu z Kaieteur.

Co się w Gujanie je?

Sama kuchnia Gujany odzwierciedla to, jak powstawał ten kraj: został stworzony przez Europejczyków na terenach zamieszkałych przez rdzennych Indian. Europejczycy przywieźli tu swoich niewolników z Afryki – Murzynów. Ale w XVIII i XIX wieku zaczęto ich uwalniać, bo nastał abolicjonizm. Więc kolonizatorzy musieli zastąpić murzyńskich niewolników kontraktowymi pracownikami, po których pojechali do Azji. Wybrali kraje najbardziej zaludnione, zabierając zatem ze sobą Hindusów i Chińczyków.

Anglicy, przywożąc najpierw Murzynów z Afryki, a później Azjatów i Hindusów, sprowadzili zarazem pełen bagaż kulturowy tych ludzi, a więc ich język, wiarę, historię, muzykę, no i wreszcie – jedzenie. Kuchnia gujańska łączy te wszystkie smaki: hinduskie, murzyńskie, azjatyckie. Chyba szczególnie cenię smaki hinduskie: curry, chleb *naan* czy *papad*, *phal ka pakora*, czyli owoce smażone w cieście. Z indiańskich dań lubię tapioki otrzymane z bulwy manioki, czyli czegoś, co możemy porównać do naszego ziemniaka. Z indiańskich inspiracji używam w kuchni również sosu *cassareep*. Stosuję go do gotowania czegoś, co moje dzieci nazywają czarnym mięsem.

Czarnym mięsem?

To coś podobnego do naszej golonki, tylko przyrządza się to danie z tych części wołowiny, które dają żelatynę: głowy, żuchwy, ogona. Bardzo to jest kleiste i im dłużej się to przyrządza, tym jest smaczniejsze.

Często gotujesz?

Dość często.

Częściej Ty czy Twoja żona Ula?

Nie, Ula jednak znacznie częściej. Ja więcej przebywam poza domem. Ale gdy zapraszamy gości albo gdy Uli nie ma, bez problemu radzę sobie w kuchni. Ostatnio na przykład, gdy Ula musiała wyjechać, kupiłem zieleninę, czyli zieloną pietruszkę i młodą cebulę, wiosenną, ze strączkami. Pokroiłem bardzo drobno. Nalałem do rozgrzanego woka trochę oliwy z oliwek i dodałem kawałek masła klarowanego, makaron ugotowany *al dente* rzuciłem do tego tłuszczu i wymieszałem wtedy z cebulą, aż stała się miękka (ale tak, żeby się nie spaliła!). Do tego kupiłem wcześniej dobrej jakości wędzonego łososia krojonego w paskach, wrzuciłem do woka, wyłączyłem ogień, żeby gorąca

pasta mogła się dogotować. Dorzuciłem zieleninę, sól i pieprz. Jezu! Wyszło coś fantastycznego. Ostatnio, kiedy Ula poprosiła, zrobiłem też mule. Owoce morza zawsze ja przyrządzam.

Owoce morza w Gujanie zawsze są świeże, w Polsce chyba gorzej.

Nie jest tak źle. Zawsze w czwartki można dostać świeże, wtedy są przywożone z dużych europejskich targów rybnych. Więc kupuję je, wkładam do zamrażalnika i gotuję, kiedy chcę. Ostatnio zrobiłem mule z anyżowym likierem greckim i śmietaną. Mam przyjaciela Andrzeja, który świetnie gotuje – wszystko, co przyrządzi, jest kulinarnym dziełem sztuki. I kiedyś zaprosiłem go z jego żoną Renatą na moje urodziny albo rocznicę ślubu, już nie pamiętam. Zrobiłem wtedy krewetki i mule. I Andrzej stwierdził: „Powiem ci, podróżowałem po całym świecie i jadłem wszędzie, ale twoje owoce morza są najlepsze, jesteś debsciak”. A jak Andrzej coś takiego mówi, to musi to być wielki komplement. Więc powiem nieskromnie – gotuję nieźle.

Skąd ten dar?

Jedzenie dla ludzi z Karaibów jest bardzo ważne. Kiedy zasiada się do stołu, to tak, jakby podchodziło się przed ołtarz. To jest celebracja. Jedzenie zawsze musi być smaczne. A wiesz, co sprawia, że jedzenie jest smaczne?

Co?

Spices. Przyprawy. Myślę, że Polacy nie zwracają na nie specjalnej uwagi, co zostało jeszcze z czasów komuny. Kiedy w 1985 roku przyjechałem do Polski, były tylko pieprz i vegeta. Ludzie nie znają się na przyprawach. Choć czasy się zmieniają i ci, którzy pracują w korporacjach, którzy podróżują po świecie i żyją inaczej niż reszta społeczeństwa – oni jedzą w nieco inny sposób. O ile tradycyjna polska kuchnia jest smaczna, ale jednocześnie

tlusta i niezdrowa, o tyle młodzi, wykształceni Polacy chcą już być fit, chodzą na jogę, fitness, uprawiają jogging oraz odżywiają się zdrowiej, piją koktajle i soki z buraków, jedzą potrawy, które poznali za granicą. Ja robię to samo, choć nie jestem w ich wieku. Wreszcie do polskiej kuchni dostają się wszystkie przyprawy, z całym ich bogactwem, różnorodnością, próbujemy nowych rzeczy. Gdy przyjechałem do Polski, dynia była używana do karmienia świń. Jak poprosiłem teściową, żeby dała mi dynię, zdziwiła się, co zamierzam z nią robić. A ja chciałem ugotować zupę krem.

Kto Cię nauczył gotować?

Nikt mnie nie uczył. Patrzyłem, jak moja mama to robi. Bo gotowała bardzo dobrze. Już w Gujanie gotowałem, czasem dla całego domu. Mama miała do mnie na tyle zaufania, że pozwalała mi gotować dla najważniejszej osoby w jej życiu – jej męża. Mojego ojca.

Czego – kulinarnie – brakuje Ci z Gujany?

Wielu rzeczy. Gujana jest krajem tropikalnym, Polska – umiarkowanym. Mogę śmiało powiedzieć, że tu nie ma do osiemdziesięciu procent rzeczy, które są w Gujanie, i odwrotnie. Brakuje mi świeżych owoców morza, soków, a najbardziej chyba owoców. Te owoce to zapach mojego dzieciństwa. Ale nie mówmy, proszę, o owocach. Jakbym zaczął o nich mówić, nie skończylibyśmy tej rozmowy do północy.

Zarzykuję.

Wiesz co, kiedy w 2008 roku zabrałem moją żonę i synów do Gujany i oni spróbowali tych wszystkich rodzajów banana, mango, gujawy, papai czy ananasa, które przez cały rok dojrzewają na drzewach, non stop jest na nie sezon, wystarczy sięgnąć ręką, to Ula doszło do wniosku, że już więcej nie będziemy kupować

owoców tropikalnych w Polsce. Że nie będziemy obrażać swojego podniebienia i żołądka takimi niemiłymi zapachami i smakami, nie będziemy na to tracić pieniędzy. Musimy być bardzo zdesperowani, żeby kupić w Polsce banana albo ananasa. A nasi chłopcy w Gujanie siedzieli na drzewie mango, które rośnie na posesji, gdzie mieszka moja mama, i nie chcieli z niego zejść. Ani jeść nic innego, tylko owoce. W Gujanie nie ma soków z owoców w kartonach, a jeśli już, to są soki importowane, bo zawsze znajdują się ludzie, którzy mają taką fanaberię, żeby mieć sok z importu. Bo wszystko, co fajniejsze, jest nie ich. Przypomina ci ta cecha jakiś inny naród?

Ale poza tym soki w Gujanie są świeże, naturalnie słodkie. My nie mamy, jak w Polsce, słodkich ciast, bo nasz apetyt na słodkie zaspokajają owoce i soki z nich. Rzadko więc jem słodkie rzeczy, również tutaj. Nie straciłem ani jednego zęba od dzieciństwa. Ostatnio byłem u dentysty w 1999 roku, tylko po to, żeby usunąć kamień.

Są w ogóle jakieś polskie dania, które ci smakują?

Polskie dania jem tylko w wykonaniu mojej teściowej. Raczej nie bywam w restauracjach, bo wychodzę z założenia, że gotuję lepiej, a skoro płacę, chcę mieć dobre jedzenie i podchodzę do restauracyjnych dań krytycznie. Najgorsze w jedzeniu na mieście jest to, że nigdy nie wiesz, jakich składników użyto. Tylko gdy sam coś ugotuję, mam pewność, że to jest dobre i ze składników dobrej jakości. Poza tym nie wszystko z polskiej kuchni mnie przekonuje. Nie podzielałam na przykład zachwyty innych obcokrajowców nad pierogami. Jeśli jem pierogi, to tylko mięsne. Nie rozumiem, co tak fantastycznego ludzie widzą w pierogach ruskich. Uwielbiam za to gulasz, bigos, flaczki, żurek, dobrze zrobiony rosół na starej kurze ze wsi i z kluskami domowymi. Wszelkie kotlety. Ale takie rzeczy jem tylko na wsi, u mojej teściowej, w Wojniczu. Do restauracji ich zjeść nie

pójdę, a w moim domu króluje kuchnia międzynarodowa, którą znam z Gujany. Jej smaki, zapachy. Czasem przenoszą mnie do mojego dzieciństwa i czuję się wówczas tak, jakbym widział tę ulicę, na której mieszkaliśmy...

W Gujanie żyją na wolności jakieś dzikie zwierzęta?

Większość terytorium Gujany to dżungla. Więc nieraz było tak, że siedziałem na werandzie i nagle słyszałem, jak na przykład sąsiad krzyczy, że na jego podwórku jest jaguar, który zablądził i wszedł do miasta. Naprzeciw mojego rodzinnego domu znajduje się kanał. Nim pracownicy fabryki trzcinowej, która jest położona nieopodal, transportują na barkach trzcinę. I wiesz co? W tym kanale czasem można zobaczyć aligatory, anakondy, pięcio- lub sześciometrowe pływające węże.

A insekty, pająki?

Mamy czarną wdowę. I dużo innych insektów. To jest tropik.

A zdarza się, że te dzikie zwierzęta, taki jaguar albo wąż, kogoś zabijają?

Eee, więcej ludzi w Gujanie ginie w wypadkach samochodowych, a nie w wyniku spotkań z węzami czy jaguarami. Zwierzęta mają swoje miejsce. Zdarza się, że z jakiegoś powodu takie zwierzę zablądzi i wejdzie do miasta, tak jak na niektórych plażach Europy czasem pojawi się zagubiony wieloryb. Ale te zwierzęta nie są nastawione na konfrontację. Zasadniczo póki nie wkroczysz na ich terytorium, nic ci nie zrobią. Inna sprawa, że Europejczycy lubią tu przyjechać na wakacje przygodowe, iść do dżungli, chcą zobaczyć te wszystkie motyle i tak dalej, a to jest trochę niebezpieczne. Póki jednak na siłę nie szukasz przygód, jedynym problemem, jeśli nie masz moskitery, są moskity. A i one nie zawsze fruują, bo nie lubią wiatru. Występuje u nas, owszem, dużo gatunków węży, lecz większość z nich jest

niegroźna. W Gujanie żyje boa dusiciel, ale nawet nie pamiętam, żebym słyszał, że kogoś udusił.

Sama świadomość, że może gdzieś przy mnie pełza, by mnie przerażała.

Da się przyzwyczaić. Potem tego może nawet brakować. W 2002 roku, niedługo po narodzinach mojego młodszego syna, Michała, przyjechała do Polski, do Krakowa, moja mama. Podrzuciłem ją do parku Jordana, bo chciała spędzić dzień na świeżym powietrzu, a później z niego zabrałem. Widziałem, że nie była do końca zadowolona, zapytałem ją więc, co się stało. A ona odpowiada: „Synuś, co to za kraj! Siedziałam cały dzień w tym waszym, jak to mówicie, parku i nie widziałam ani jednego węża, ani jednego pająka. Ten kraj to chyba nie żyje!”.

Inna percepcja.

Człowieka z tropiku. Mamie się w głowie nie mieściło, że siedziała wśród drzew, a nie było tam życia. Zapytała nawet: „Po co te wszystkie drzewa w parku Jordana, skoro nie mają owoców?”. Bo u nas, jeśli drzewo nie daje owoców, to idzie na podpałkę do gotowania. A w Polsce są drzewa, które po prostu sobie stoją, nie rośnie na nich ani mango, ani gujawa, ani śliwki. Ja to rozumiem, ale mówię o starej kobiecie, która przyjechała do swojego syna i nie mogła tu wielu rzeczy pojąć. Także tego, dlaczego codziennie w moim bloku sprząta pani, która musi chodzić dookoła i zbierać do śmieci dwa leżące na ziemi liście. Mama z niedowierzaniem pytała: „Czekaj, to ona za to otrzymuje pieniądze?”.

Nie tylko moja mama miała z takimi sprawami problem. Mam w Polsce przyjaciela z Gujany. Jego mama przez większość życia pracowała w domach kolonizatorów, białych Europejczyków, którzy zawsze mieszkali w pięknych, wiktoriańskich domach z dużymi werandami, mieli kamerdynera, tuzin służących, a białe kobiety cały dzień siedziały i się malowały. I ta matka

mojego przyjaciela przyjechała do Polski, do syna, szanowanego doktora Uniwersytetu Rzeszowskiego. On ją wiozł z Rzeszowa do swojego domu, do Dębicy, przez małe miejscowości. To było lato, czas żniw. I jego mama nagle krzyczy: „Synuś, zatrzymaj samochód i zrób mi zdjęcie!”. On odpowiedział, że dobrze, ale po co, przecież nic ciekawego się nie dzieje. A mama mu odpowiedziała, że to jest pierwszy raz, kiedy widzi białego człowieka pracującego. I że ten biały człowiek, jak się okazuje, również się poci. Tak, bo u nas biały facet nigdy nie pracował, a na pewno nie fizycznie. Więc to dla niej był tak wyjątkowy widok, że aż chciała uwiecznić go na zdjęciu.

Pytałam o jedzenie, ale zapytam też: jakie są popularne używki w Gujanie?

Alkohol, papierosy. Ale prawdziwą zmorą naszego regionu zawsze była i będzie marihuana. Stamtąd pochodzi. To na Jamajce ją rozpropagowano.

Chińczycy marihuanę rozpropagowali trzy tysiące lat temu. Może, ale dzisiejsze miejsce w kulturze zawdzięcza Bobowi Marleyowi. I, niestety, ten narkotyk jest tam jeszcze popularniejszy niż w Polsce. W Gujanie nie znajdziesz kokainy czy heroiny, bo to są drogie narkotyki, dla bogatych ludzi z Europy i z Ameryki Północnej. Kraje Ameryki Południowej je tylko eksportują, a ich mieszkańcy zajmują się ewentualnie paleniem trawy.

Ameryka Południowa kojarzy się z tymi odjechanymi narkotykami rdzennych Indian: peyotlem, ayahuasą.

Być może Indianie biorą jakieś inne używki, ale ja nawet o nich nie słyszałem. Indianie, pamiętajmy o tym, żyją w Ameryce Południowej nieco inaczej niż pozostała część społeczeństwa. Indianie z Gujany – należy to podkreślić – nigdy nie zostali wypędzeni ze swoich ziem. Gujana wręcz słynie z tego, że szanujemy prawo

Indian do ich ziem i pozwalamy im żyć na nich w spokoju, tam gdzie chcą i jak chcą. Jeśli potrzebują pomocy medycznej albo w kształceniu ich dzieci, to my im ją dajemy, ale nie zmuszamy, by przeszli do cywilizacji. Oni mogą to zrobić z własnej woli, ale nie są do tego zmuszani.

Czyli nie są objęci obowiązkiem szkolnym?

Prawo Gujany mówi, tak jak prawo Polski, że człowiek musi iść co najmniej do szkoły podstawowej. Ale Indianie funkcjonują w Gujanie na podobnych zasadach jak w Polsce Romowie. W Polsce też przymyka się oko na wiele kwestii w społeczności romskiej.

My naszym Indianom pomagamy w różnych sytuacjach. Jeśli wskazują młodych, zdolnych ludzi, którzy mogą zostać na przykład lekarzami, to dajemy im takie możliwości. Na preferencyjnych warunkach wysyłamy ich za granicę. Młody Indianin chce być dentystą? Okej, może się uczyć, a po powrocie zajmować się swoją ludnością. Próbujemy nie wchodzić z butami w ich życie, nie naruszać ich wolności.

Czyli oni również, jak u nas Romowie, stanowią nieco odrębną społeczność? Czy mają swoje kodeksy, zasady?

Mają zasady, których, jestem o tym przekonany, do końca nie znają nawet najlepsi prawnicy i najbardziej inteligentni historycy.

W Gujanie można na przykład znaleźć czternastoletnie Indianki, które mają dzieci. A gdyby inna czternastolatka w Gujanie zaszła w ciążę, nasze służby dowiedziałyby się, kto do tego doprowadził, i ta osoba skończyłaby w więzieniu, odpowiedzialaby za współżycie z nieletnią.

Czym zajmują się ludzie w Gujanie?

Gujana jest krajem, który żyje z rolnictwa i z wydobycia surowców naturalnych.

Macie na przykład złoża złota.

Złoto, diamenty, boksyt. Ale główne produkty eksportowe to trzcina cukrowa i ryż. Wywozimy też twarde drewno używane do budownictwa, nawet widziałem, że dociera do Polski. No i oczywiście owoce morza, te wszystkie przepyszne ryby i krewetki.

Czy w Gujanie panuje bieda?

Co to jest bieda? Czy to, że ktoś nie ma nic do jedzenia? Nie znam Gujańczyka, który nie ma co włożyć do ust.

Bo też jedzenie rośnie na drzewach, a domów w tej strefie klimatycznej nie trzeba ocieplać.

O to mi chodzi. Zimno nikomu w Gujanie nie będzie, nikt głodny też nie będzie chodził. Moja rodzinna miejscowość, Skeldon, ma nie więcej niż cztery, pięć tysięcy mieszkańców. Mamy Skeldon Market, targ, odpowiednik naszego placu Imbramowskiego w Krakowie. Codziennie po jego zamknięciu zostawia się setki kilogramów bananów, pomarańczy, różnych warzyw, ryb. Gujańczycy mieszkają nad Atlantykiem, na obszarze położonym najdalej dziesięć kilometrów od morza, a reszta kraju to dżungle i lasy. Więc jest co jeść – jeśli jesteś głodny, możesz przejść się po prostu na ten targ, gdy stragany są już pozamykane.

A czy wszyscy mają pracę? Pytanie, czy wszyscy muszą pracować. To jest kraj, w którym przez całe życie możesz nie mieć ani jednej pary butów, bo ich nie potrzebujesz, bez nich jest ci dostatecznie ciepło. Znam ludzi, których nigdy nie widziałem w butach. Albo facetów, których nigdy nie widziałem w koszuli. Dzieci chodzą do szkoły bez butów. Ale jednocześnie można powiedzieć, że to jest biedny kraj, bo kiedy przyjechałem w 1985 roku do Polski na studia i wszedłem do akademika w Łodzi, to był pierwszy raz w moim życiu, gdy włączyłem przycisk i zaświeciło się światło. Nagle okazało się, że mogę mieć jasno dwadzieścia cztery godziny na dobę. Byłem jednym z najlep-

szych młodych uczniów w Gujanie, ale wszystkiego nauczyłem się przy świecach i lampie naftowej albo butelce z knotem i naftą w środku. Codziennie po szkole, zanim zapadał zmrok, musiałem z moimi braćmi iść kilkaset metrów do kranu w naszej miejscowości, aby nabrać wody do wiader. Znosiliśmy na naszą posesję koło domu dwie, trzy beczki wody, której używaliśmy do gotowania i kąpieli. Ale kąpaliśmy się codziennie. Miałem pretensje do kolegów w akademiku w Krakowie, że nie zachowują higieny. Mieszkałem z chłopakami, którzy kąpali się raz w tygodniu. Mówiłem im: „Kurde, gdyby Gujańczyk miał wodę na dziewiątym piętrze, to chyba mieszkałby w tej wodzie”. Więc owszem, Gujana jest biednym krajem, ale też krajem ludzi z honorem. Tylko cztery czy pięć procent ludności jest analfabetami. To bardzo mało jak na taki biedny kraj. Każdy gujański rodzic ma honor i ambicję, by jego dziecko miało wszystko to, co posiada dziecko białego kolonizatora. Bo ten kolonizator był naszym dyrektorem, lekarzem, prawnikiem, bankierem, my byliśmy tylko służącymi. I cholerny Europejczyk dawał nam wszystkim do zrozumienia, że jesteśmy głupi. A on jest najlepszy, bo skończył najlepszy uniwersytet: Edinburgh, Oxford albo Cambridge. Więc Joseph Scott, mój wspaniały tata, tyrał przez kilkadziesiąt lat, nosił latami jedną parę spodni i jedną koszulę, którą, jeśli pojawiała się w niej dziura, mama cerowała.

Bo żal było wyrzucić?

Nie można było jej wyrzucić. Joseph Scott wybór miał taki: albo mieć nowe koszule i nowe spodnie, albo mieć dzieci, które chodzą do szkoły. A nasz ojciec po prostu chciał jak najlepiej dla nas.

GUJAŃSKIE WYCHOWANIE

KIEDY myślisz o swoim dzieciństwie w Gujanie, to towarzyszy Ci jakieś wspomnienie, które szczególnie Cię wzrusza?

Tak. Słowa mojego ukochanego ojca Josepha Scotta. Ojciec zabrał nas kiedyś na spacer na plantację trzciny cukrowej. Obok niej było takie ekskluzywne getto – system brytyjski działał w taki sposób, że zawsze przy fabryce, instytucji, szkole, szpitalu mieszkali najważniejsi menedżerowie, kadra zarządzająca. Wszyscy, oczywiście, biali. Żyli na zamkniętym terytorium, luksusowym, z basenami w środku i z dwumetrowym ogrodzeniem zakończonym kolcami.

Grodzili się ze strachu?

Grodzili się raczej, żeby pokazać, że tu mieszkają oni – ważni biali ludzie. Oni nie byli wcale zagrożeni, nikt nie miał zamiaru ich zabić czy skrzywdzić. Ba, wszyscy ich wręcz podziwiali. My mogliśmy w okresie kolonializmu, ale też długo po nim, tylko dążyć do tego, aby być jednym z ich trzeciorzędnych pracowników. Tak wysoko jak oni nigdy nie mieliśmy szans dojść. Najpierw był biały menedżer, potem jego zastępca, następnie jego asystent, a my mogliśmy, jeśli mieliśmy szczęście, być dopiero

pod nim. Za tym zakończonym kolcami ogrodzeniem były wystawne domy, baseny, stajnie dla koni, korty do tenisa ziemnego. Wiesz, że nauczyłem się pływać dopiero kilka lat temu w Polsce, tylko dlatego, że moje dzieci się uczyły? Przysięgam na Boga, w Gujanie nigdy nie pływałem, choć jest tam mnóstwo zbiorników wodnych. Rodzice zawsze nam mówili: „Nie wolno do tej wody, trzeba uważać, tam jest aligator, węże”. I połowa Gujańczyków nie potrafi pływać. A o pływaniu w basenie nie było mowy. Zawsze uważałem, że pływanie w basenie, jazda konna i tenis ziemny są dla białych ludzi. Daję słowo, tak myślałem. Tak widziałem świat, gdy byłem murzyńskim chłopcem. Wracając do tego wspomnienia: ojciec zabrał nas przed to ekskluzywne getto, spojrział na nie, na nas i powiedział: „Dzieci moje, mam tylko jedno marzenie: żeby pewnego dnia chociaż jedno z was tak mieszkało”.

Mieszkało któreś?

Mój młodszy brat. Nie tylko mieszkał w takim ekskluzywnym getcie, ale był też później ważnym menedżerem. Kiedy w 2008 roku zabrałem moją żonę i dzieci do Gujany – to była chyba najważniejsza podróż w moim życiu – żeby pokazać im, gdzie są moje korzenie, skąd jestem, to mieszkaliśmy chwilę u mojego brata, w takim samym domu, w jakim kiedyś żyli kolonizatorzy. I tam był basen.

Od kiedy w Gujanie nie ma takiego podziału?

Uzyskaliśmy niepodległość w 1966 roku, a republiką staliśmy się cztery lata później. Ale z własnego wyboru zdecydowaliśmy się zostać we wspólnocie brytyjskiej, bo to przynosi nam więcej korzyści, niż gdybyśmy w niej nie byli. Gdy wracam do Gujany dzisiaj, widzę projekty, które są fundowane przez Unię Europejską. Z jakiej racji? Przez kontakt z Wielką Brytanią. Oprócz tego na terenie Gujany przebywa ambasador Unii Europejskiej.

Ile miałeś lat, gdy byłeś na tym spacerze?

Dziesięć, może jedenaście.

Opowiedz o swoim rodzeństwie.

Mój najstarszy brat, Randolph, jest synem tylko mojego taty. Ale zawsze był z nami, więc moja mama kochała go jak swoje dziecko.

A co się stało z jego biologiczną mamą? Umarła?

Nie. Jego mama po prostu wiedziała, że Randolph będzie miał lepsze życie z naszym ojcem niż z nią. I tak zdecydowała.

Twój tata rozwiódł się z jego matką?

Oni nigdy nie byli małżeństwem. Mój ojciec ożenił się raz – z moja mamą. Przecież wolno mieć dziecko bez małżeństwa. Czy każda Polka ma dziecko ze swoim mężem?

Nie.

No właśnie. Nie wiem dużo o mamie Randolpha, ale wiem dużo o nim, bo to jest mój ukochany starszy brat. Byłem u niego we wrześniu 2015 roku, mieszka na Long Island w Stanach.

Co robi?

Przeszedł już na emeryturę, ale jest pastorem. Tak jak jego ojciec ma trzech synów i jedną córkę. Jest magistrem filologii angielskiej, przez jakiś czas pracował jako uniwersytecki nauczyciel. Mój ojciec, który nie skończył studiów, i matka, która nie była w *high school*, wychowali swoje dzieci tak, że wszyscy synowie skończyli wyższe uczelnie.

Po Randolphie urodziłeś się Ty?

Nie. Najstarsza z naszej gromady jest moja siostra Hazel. Cztery lata starsza ode mnie. W tym roku poszła na emeryturę, była

urzędnikiem państwowym. Mieszka w Gujanie. Założyła rodzinę, ale jej mąż już nie żyje. Trzeci z kolei jest Michael. To jemu zawdzięczam to, kim teraz jestem.

Dlatego nazwałeś swojego syna Michael?

Tak. Na jego cześć. Michael jest moim bohaterem, moim najukochańszym bratem, jest tylko dwa lata starszy ode mnie, ale jego mądrość jest niesamowita. To socjolog, profesor uniwersytecki. Doradca wielu międzynarodowych organizacji, łącznie z Organizacją Narodów Zjednoczonych. Mieszka w tej chwili w Gujanie, ale większość roku spędza na podróżach po wielu krajach na całym świecie.

Po Michaelu urodziłeś się Ty, a później...?

Po Michaelu urodziłem się ja, a dwa lata później Floyd. Między dziećmi w rodzinie Scottów zawsze były dwa lata różnicy. Floyd to mój kochany młodszy brat. Tak jak ja studiował w Europie Wschodniej, jest inżynierem.

Gdzie konkretnie?

W Kijowie. Ale odwiedzał mnie często w Polsce, zna bardzo dobrze nasz kraj.

No i mamy jeszcze najmłodszą siostrę Shurlę. Ona niezupełnie jest naszą siostrą, ale tak ją traktujemy.

Czyli – kim jest?

Gdy wszyscy byliśmy już dorośli, samodzielni i opuściliśmy dom, to wtedy Hazel sprowadziła tu dziecko, którego matka uciekła ze szpitala, zostawiając bobasa zaraz po narodzinach na pastwę losu. Wtedy moja rodzina była już znana. Ojciec był najpierw merem, później kimś w rodzaju wojewody, przewodniczącym całego regionu. Rodzina Scottów jest w Gujanie bardzo szanowana. Mój ojciec był bardzo sprawiedliwym człowiekiem, takim ponadra-

sowym, mocno wierzył w Boga, ale nie był fundamentalistą. Podobnie zresztą jak moja mama, nie pozwolił skrzywdzić żadnego człowieka, nawet jeśli ten skrzywdził jego. Czy tacy ludzie mogliby odmówić temu przyniesionemu przez Hazel dziecku szansy na lepsze życie? Shurla ma teraz trochę ponad trzydzieści lat. Mieszka w Gujanie, jest dekoratorką wnętrz, jedną z najbardziej znanych w całym regionie. Przygotowuje śluby – zajmuje się dekoracją tortów i całych sal. Teraz powoli wchodzi do lokalnej polityki, startowała ostatnio w wyborach na radną.

A pamiętasz rozmowy w rodzinie o tym, co z tym dzieckiem zrobicie, czy powinniście je brać do siebie? Czy może nie było gadania, tylko szybka decyzja: bierzemy je i koniec kropka?
Nie było gadania. Po prostu: jest dziecko, którego mama uciekła ze szpitala, bierzemy je, bo taki jest nasz ludzki obowiązek. Tyle. Po latach mój ojciec użył swoich wpływów, by znaleźć biologiczną matkę Shurli. I ona ją poznała, a także swoje rodzeństwo. Ma z nimi kontakt do dzisiaj.

Ile lat miała, kiedy poznała swoją biologiczną mamę?

Okolo trzynastu.

Dlaczego chcieliście ją odnaleźć?

Uważaliśmy, że to jest fair, po prostu. Z tego samego powodu przez tyle lat prowadziłem program o mniejszościach narodowych w Polsce. Bo to jest po prostu ważne, kim człowiek jest, kim się czuje, jaki jest jego bagaż, jaka tożsamość. Bo bez tożsamości nie da się żyć.

Jak daleko mieszkała matka?

Z tego, co wiem, była w Anglii. Ale kiedy doszło do ich pierwszego spotkania, mieszkałem już w Polsce, więc nie znam szczegółów.

A wiesz, jak tłumaczyła swojej córce, dlaczego zostawiła ją w szpitalu?

Nigdy nie pytałem o to Shurli. Wiem, że moja siostra zawsze mówiła z dumą: „Jestem Scott, nikiem innym”. Shurla ma świetną relację z biologiczną matką i na pewno jej wybaczyła, starała się ją zrozumieć, ale jej rodziną jest rodzina Scottów. Jej mamą jest moja mama, jej braćmi – moi bracia. A jej ojciec Joseph Scott nie żyje.

I Shurla mieszka z Waszą mamą dalej?

Nie, Shurla ma swoje mieszkanie. Mimo że moja mama jest już starszą osobą, nie wyobraża sobie żyć z dziećmi, być dla nich – jak uważa – ciężarem. W Polsce panuje przeświadczenie, że dzieci, będąc rodzicom wdzięczne za to, co zrobili, nie powinny o nich zapominać na starość. A w Gujanie jest tak, że rodzice nie chcą mieszkać z dziećmi i wychowują cię, żebyś odszedł z ich domu. I moja mama, choć mój brat Michael wybudował piękny dom w stolicy z całym apartamentem dla niej, żeby była blisko, konsekwentnie odmawia przeprowadzki. Mówi, że będzie mieszkała tam, gdzie ojciec wybudował dla nich dom.

Powiedziałeś, że to, kim jesteś, zawdzięczasz Michaelowi. Dlaczego?

Bo to on namówił mnie na wyjazd do Europy. Kiedy wyjeżdżałem z Gujany w 1985 roku, byłem ostatnim dzieckiem rodziców, które opuściło dom. Czasami nawet mama mi mówi, że miała dla mnie najwięcej może nie miłości, ale serca i cierpliwości, bo urodziłem się wcześniakiem i musiała o mnie walczyć.

Kiedy wyjeżdżałeś, miałeś już dwadzieścia pięć lat.

Tak. I byłem najmłodszym radnym w historii naszej miejscowości. Powiem nieskromnie, że miałem przed sobą perspektywę błyskotliwej kariery politycznej, byłem wiceprzewodniczącym

ruchu młodzieżowego. Straszny radykałem, postrachem ludzi dojrzałych i starszych, bo walczyłem jedynie o młodych. Wprost głosiłem, że my, młodzi, stanowimy sześćdziesiąt procent społeczeństwa, a zatem sześćdziesiąt procent dochodu narodowego brutto powinno być wydawane na nas. Bo inaczej będzie rewolucja.

Jak to ugrupowanie się nazywało?

The Young Socialist Movement – ysm. Tak, byłem socjalistą. Wpływowym młodym politykiem, wytypowanym na kolejnego mera miasta.

Twój ojciec też był merem, prawda?

Tak. Problem polegał na tym, że nie miałem poparcia prezydenta kraju, który musi mianować merów. Wprawdzie należałem do tej samej partii co prezydent, ale nie zgadzałem się z nim. Nie podobało mi się w ogóle, że to on typuje mera. Uważałem, że merem powinna być osoba, która zostaje wybrana demokratycznie i nominowana przez radnych. Jeśliby tak było, wygrałbym. Ale był nakaz z góry, że ma być ktoś inny. I zacząłem z tym walczyć.

Mój ojciec i ja przez kilka dni nie rozmawialiśmy ze sobą, bo on, poprzedni mer, był tą osobą, która przekazuje instrukcje i decyzje prezydenta kraju niżej. Czyli na przykład: „Słuchaj, panie Scott, następnym merem będzie pani Maria Mazurek. Macie tak to zorganizować, żeby wszyscy zrozumieli. Ona będzie nominowana, mają być zamknięte możliwości dla wszystkich innych kandydatów. Bo to ona ma zostać merem, tak uważam i koniec kropka”. Więc ojciec przekazał mi, że jakaś kobieta ma zostać merem, a ja się sprzeciwiłem. I zaczęła się taka nieprzyjemna sytuacja: ja przeciwko ojcu. Bo ja nie zgadzałem się z tą decyzją, uważałem, że to niedemokratyczne.

Jak bardzo zła była atmosfera między wami?

Pamiętam, jak ojciec mówił do mojej mamy: „Twój syn stanął dziś przeciwko mnie”. Moja mama odpowiedziała: „Mój syn? Po pierwsze, nasz syn. A po drugie, przecież tak wychowałeś nasze dzieci, żeby miały własne zdanie”.

Mój brat Michael wówczas jeszcze nie pracował na uczelni, ale był jednym z doradców prezydenta do spraw reemigrantów, czyli wracających do kraju, wykształconych, bogatych ludzi. Michael już wtedy był więc dość wpływowy. Przyszedł do mnie i mówi: „Ptaki ćwierkają, że zaczynasz sprawiać problemy. To niedobrze. Uważam, a jako twój brat mam do tego prawo, że to nie jest najlepsza droga. Okej, możesz być merem, ale co zostawisz po swojej kadencji? Nie masz wyższego wykształcenia, nie masz niczego”. To był 1984 rok. Michael powiedział: „Jesteś cholernie inteligentny, skończyłeś college z bardzo dobrym wynikiem, idź na studia”. Więc to on załatwił mój wyjazd do Europy, ja tylko składałem papiery. On jest ojcem tej decyzji.

A co robiłeś między skończeniem *high school* a 1984 rokiem?

Poszedłem do college'u technicznego, nazywał się PMTC – Portmouant Apprentice Training Center.

Co to jest college techniczny?

Do czego to można porównać? Nie do zawodówki. Może do takiego naszego dobrego technikum. Jestem więc z zawodu... mechanikiem rolniczym!

Czego Cię uczyli w college'u?

Wszystkiego, co mechanik rolniczy musi umieć zrobić: naprawiania kombajnów, traktorów, elektryki i spawania. To wszystko umiem albo umiałem, bo nie wierzę, że cała ta wiedza wciąż we mnie jest. I nawet wyjeżdżając na studia do Polski, miałem zamiar zostać inżynierem, a nie dziennikarzem. Na takie stypen-

dium zostałem wysłany. College to jest dwuletnia szkoła, gdzie wszystkie egzaminy są przygotowane przez najbardziej renomowane instytucje edukacyjne w Wielkiej Brytanii, głównie City and Guilds of London Institute.

Po skończeniu college'u zacząłem pracować w przemyśle cukrowym jako mechanik. Wykonywałem tę pracę, gdy zacząłem być aktywny jako młody, radykalny polityk.

Skąd się wziął ten radykalizm?

Z wychowania. Mój ojciec mówił: „Bój się tylko Boga. I żadnego żywego człowieka”.

No ale musiałeś wierzyć, że to, o co walczysz i co postulujesz, było słuszne.

Wiem, że było. Używałem także mózgu, no ludzie! To nie była tylko siła, nie byłem robotnikiem. Byłem młody, inteligentny i przekonujący dla wielu młodych ludzi, którzy poszli za mną.

Gdybyś tam został, zrobiłbyś rewolucję?

Na pewno byłbym merem. Pewnie bym zginął, bo polityka w tamtym regionie była tak brutalna, że młodzi ludzie, którzy byli niewygodni dla władzy, nieraz po prostu znikali. Zapadali się pod ziemię. I kto wie, może mój brat uratował mi życie? Ale nie boję się śmierci. Nawet wtedy się nie bałem. Kochałem mój kraj i uwielbiałem być liderem. To było dla mnie. Lubię demokrację. Głos większości jest dla mnie święty. Odkąd jestem w Polsce i mam możliwość głosowania, zawsze chodzę na wybory. Nie zgadzam się z ludźmi, którzy opowiadają bzdury, że nie mają na kogo głosować. Nonsens! Owszem, nigdy nie będziesz miał idealnego kandydata. Z prostej przyczyny – taki nie istnieje. Ale zawsze masz kogoś, przeciwko komu powinno się zagłosować, więc po prostu wybieraj najmniejsze zło. Ja tak robię. Czy kochałem te partie, na które głosowałem? Albo uważałem, że są

najlepsze? Nie. Ale były lepsze od partii, o których wiedziałem, że nie chcę, żeby rządziły. Więc mój głos spowodował pomniejszenie prawdopodobieństwa, że to niepopierana przeze mnie partia zdobędzie większość. Dlatego głosuję.

Jakie są Twoje najdalsze wspomnienia z dzieciństwa?

Chyba jakieś Boże Narodzenie, moje pierwsze zabawki... Ameryka Północna musiała mieć na nas niemały wpływ, bo pamiętam siebie jako kowboja, w tym charakterystycznym kapeluszu. Pamiętam pasek z nabojami i dwa pistolety i jak udawałem, że z nich strzelam. Pif-paf, pif-paf.

Dostawaliście prezenty pod choinkę?

Tak. Teraz gdy o tym mówię, wydaje mi się to bardzo wzruszające. W tak biednym kraju dostawało się zabawki pod choinkę!

Wigilia u nas, protestantów, nie ma żadnego znaczenia. Boże Narodzenie świętujemy dopiero od 25 grudnia, budzimy się z tą radosną nowiną, że Bóg się urodził, gdy my spaliśmy. I Anioł przyniósł te prezenty. Wieczór wigilijny to zwykły dzień, wszyscy idą na spacer, robią ostatnie zakupy. Najważniejszy posiłek to śniadanie bożonarodzeniowe – wtedy raz w roku jemy jakieś europejskie albo inne importowane, nie wiem skąd, produkty. Na stole jest dosłownie wszystko, w tym jabłka. U nas jabłka nie rosną, więc są prawdziwym rarytasem. Tylko że jabłko musi być czerwone. Gdy moja mama przyjechała do Polski, poszedłem do hipermarketu i kupiłem jej wielkie, zielone jabłko z Holandii. Przywiozłem jej, myślałem, że się ucieszy, mówię: „Proszę, dawno nie jadłaś, mamo, jabłka”. A mama stwierdziła, że jest niedojrzałe i nie będzie go jadła.

Jak zapamiętałeś szkołę?

To był duży, drewniany budynek. Szkoła nazywała się Skeldon Scots School.

Scots?

Tak, ale to nie od mojego nazwiska przecież. Szkoły były własnością Kościoła, a ta była własnością Presbyterian Church of Scotland. To była *Scottish school*. Widzę przed oczami to prowizoryczne boisko, na którym się bawiliśmy, graliśmy w krykieta. Byłem dobry w bieganiu, cholernie szybko biegałem na sto i czterysta metrów. W Gujanie rok szkolny, tak jak w Polsce, zaczyna się we wrześniu, ale u nas na początek zawsze są różne olimpiady atletyczne – najpierw etap wewnątrzszkolny, potem szkoła tworzy jedną drużynę, następnie są zawody międzyszkolne, później między gminami, między województwami i dalej, aż do stolicy. To było święto, olimpiada odbywała się tylko raz w roku, każdy chciał dojść jak najdalej, bo podróż do stolicy to była wielka rzecz. I mnie się często udawało, bo od małego biegałem szybko. Zawsze wygrywaliśmy nagrody – u nas nie ma medali, bo metal jest drogi, poza tym wolimy praktyczne rzeczy. I większość kubków, talerzy, sztućców mojej mamy to są przedmioty, które jej dzieci powygrały na zawodach. Bo wszyscy byliśmy dobrzy. Moja siostra Hazel też szybko biegała. Ciekawe, po kim to mieliśmy, bo nasz tata był przecież fajtłapą. Ale był fantastycznym, najlepszym ojcem, jakiego mogłem sobie wymarzyć.

Czym się zajmował, zanim został burmistrzem?

Był elektrykiem.

A mama?

Zajmowała się czymś, co dzisiaj nazwalibyśmy cateringiem, tyle że jej catering był specyficzny: zawsze dekorowała torty weselne. Pamiętam ludzi, którzy przywozili do nas do domu te wszystkie ogromne ciasta. Mama siedziała nocami przy świecach, lampach naftowych i dekorowała torty lukrami, ozdobami w różnych kolorach. Dłubała w tym godzinami.

Dobra w tym była?

O, i to jak! I cieszyła się, że w ten sposób może pomóc mężowi. Mój ojciec nie był bogaty, nie zarabiał aż tak bardzo dużo pieniędzy. A my przecież potrzebowaliśmy ubrań, książek do szkoły. Mama musiała mu więc pomóc. Gdy teraz siedzę z moimi dziećmiakami i opowiadam im, że my używaliśmy tych podręczników, z których na samym początku uczył się Randolph i wszyscy musieliśmy o nie dbać, to moi synowie nie dowierzają. Bo w Polsce co roku kupuje się dla dziecka nowy podręcznik.

Ze wspomnień, które utkwily mi w pamięci, jest jeszcze takie: mój ojciec co dwa-trzy miesiące przychodził do domu w niedzielę, mówił do dzieci: „Chodźcie, trzeba wyczyścić organizm”. I dawał nam... po łyżeczce oleju rycynowego. Straszne to było. No i pamiętam jeszcze doskonale, że w brytyjskich szkołach były kary cielesne, nauczyciel mógł bić dzieci.

I dostałeś kiedyś?

Ba, ile razy!

Za co?

Za to na przykład, że nie zrobiłem pracy domowej – bach, biją cię. Pamiętam, że czasem uczniowie stali, a nauczyciel bił nas takim elastycznym kijem. To nie tak, że nauczyciele robili dziecku krzywdę, że byli okrutni. Po prostu takie panowały zasady. A bicie w szkołach zostało zabronione w byłych koloniach brytyjskich dopiero kilka lat temu.

Twoi nauczyciele byli Brytyjczykami?

Różnie, ale najczęściej byli biali. Dyrektorzy szkół nigdy nie byli Gujańczykami. Teraz, owszem, dyrektorami szkół w Gujanie są nasi, ale to nowa historia kraju, która zaczęła się dopiero po ustanowieniu niepodległości w 1966 roku.

Bardzo ciepło wyrażasz się o ojcu. Brakuje Ci go?

Czy brakuje? To był najważniejszy mężczyzna w moim życiu, mój absolutny autorytet. Zmarł 16 listopada 2001 roku.

Chorował?

Przez lata borykał się z chorobą Alzheimera. To była loteria. Czasami pamiętał, że ma syna w Polsce, a czasami nie. To straszna choroba, kiedy człowiek, który cię kocha, którego ty kochasz, nie pamięta cię i pod koniec jego dni nie możecie nawet wspólnie wspominać, przeżyć tych pięknych chwil jeszcze raz.

Chociaż... dziwna sprawa. Moja mama mówiła, że była z nim, gdy umierał w szpitalu, i on wtedy, na krótko przed swoim odejściem, wszystko pamiętał. W obliczu śmierci pytał o nas wszystkich, mówił o tym, jak piękne miał życie obok mojej mamy, jak fajne dzieci wychowywali, jaki jest dumny.

Co najbardziej zapamiętałeś z jego pogrzebu?

Jedno zdanie, które wypowiedziała mama w samochodzie mojego brata, gdy wracaliśmy z pogrzebu. Zdanie, które dla mnie stało się zwieńczeniem całego życia rodziców, czterdziestu lat małżeństwa przerwanej jego śmiercią. Powiedziała: „Dzieci, wasz ojciec nie był osobą bez skazy. Kłóciliśmy się czasami. Ale jest jedna rzecz, której on zawsze pilnował. On nigdy nie chciał się kłócić przy was, nigdy nie krzyczeliśmy na siebie wystarczająco głośno, zawsze robiliśmy to w naszej sypialni. I jedno wy zapamiętajcie, wy, mężowie, i wy, żony: jeśli macie jakiegokolwiek problemy z waszymi współmałżonkami, nigdy nie pozwólcie, żeby te problemy przeniosły się na następny dzień. Każdy konflikt trzeba zakończyć przed nocą, gdy razem położycie się do wspólnego łóżka”.

Ale jak brzmiało to jedno zdanie? Żeby nie klócić się przy dzieciach?

Nie, to najbardziej dobitne zdanie brzmiało: „Patrzcie, dzieci, jakie to życie jest: wyszłam za niego czterdzieści lat temu i to jest pierwszy raz, kiedy wracam do domu bez niego”.

I to była prawda. Moja matka była czternaście lat młodsza od mojego ojca. On ją wychował, rozumiesz? Gdy się pobierali, ona miała osiemnaście lat, a on – trzydzieści dwa. Ich małżeństwo było aranżowane, moja mama pochodziła z bardzo biednej rodziny. Mój ojciec nie wywodził się z bogatej, ale był starszym kawalerem, bardzo ambitnym, miał dobrą pracę, dobrze rokował. Nigdy nie pił i nigdy nie palił. I był Murzynem, który nie potrafił tańczyć, nie grał w koszykówkę i nie biegał szybko. Stanowił zaprzeczenie wszelkich stereotypów o Murzynach.

Odwiedził Cię kiedyś w Polsce?

Niestety nie. Moja mama tu była, odwiedziła nawet program *Etniczne klimaty*, widziała, jak był robiony. Była w moich programach w Radiu Kraków, zobaczyła szkołę, w której uczę. Cieszyła się. Była dumna. Też staram się ją odwiedzać, jeżdżę na ogół bez Uli i bez chłopaków, bo to jednak jest bardzo drogie. A swój obowiązek spełniłem w 2008 roku, gdy zabrałem żonę i dzieci do Gujany.

Dlaczego uważałeś to za swój obowiązek?

Uważałem, że mają prawo poznać tamtą stronę rodziny. Moją. Że chłopcy powinni się dowiedzieć, skąd mają tę podwójną tożsamość. Że powinni poznać drogi bez asfaltu, którymi kiedyś chodziłem, miejscowości, które w dalszym ciągu nie mają prądu, a ludzie noszą tam wodę, żeby móc się wykąpać. Szkoły, w których nie ma światła i mogą działać tylko w godzinach, gdy świeci słońce. Albo gdzie nie ma krzesel, gdzie nie ma nawet tablicy. A te dzieci, które się tam uczą, nie różnią się przecież od

dzieciaka, którym kiedyś był ich ojciec. Ich ojciec, który chodził do takiej samej szkoły, a potem wyjechał z kraju do Polski i stał się kimś. Chciałem, żeby Marvell i Michael odwiedzili groby rodzinne: moich dziadków, mojego ojca, moich kuzynów. Żeby dowiedzieli się, skąd jestem, jakie tam jest jedzenie. Jacy są sąsiedzi, ci wszyscy Hindusi, Murzyni, Azjaci? Chciałem, żeby zobaczyli na własne oczy, jak w Gujanie mieszkamy blisko siebie. Chciałem, żeby przeżyli wakacje życia, żeby odkąd wylądują na miejscu, był już tylko uśmiech i radość. Radość z tego, że tam są.

Na Twojej ulicy mieszkali ludzie różnych ras czy tylko Murzyni?
My byliśmy jedynymi Murzynami na tej ulicy! Miałem kochanych sąsiadów Hindusów – Shilę i jej męża, który nazywał się Sudi. Byli dla mnie jak drudzy rodzice. Kiedy tylko zobaczyli, że idę z Ulą i chłopakami, niosąc bagaże (bo na tę ulicę nie można nawet wjechać autem, takie jest błoto) zaraz wybiegli przed dom. I od razu zapytali, czy to moja żona, moi synowie. I natychmiast ich wszystkich wyściskali. Ja zostałem przytulony jako ostatni. I wiesz, oni wtedy powiedzieli do Uli: „Pamiętaj, jesteś naszą córką”.

Co dalej robiliście podczas tych wakacji?

Podczas tych dwudziestu jeden dni moja rodzina poznała spory kawał Gujany. Ja, moja rodzina, przyjaciele staraliśmy się pokazać im jak najwięcej. Mój brat organizował spotkania, wyjazdy. Mój przyjaciel z dzieciństwa, Eon, ma restaurację i musieliśmy codziennie w niej jeść, mimo że mieszkaliśmy przecież u mojej mamy, więc i ona nam gotowała. Sąsiedzi też przywozili jakieś hinduskie smakołyki i mówili do Uli: „Córeczko, to jadł Brian, kiedy był mały. Bo wiesz, córeczko, my, Hindusi, zawsze takie rzeczy przyrządzamy na hinduskie uroczystości i dzielimy się z sąsiadami”.

Myślisz, że Twoja polska rodzina doceniła to, że zabrałeś ich do Gujany? Że ten wyjazd w jakiś sposób ich zmienił?

Mój starszy syn Marvell powiedział: „Lubię rodzinę taty, bo nikt nie widzi, że jestem inny”. Takie słowa wypowiedziane przez dziecko mówią bardzo dużo. Pokazują, że jednak w Polsce jest presja, że gdy rodzice spuszcza swoje dziecko z oczu, to ono może być wytykane palcami, może poczuć się gorzej. I to jest bardzo duża trudność dla tych dzieciaków, młodych ludzi. Bo jeśli mnie ktoś wytyka placami, to wytrzymuję. Gdy dochodzi do takiej sytuacji i jestem już wkurzony, to rzucam po prostu kilka porządnych, dobrych, polskich przekleństw.

Twoja ich znajomość jest, jak zauważyłam, imponująca.

Znam polskie przekleństwa bardzo dobrze i nie mam najmniejszych problemów z ich artykulacją albo z dobraniem odpowiednich końcówek. Nie ma więc zagrożenia, że ktoś mnie nie zrozumie. Jak tylko kilka razy przeklnę, ludzie na ogół dają mi spokój. Nie muszę się bić. Nawet potrafię, ale nigdy nie uważałem, że to jest dobry sposób, by załatwiać spory. Agresja, przemoc fizyczna – to nigdy nie jest dobre wyjście. Mój ojciec, fantastyczny, najlepszy filozof, mówił tak: „Synuś, pamiętaj, kiedy ktoś cię poniża i nie wytrzymujesz, spróbuj z całych sił go nie uderzyć. Bo to uderzenie może być nieszczęśliwe, co może z kolei spowodować, że całe twoje życie się skończy. Zabijesz człowieka, skończysz w więzieniu albo dostaniesz karę śmierci”. Bo w Gujanie istnieje kara śmierci. I dalej tata dodawał: „Pamiętaj, wychowałeś się w rodzinie chrześcijańskiej, a bycie chrześcijaninem zobowiązuje. Wysłałem was do szkoły, żebyście zdobyli edukację. Ucz się języka osoby, która cię krzywdzi. I zamiast ją bić, spróbuj powiedzieć jej coś, co będzie tak strasznie ją bolało, że ona nigdy, do końca życia, nawet leżąc na łożu śmierci, o tobie nie zapomni i nie będzie miała spokoju”. I wziąłem sobie słowa taty do serca. Uważam nawet, że jestem specjalistą w ranieniu za

pomocą słów. Potrafię powiedzieć ludziom takie rzeczy, których nigdy by się nie spodziewali. Widziałem, ile razy powiedziałem Polakom coś, co ich zatrzymało. Myślę, że nieraz nawet mieli refleksję: „Kurczę, ten facet mnie skrzywdził, ale dlatego, że to ja skrzywdziłem go wcześniej. Więc może jednak powinienem zacząć postępować inaczej?”.

Opowiedz o jakiejś konkretnej sytuacji.

Nie chciałbym opowiadać o tych rzeczach ze zbyt dużymi szczegółami, bo niektórych, z perspektywy czasu, sam się wstydzę. Nie chodzi mi nawet o przekleństwa. Są rzeczy, które potrafią zranić znacznie bardziej. Raz na przykład powiedziałem staremu mężczyźnie, który przeżył drugą wojnę światową: „Człowieku, Hitler był okrutny i bezwzględny. Ale ty jesteś dokładnie taki jak ci naziści: dręczysz człowieka, którego nawet nie znasz, tylko z tego powodu, że jest innej rasy. Jest mi bardzo przykro, że Hitler nie wykończył ciebie”.

Rzeczywiście, mocne słowa. Nie za mocne?

Nie jestem z tego dumny, ale tak powiedziałem mężczyźnie, który poniżał – albo przynajmniej próbował poniżyć – mnie w tramwaju.

Jak do tego doszło?

Jechałem z miasteczka studenckiego Akademii Górniczo-Hutniczej na ulicę Piłsudskiego w Krakowie, do Collegium Novum, na egzamin.

Ten mężczyzna wsiadł do tramwaju i zdaje się, że faktycznie nie było miejsc. Ale nie widziałem go, a w tym tramwaju było dużo innych młodych osób, które, podobnie jak ja, mogły mu ustąpić i które, jak sądzę, zauważyły go wcześniej. Ale ten mężczyzna podszedł akurat do mnie i zaczął krzyczeć: „Czy pan nie widzi, że jestem starszą osobą?! Pan powinien stać!”.

Odpowiedziałem: „Nie wiem, czy pan uważa, że mam oczy z tyłu głowy, żeby pana widzieć, ale nie mam i nie mogłem pana widzieć wcześniej. Na pewno bym wstał z własnej, nie-przymuszonej woli, gdybym tylko zdawał sobie sprawę, że pan się za mną znajduje”. Ale on brnął dalej: „U was, w Afryce Południowej, Murzyni nie mają nawet prawa jeździć tramwajem, a pan tu siedzi jak król”. I tego typu rzeczy mówił. I wtedy mu powiedziałem, co miałem powiedzieć. Przecież to on zaczął mi ubliżać z powodu koloru skóry i sugerować, że nie mam nawet prawa z Polakami jechać jednym tramwajem.

To było dawno temu.

Tak, ale również dzisiaj, w 2016 roku, w Polsce dalej działają organizacje neonazistowskie. Narodowcy mogą legalnie chodzić po ulicach i nikt ich za to nie karze. Przecież gdy w Stanach Zjednoczonych złapią członków Ku Klux Klanu, to koniec z nimi. Oni działają tylko w podziemiu i nawet nie chcą się do tego przyznać. A u nas neonaziści chodzą bezkarnie, a nawet jeśli któryś z nich trafi do sądu, to zaraz słychać o niskiej szkodliwości społecznej. Więc uważam, że wszystko, co jest związane z rasizmem, nazizmem, antysemityzmem, całą ideologią drugiej wojny światowej, powinno być w tym demokratycznym państwie surowo i zgodnie z prawem karane. Nie powinno być faszystowskich organizacji, Polacy za dużo wycierpieli. Jak można być Polakiem i z przyjemnością nosić swastykę na swoich ubraniach, mając jednocześnie świadomość, że dziadkowie, pradziadkowie tu, w Polsce, tyle wycierpieli?

Naprawdę czuję się Polakiem, kocham ten kraj, jestem bardzo dumny z moich osiągnięć i tego, co robię. Mój wielki idol Martin Luther King apelował, by nie oceniać człowieka po jego kolorze skóry, ale po jego charakterze. Bardzo bym chciał, żeby taki dzień nadszedł. Bo na razie ludzie w ten sposób myślący są w mniejszości, choć owszem, ta mniejszość się powiększa.

sza. Ale dalej jest mnóstwo osób, które uważają, że nie mam prawa nazywać się Polakiem, tylko dlatego, że mam inny kolor skóry i że nie urodziłem się w Polsce. Czy ktoś zbudował jakąś maszynę, która mierzy, jak bardzo ktoś kocha Polskę? Czy ktoś może stwierdzić, że na przykład Zbigniew Ziobro kocha Polskę bardziej niż Brian Scott? Przecież kiedy Brian Scott przyjechał do tego kraju, zaczął go poznawać i w nim studiować, Zbigniew Ziobro był jeszcze nastolatkiem, miał piętnaście lat. I ta Polska należy do mnie tak samo jak do niego.

PIERWSZE POLSKIE WSPOMNIENIA

1985 ROK, warszawskie lotnisko. Pamiętasz swój pierwszy dzień w Polsce?

Ze szczegółami.

Zanim o tym opowiesz, powiedz, jak tu trafiłeś. Brat namówił Cię, żebyś nie marnował swojego talentu, żebyś studiował za granicą. Jak to się stało, że to była akurat Polska?

To nie musiała być Polska. Stypendium dla młodych, zdolnych Gujańczyków, którzy mają predyspozycje, by dostać się na studia magisterskie w Europie Wschodniej, fundowała Organizacja Narodów Zjednoczonych. Ja i inni kandydaci mieliśmy wybór pomiędzy studiowaniem w Związku Radzieckim, na Węgrzech, w NRD i w Polsce. Wybrałem Polskę.

Pewnie słyszałeś to pytanie setki albo tysiące razy, ale zadam je jeszcze raz: dlaczego Polska? Z czym kojarzył Ci się ten kraj? Wiedziałeś w ogóle, gdzie jest?

Oczywiście, że wiedziałem! Pamiętaj, że byłem w Gujanie młodym, świadomym politykiem: radnym w swoim mieście, wiceprzewodniczącym, a potem przewodniczącym młodzieżowego

ruchu socjalistycznego. I moja wiedza na temat świata i polityki była dość szeroka. Doskonale wiedziałem, co się dzieje na świecie i w Europie. Wiedziałem, że coraz potężniejszy jest ruch Solidarności, że rewolucja w Polsce tak naprawdę już się zaczęła. Słyszałem o stanie wojennym, oczywiście zdawałem sobie sprawę z tego, że papież Jan Paweł II jest Polakiem. No i przede wszystkim wiedziałem o tym, że Lech Wałęsa jest narodowym bohaterem. To właśnie ze względu na Wałęsę – mojego osobistego bohatera – przyjechałem do Polski. Ludzie podejrzewają raczej, że z powodu papieża, a przecież nie jestem nawet katolikiem. Papież nie wywarł żadnego wpływu na moją decyzję.

Nie jesteś katolikiem, ale jesteś chrześcijaninem, prezbiterianinem. Dlatego pewnie ludzie podejrzewają, że to mogło mieć jakiś wpływ na Twoją decyzję.

Ale nie miało. Szanowałem papieża, ale dla mnie prawdziwym bohaterem jest Wałęsa, ten robotnik, prosty człowiek, który był w stanie stanąć na czele potężnego ruchu, który rozbił całą maszynę, Układ Warszawski i cały system komunistyczny istniejący wtedy w Europie Wschodniej. I to wszystko wydarzyło się przez ten jeden skok, przez jedną bramę. Przez jego waleczność, brak strachu przed tym, że jego żona i ośmioro dzieci mogą stracić ojca, męża, przyjaciela, chlebodawcę. On się nie bał i szedł do przodu. I razem z nim ruszył cały świat. Wolny, demokratyczny świat, taki jak mój. Zachód podziwiał i wspierał tego dzielnego elektryka. Pochodzę z biednego kraju, z prostej, wielodzietnej rodziny. Mój tata też był elektrykiem. Więc utożsamiałem się z Lechem Wałęsą. Dla mnie to, co robił ten człowiek, było wyjątkowe, godne podziwu, niesamowite. Miałem w życiu dwóch bohaterów: czarnego – Martina Luthera Kinga. I białego – Lecha Wałęsę.

Czy po aferze z dokumentami znalezionymi w domu wdowy po generale Kiszczaku Lech Wałęsa dalej jest Twoim bohaterem?

Tak. Nie zmienię swojego zdania. Kim jestem, żeby uważać, że mam prawo oceniać kogoś, kto jest potężną częścią historii XX wieku? Ja mam go krytykować? Ja, taki mały człowiek, który nie zrobił nawet połowy, nawet ćwierci tych rzeczy, których on dokonał? I tu nie chodzi o to, czy jestem wykształcony, czy nie. Ale nie sądzę, że miałbym tyle charyzmy, żeby pociągnąć za sobą miliony ludzi, żeby oni ruszyli za mną, aby coś zmienić w moim kraju czy w moim społeczeństwie.

A to, że znaleziono na niego jakieś papiery... Pytanie, czy one są w ogóle prawdziwe. A nawet jeśli, to ich odkrycie historii przecież nie zmieni. Historia jest rzeczą świętą. Jest zła historia i dobra historia. Czy ktokolwiek może mi powiedzieć, że z powodu Wałęsy stało się coś złego? Przecież to jest śmieszne. Wałęsa na całym świecie kojarzy się ze szlachetnymi wartościami i z sukcesem. Myślę, że część Polaków nie jest po prostu w stanie przyjąć do wiadomości, że istnieją liderzy, którzy niekoniecznie musieli skończyć uniwersytet i mieć jakieś dyplomy magisterskie czy doktoranckie, ale byli w stanie przekonać ludzi do swoich poglądów i zmienić kraj. Wydaje mi się, że obecna ekipa rządu, która próbuje zwalczyć Wałęsę, największy problem ma właśnie z jego sukcesem. Z tym, że to on, a nie Jarosław Kaczyński zwalczył komunę i że to jego za to na całym świecie podziwiają i szanują. Politycy nie mogą zdzierżyć, że Wałęsa otrzymał wszystkie laury, więc starają się go zdeprecjonować, opowiadając, że był za głupi, za prosty.

Wałęsa sam Polski nie zmienił.

Ale przecież on nigdy nie mówił, że zrobił to sam. Zawsze podkreślał, że Solidarność to był wielki ruch. Ale on był twarzą tej rewolucji, jest twarzą Polski. Nie cały świat jest chrześcijański,

nie wszyscy czczą papieża Jana Pawła II. Ale Lecha Wałęsę znają w każdym zakątku świata, na każdym kontynencie. On jest ponad religią.

Być może uwikłał się w relacje, które nie deprecjonują tego, co zrobił w latach osiemdziesiątych. Ale czy mimo wszystko, jeśli rzeczywiście do tego doszło, nie powinien teraz publicznie za to przeprosić?

Chodzi Ci o to, że miarą człowieka jest to, czy potrafi przyznać się do błędu?

W skrócie.

Tak, to jest racja. Jednak Wałęsa wielokrotnie mówił, że nie ma za co przeproszać. Nigdy też nie twierdził, że nie podpisał papierów o współpracy ze służbami, że z nimi nie rozmawiał. Ale również zapewniał, że nigdy przez to nikogo nie skrzywdził. Dlaczego mamy mu nie wierzyć? Kim jesteśmy, żeby go osądzać? Dobry chrześcijanin wie, że tylko nasz Pan ma prawo nas sądzić i będzie nas sądził sprawiedliwie podczas sądu ostatecznego. Głęboko w to wierzę. Może ateści nie uznają takiego autorytetu z niebios, ale ja tak. Bóg mnie osądzi, nie człowiek, nie sąd. Z tego co wiem, Wałęsa również jest człowiekiem wierzącym, a więc choćby dlatego nie powinien kłamać. Jeśli kłamie, robi coś przeciw jednemu z naszych głównych przykazań: „Nie mów fałszywego świadectwa przeciw bliźniemu swemu”. I on będzie osądzony. Osądzeni będą też ci, którzy dzisiaj wieszają na nim psy.

Możemy bez końca rozprawiać o tym, czy Wałęsa kłamie, czy nie. Myślę, że nie kłamie, bo osiągnął już tyle, że nikogo nie musi się bać. Nie da mu się odebrać jego zasług, uznania, nagrody Nobla, miejsca w historii. Nie widzę w nim człowieka, który musiałby kłamać, kluczyć, opowiadać historie, które nie miały miejsca. Przyglądam się za to starej kobiecie – wdowie po

generale Kiszczaku – która chciała sprzedać kwity. Upubliczniając je, prosiła o pieniądze. Nie rozumiem w ogóle, z jakim nastawieniem zgłosiła się do Instytutu Pamięci Narodowej. Czy zakładała, że jeśli nie uda jej się za te dokumenty dostać zapłaty, to je podpali? Jeśli tak, to by oznaczało, że one w ogóle nie miały dla niej żadnej wartości. To wszystko jest wręcz śmieszne. Nasz naród – i mówię to jako Polak – jest gotowy zniszczyć symbol Polski, który zna i szanuje cały świat. Bo cały świat chce, żeby Wałęsa do nich przyjeżdżał, opowiadał o Solidarności, o tym fenomenie, jak związek zawodowy był w stanie obalić komunizm w Europie. Żeby Wałęsa tłumaczył im, jak ten ruch został stworzony i w jaki sposób on go prowadził, jak stał na jego czele, jakie to były emocje, jaka walka, jaka nadzieja. Cały świat chce słuchać opowieści Wałęsy, tylko my próbujemy go zniszczyć.

Słyszałem tu wiele razy, że my, Polacy, jesteśmy zawistni – jeżeli tylko jeden człowiek próbuje się wybić, to robimy wszystko, żeby ściągnąć go w dół. I nie cieszymy się, broń Boże, z sukcesów drugiego człowieka. Nie chcę teraz uogólniać, ale widocznie tak jest. Nagle niektórzy politycy z zawiści chcą być bohaterami. Pokażcie więc, jakie mieliście zasługi, co robiliście? Wałęsa zostawił rodzinę, siedział w ciupie, zamknęli go w odosobnieniu, naciskali na niego psychicznie i fizycznie. A wy co? Teraz jesteście w stanie tylko krytykować, że współpracował? Ten, który nie grzeszył, niech pierwszy rzuci kamieniem.

Wróćmy do Twojego przyjazdu do Polski. Na jakie studia chciałeś iść?

W ogóle nie myślałem o dziennikarstwie, nawet o żadnym humanistycznym kierunku. Przyjechałem do Europy, aby zostać inżynierem *agricultural*, czyli mechaniczno-rolniczym. Właśnie tego uczyłem się w Gujanie, takie skończyłem technikum. Nie wiem, czy znasz ten cały proces związany z przyjazdem obco-krajowca na studia?

Nie za dobrze.

No więc kraj studenta najpierw przelicza, ilu młodych ludzi na takie stypendium się nadaje, ma wystarczającą wiedzę i kwalifikacje, aby studiować na zagranicznych uniwersytetach. Później musi zdecydować, czy specjalność takiego człowieka, którego chce za granicę wysłać, będzie mu potrzebna i jeśli tak, to kiedy. W moim przypadku stwierdzono, że owszem, moja specjalność się przyda, warto we mnie inwestować, Gujana jest przecież krajem rolniczym, który eksportuje trzcinę cukrową, ryż, owoce, owoce morza, krajem, który ma potężne zasoby lasów, dżungli. Więc uznano, że za pięć–sześć lat będzie warto mieć takiego człowieka z powrotem u siebie. Polska strona nie ma wpływu na to, jaki kierunek taki człowiek wybierze. To kraj studenta go wysyła. Student ma tu, w Polsce, albo gdziekolwiek indziej, zadanie do wykonania. I za kilka lat wracasz do kraju z taką informacją: Narodzie, zadanie zostało wykonane.

A jeśli zadanie nie zostało wykonane, to co wtedy?

Tak naprawdę to dotkliwych kar chyba nie ma. Do więzienia za to nie pójdziesz, nie będziesz się musiał ukrywać. Znam studentów, którzy po dwóch–trzech latach nie wytrzymali presji studiów lub presji społeczności – myślę również o zachowaniach na tle rasowym – i po prostu wrócili do domu. I po sprawie, jakoś żyją, nikt ich nie ściga.

Żadnych kar nie musieli płacić? Ty nie musiałeś?

Teoretycznie jeśli nie wykonasz zadania, powinieneś płacić. Ale ja na przykład nie płaciłem. A powinieneś płacić aż z dwóch powodów: dlatego, że nie wróciłem do kraju, ale również dlatego, że zmieniłem kierunek studiów, nie wykształciłem się w dziedzinie, w której obiecałem się kształcić. Jednak w tak zwanych krajach Trzeciego Świata – uwielbiamy używać tego sformułowania – władze zmieniają się dość szybko, a wraz ze zmianami

nagle dowiadujesz się, że ty już im nie jesteś potrzebny. Nie upominają się o ciebie, czasem przestają wysyłać ci stypendium. Ty czujesz się wolny.

Do dzisiaj rząd Gujany nie skontaktował się ani ze mną, ani z moją uczelnią, żeby zadać pytanie, czy ten Brian Scott, którego wysłaliśmy do Polski trzydzieści lat temu, kiedykolwiek skończył studia.

Przyleciałeś tu w 1985 roku. Byłeś tu od wakacji czy przyjechałeś od razu na rozpoczęcie roku akademickiego?

Przyjechałem już po rozpoczęciu roku akademickiego, spóźniłem się. Był zimny dzień, 8 listopada 1985 roku. Miałem dwadzieścia pięć lat. Byłem dorosłym, niezależnym, samowystarczalnym człowiekiem, który miał swoje życie, swoją pracę, swoje pieniądze. Kiedy wyjeżdżałem, zostawiłem młodą żonę i córkę.

Kogo zostawiłeś?!

Żonę i córkę.

Przeczytałam wszystkie możliwe informacje o Tobie i nigdzie nie było ani słowa o tym, że miałeś w Gujanie żonę i córkę. Bo jesteś pierwszą osobą, której mówię to ze świadomością, że stanie się to informacją publiczną. Nie zwierzałem się z tego do tej pory żadnemu dziennikarzowi. Ale pomyślałem, że jeśli mamy napisać książkę, to albo będę ci mówił całą prawdę, będę całkowicie uczciwy, albo nie ma to sensu.

No więc miałem w Gujanie żonę. Była położną w szpitalu. Gdy wyjeżdżałem, obietnica mojego rządu była taka, że żona za rok do mnie dołączy, aby studiować w Polsce medycynę. Nasza córka Shenella miała wtedy tylko półtora roku. Mój rząd nie wywiązał się z obietnicy, żona nie mogła do mnie dołączyć. Minęły trzy czy cztery lata i wszystko się rozpadło. Z naszego małżeństwa nic nie zostało.

Dlaczego?

Czas, odległość. My mówimy: *Out of sight, out of mind*. Nie mieliśmy ze sobą kontaktu, aż w końcu już nie mieliśmy po co ze sobą rozmawiać.

W ogóle przez ten czas nie rozmawialiście?

Pisaliśmy tylko do siebie listy. Coraz częściej przebijała się w nich wściekłość i bezsilność. I w pewnym momencie wszystko rozbiło się w drobny mak. Kiedy jesteś młodym człowiekiem, masz swoje potrzeby. Potrzeby i fizjologiczne, i seksualne, i emocjonalne. Masz potrzebę bliskości. Jeśli te potrzeby nie są zaspokojone, to rodzi się frustracja i złość.

Tak naprawdę to była jedna decyzja urzędniczek z ministerstwa, która zajmowała się stypendiami, wyjazdami zagranicznymi. Ona miała decydujące zdanie odnośnie do tego, kto wyjeżdża na studia, a kto zostaje. Była takim sekretarzem stanu w ministerstwie. I w końcu nadszedł dzień, kiedy moja żona była spakowana i miała wyjeżdżać. Miała wizę, potrzebne papiery, wszystko. I nagle ta kobieta odmówiła jej tego ostatniego podpisu. Jedyne go brakującego.

Jak to argumentowała?

W ogóle nie argumentowała. Mówiła tylko do mojej żony, że ona nie jest jedyną kobietą, której mąż wyjeżdża, i że czasem kobiety zostają na jakiś czas bez męża, że to naturalne. I że ona nie widzi powodów, dla których rząd Gujany miałby wspierać jej wyjazd.

Masz teraz kontakt z tą córką?

Tak. Przed chwilą z nią rozmawiałem. Ona mieszka na Jamajce, ma męża. Jest również, jak jej mama, pielęgniarką. Jej mąż jest inżynierem w dużych zakładach trzciny cukrowej, mają dwóch synów.

Jesteś więc dziadkiem.

Tak. Oprócz tego mam jeszcze drugą córkę, która nosi imię po mnie. Nazywa się Brianella. Jest prawnikiem w Szkocji.

Z tej samej matki?

Tak.

Utrzymujesz kontakty z byłą żoną?

Rozmawialiśmy przedwczoraj.

Nie chowa urazy?

Ja nie mam wrogów. Nikt nie ma do mnie pretensji o to, co się stało.

Wiesz, jestem człowiekiem, który wierzy w przeznaczenie. Po prostu nie byłem w stanie być studentem i uezierać pieniędzy, aby co roku wracać na wakacje do domu. Pierwszy raz po przyjeździe do Polski odwiedziłem Gujanę dopiero, gdy zacząłem pisać pracę magisterką. Po pięciu latach. Wróciłem do Gujany i spotkałem się z kompletnie obcą kobietą. Pamiętaj, że wtedy nie było Facebooka, komórek, Internetu. W tamtych czasach zamawiałeś rozmowę telefoniczną i trzy dni później pani cię informowała, że jest połączenie. Zamawiałeś na pocztę telefon na podany numer i ta pani miała przez kilka dni próbować to połączenie dla ciebie zrealizować. A później ty zapomniałeś, że w ogóle zamawiałeś jakąkolwiek rozmowę. I nagle dzwonił telefon, pani z recepcji w akademiku mówiła: „Panie Brianie, jest dla pana połączenie”. Jakie połączenie? Z Gujany? No a ja już tego połączenia czasem wcale nie chciałem, bo na przykład Boże Narodzenie minęło.

Poczekaj, bo o tę drugą córkę, Brianellę, chciałam zapytać. Mówiłeś przecież, że wyjeżdżając do Polski, w Gujanie zostawiłeś - zgodnie z założeniem na rok - tylko jedną córkę i żonę. Bo tak było. Brianella została poczęta w 1990 roku, kiedy przyjechałem do Gujany na wakacje. Wtedy jeszcze nie byłem

związany z Ulą. Więc gdy wróciłem, spotkałem się z żoną i to wtedy Brianella została poczęta.

Ale wspomniłeś, że kiedy przyjechałeś do Gujany, zastałeś kompletnie obcą osobę.

To prawda. Nie było żadnej chemii między nami, żadnej bliskości. Ale doszło do zbliżenia i Brianella się pojawiła.

Wyjeżdżając, wiedziałeś, że nie wrócisz?

Tak. Wiedziałem, że nie wrócę i że trzeba to małżeństwo zakończyć.

Dlaczego nie chciałeś wracać?

W Polsce było już po obradach Okrągłego Stołu. Jak mógłbym opuścić plac boju w takim okresie? Jako dziennikarz? Wiesz, ilu dziennikarzy na świecie chciałoby około roku 1990 być w Polsce? To były najlepsze trzy lata Solidarności. Od tamtego czasu jest chaos. Wielu ludzi się ze mną zgodzi. Odkąd ze sceny zniknęli Tadeusz Mazowiecki, Jan Krzysztof Bielecki... Tak, mieliśmy jakieś momenty triumfu, wejście do Unii Europejskiej, do NATO. Ale najważniejsze, najbardziej gorące były te pierwsze trzy lata. Panowała euforia, wszyscy chcieli przyjechać do Polski, zobaczyć, co się dzieje. Moi znajomi, którzy studiowali w różnych krajach Europy Wschodniej, mój brat, który studiował w Kijowie, jego znajomi, nasi krajanie z Gujany – wszyscy odwiedzali wtedy Polskę i mówili: „Ale macie tu fajnie, ale macie piękne akademiki, jak wy fajnie żyjecie, wszystko macie w sklepach, a my jesteśmy w drodze do Niemiec, żeby kupić papier toaletowy i inne rzeczy”. I oni czasem już dalej do Niemiec nie jechali, bo widzieli, że my wszystko mamy w sklepach. Ba, wśród Gujańczyków, którzy przyjechali do Europy, aby studiować, tylko ci, którzy uczyli się w Polsce, znaleźli powód, dla którego nie musieli wyjechać po studiach

ze stypendialnego kraju. Bo jak ktoś studiował w Związku Radzieckim albo na Węgrzech, to po studiach jechał dalej, na Zachód, żeby mieć lepsze życie. A po co wyjeżdżać z Polski? Polska to kraj, który należy do świata Zachodu. Nie znałem studentów, którzy zawarli związek małżeński na przykład w Związku Radzieckim i tam się osiedlili. Nie, oni zabierali swoje rosyjskie rzeczy i stamtąd spieprzali.

A nie chciałeś po 1990 roku ściągnąć tu żony?

Byłem nadal studentem, nie miałem możliwości. Nie miałem nawet karty stałego pobytu, nie mogłem kupić mieszkania, budować domu. Zresztą z czego?

Pytam, czy chciałeś, a nie czy mogłeś.

Nie, nie chciałem. Już tutaj poznałem dziewczynę, co do której miałem pewność: przy niej jest moja przyszłość. Ona jest mi przeznaczona.

Czyli Ulę, Twoją żonę?

Tak.

A znałeś ją już wtedy, gdy pojechałeś w 1990 roku do Gujany?

Tak. Ale nie byliśmy jeszcze razem.

Ula nie zezłościła się, że spłodziliście tam kolejne dziecko?

Przede wszystkim nie przypominam sobie, żebyśmy w ogóle o tym rozmawiali. Nie miałem zresztą pojęcia, że spłodziłem dziecko. Wiedziałem tylko, że uprawialiśmy seks.

A jak Twoja gujańska żona zareagowała w 1985 roku na to, że wyjeżdżasz? Przecież nie mogła mieć pewności, że do Ciebie dołączy.

Plan był taki, że dołączy.

Nawet jeśli by dołączyła, to wciąż byłaby dla niej duża zmiana. Wspierała mnie. Bo pochodzimy z miejsca, gdzie panuje kult zdobywania wiedzy, studiów wyższych. To są wartości najbardziej cenione. Masz wykształcenie – jesteś elitą. Kto by nie chciał należeć do takiej elity albo mieć kogoś: męża, syna, brata, kto do niej należy? Kiedy wyjeżdżasz z Gujany na studia albo nawet w jakimkolwiek innym celu, ludzie uważają cię za wybrańca losu. Sądzą, że świat stoi przed tobą otworem.

Nie wahałeś się więc?

Ani przez moment. Miałem przecież wsparcie mamy, taty, mojego rodzeństwa.

Powróćmy do tego listopadowego, zimnego popołudnia. Jakie były Twoje pierwsze wrażenia, kiedy wylądowałeś w Warszawie?

Byłem zszokowany wyglądem lotniska w 1985 roku. Lotnisko Okęcie wyglądało jak zwykły barak, a przyjechałem z kraju byłej kolonii brytyjskiej, w którym nasi biali bossowie, czy biali panowie z Wielkiej Brytanii, od dzieciństwa nam opowiadali, jaka Europa jest wspaniała, piękna, elegancka. I wmawiali nam, że my w porównaniu z Europą jesteśmy do niczego. Uwierzyliśmy w to. I nagle ląduję, widzę baraki w centrum Europy, ludzi źle ubranych, do tego doszła jeszcze ta jesienna szarość, zimno, beznadziejnie. Nie ma zielonych listków na drzewie, śnieg nie jest wcale biały, bo brudny. I ludzie, którzy patrzą na mnie i moich kolegów, jakbyśmy spadli z jakiegoś oddalonego o kilka milionów lat świetlnych od Polski kosmosu. I to był szok. „Kurde, czy my jesteśmy w Europie?” – zastanawialiśmy się. Dopiero kilka tygodni później zrozumieliśmy, że istnieje coś takiego jak Europa Wschodnia i Europa Zachodnia. Europa drugiej, trzeciej i czwartej kategorii. I Polska należała do tej trzeciej.

Ale mówiłeś wcześniej, że byłeś świadomy tego, co tu się dzieje, że wiedziałeś, jaki jest ustrój, że Solidarność rośnie w siłę, że idzie jakaś rewolucja.

Byłem świadomy walki przeciw komunizmowi, przeciw reżimowi generała Jaruzelskiego. Ale w Polsce nie byłem nigdy. Nie wiedziałem, jak fizycznie to tutaj wygląda. Wyprowadzałem się do Europy. Eu-ro-py. Dla człowieka takiego jak ja, który przyjeżdża z kraju, gdzie jest zielono, gdzie jest słońce przez cały rok, czasami tylko pada deszcz, gdzie są tylko dwie pory roku: deszczowa i słoneczna, gdzie wchodzisz do sklepu i masz same świeże produkty, nie ma jedzenia w pudełkach, w kartonach, w puszkach, gdzie masz ryby zawsze świeże, soki wyciśnięte, ta listopadowa, socjalistyczna polska rzeczywistość była szokiem. Dla mnie to, co mieliśmy w Gujanie, zawsze było jakimś znakiem niższości. Bo wszystkie inne rzeczy widziałem w filmach. W Polsce też je widziałem, ale w małych ilościach, czasem trafiało się na coś na zwyczajnie pustych półkach. Zaczynałem studia w tych czasach, kiedy każdy student otrzymywał co miesiąc kartkę na mięso. A jeśli chciałeś mieć coś lepszego, coś więcej, to musiałeś iść po to do Peweksu. W Krakowie największy był na ulicy 18 Stycznia, czyli na dzisiejszej Królewskiej.

Sam przyleciałeś do Polski?

Nie. Przyleciała ze mną koleżanka Bellinda Rotterfold i kolega Dwayne David.

Jak komentowaliście to, co zobaczyliście?

Bellinda płakała i Dwayne płakał. Ja, jako najbardziej doświadczony, starałem się ich uspokajać, choć i mnie było ciężko.

Oni byli młodszy?

Tak, Dwayne był najmłodszy, miał chyba osiemnaście lat. Pamiętam jak dziś to, że ich uspokajam, wręcz na nich krzyczę,

żeby nie robili wstydu na lotnisku. Ludzie na nas dziwnie patrzyli, z głośników słyszeliśmy tylko komunikaty w tym niezrozumiałym języku, który brzmiał dla nas tylko jak „szcz, rzz, czzz, szzz”. Nikt nie kwapił się, żeby podejść do nas i zapytać, czy można nam jakoś pomóc. Mieliśmy wszystkie papiery, więc przeszliśmy przez służby. I nagle znaleźliśmy się w holu, Polacy patrzyli na nas, pokazywali sobie palcami, że Murzyni stoją. Albo śmiali się z nas, albo robili dziwne miny. My mieliśmy tego świadomość, choć nie rozumieliśmy słów. Pokazywali nas palcami, ale nikt nie podchodził. Więc rozejrzałem się i zauważyłem słowo „informacja”, co skojarzyło mi się z *information*.

A w informacji nie mówili pewnie po angielsku?

Właśnie. Ale na karteczkach mieliśmy napisane, że mamy jechać do Łodzi. Więc kiedy podeszliśmy, pani zaczęła do nas mówić po polsku. Wtedy nie rozumiałem z tego ani słowa, a po tylu latach nie pamiętam tego na tyle dokładnie, by teraz to odszyfrować. Zdaje się, że próbowała do nas mówić również po rosyjsku, ale rosyjskiego przecież też nie znaleźliśmy, no bo skąd? W końcu powiedziała po angielsku tylko jedno słowo: *wait*.

Zacząła gdzieś dzwonić. Po jakichś trzydziestu minutach przyszła młoda dziewczyna, która mówiła po angielsku. Oświadczyła, że przysłano ją z ministerstwa, ma pomagać przyjeżdżającym do Polski studentom dostać się do miejsca docelowego. Przyjęliśmy tę informację z ulgą. Wtedy ona zabrała nas do autobusu, dojechaliśmy do Dworca Centralnego w Warszawie. Na dworcu kupiła bilety na pociąg, zabrała nas na peron i powiedziała, że tutaj zatrzyma się pociąg do Łodzi. Że mamy do niego wsiąść, a wszystko będzie w porządku. I że na miejscu mamy wziąć taksówkę i dojechać do Studium Języka Polskiego dla Cudzoziemców w Łodzi. I to był koniec, poszła sobie. To

było dość śmieszne, że zostawiła nas samych na tym peronie i mówiła: *Remember, train to Łódź will come. And you will get off at Łódź.* Więc czekaliśmy na ten *train to Łódź.*

Nie zaczekała z Wami?

Nie. Ale cieszyłem się, że w ogóle dotarliśmy na dworzec. Problem pojawił się potem. Patrząc na ten znak, tablice i widzę, że pociąg podjechał, ale nie widzę, żeby Łódź na nim było napisane. Bo dla mnie Łódź powinno być napisane *Wooge*, po angielsku. A nie „Ł”, „ó” i „dź” jakies! I ten pociąg stoi na peronie. Dziewczyna nie powiedziała nam, o której on przyjedzie. Więc my stoimy, czekamy i czekamy, patrzymy na ludzi, którzy do niego wsiadają. Ale nagle usłyszeliśmy: *Excuse me*, odwróciłem się i zobaczyłem starego żołnierza z medalami na klatce. Powiedziałem mu: „*We are waiting for train to Łódź*”. Więc on podszedł i powiedział, że to ten pociąg: „*THIS train, get on*”. Szybko wrzuciliśmy bagaże i wskoczyliśmy do środka. Dostłownie w tym momencie zamknęły się drzwi. Żołnierz odprowadził nas i usiedliśmy. I kiedy tak dłuższą chwilę siedzieliśmy, przyszedł konduktor. „Proszę bilety do kontroli” – tak pewnie powiedział. Oczywiście nie rozumieliśmy, ale nietrudno było się domyślić. I kiedy konduktor sprawdzał bilet, po jego minie już zauważyłem, że coś jest nie tak. Mieliśmy bilet na drugą klasę, a siedzieliśmy w pierwszej. Więc otrzymaliśmy mandat. Naszego pierwszego dnia w Polsce!

Niefart.

Pamiętam, że ktoś nas nawet w tym pociągu próbował bronić, mówił pewnie, żeby tego nie robić, że przecież widać, że my nic nie rozumiemy. Ale konduktor, tak mi się dziś wydaje, odpowiedział, żeby ten ktoś zajął się swoimi sprawami.

Ile tego mandatu dostaliście?

Nie pamiętam, ale nawet nie mieliśmy polskich pieniędzy. Zapłaciliśmy funtami, więc on nieźle się na nas wzbogacił. A my nic nie rozumieliśmy, byliśmy totalnie zdezorientowani. Dojechaliśmy do Łodzi, było ciemno, nic nie widzieliśmy przez okno, wiadomo jak jest jesienią. Kiedy wysiedliśmy na łódzkim dworcu, było już po godzinie dwudziestej pierwszej, dwudziestej drugiej. Dwayne i Bellinda byli nie do zniesienia, cały czas zdenerwowani. W ogóle mi nie pomagali, gdy próbowałem myśleć logicznie i jakoś nas zorganizować. Zobaczyłem znak „taxi”, podeszliśmy więc tam, gdzie stała taksówka. Ale taksówkarz odmówił zabrania nas wszystkich razem. A Bellinda i Dwayne nie chcieli się ze mną rozdzielać. Nie chcieli, żebym został na tym dworcu i dojechał do nich, ani tym bardziej nie chcieli zostać na tym dworcu beze mnie.

Dlaczego taksówkarz nie zgodził się zabrać wszystkich?

Podaję, że mieliśmy za dużo bagaży. Nie przyjechaliśmy na kilka dni, a na kilka lat. Więc siłą rzeczy mieliśmy ze sobą dużo różnych tobołów. Sam miałem dwie duże walizki, a Bellinda... Wiadomo, jakie są dziewczyny w tych kwestiach. Więc staliśmy ogłupieni i bezradni obok tej taksówki, a nieopodal przechodził akurat ojciec z małą dziewczynką i z psem. Widocznie późnym wieczorem wyszli na spacer. I ta dziewczynka krzyknęła do nas: „*Hello, how are you?*”. Jak nam się oczy ze szczęścia zaświeciły! Jezu, angielski, wreszcie! I wszyscy krzyknęliśmy: „*Hello, we need some help!*”.

Ile to dziecko miało lat?

Myślę, że dziewięć, dziesięć, nie więcej. Gdy jej ojciec nas usłyszał, powiedział, żebyśmy za nim poszli. Nazywał się Marek. Zabrał nas na posterunek milicji na dworcu. Tam wyszedł do nas duży milicjant w mundurze. Popatrzył na nas. Wszedł

do środka i znów wrócił, tylko już w innej koszuli, choć spodnie wciąż miał z munduru. I zabrał nas do milicyjnej nysy. Zajechał z nami do domu Marka. Tam żona Marka zrobiła nam kanapki i herbatę. Wtedy pierwszy raz piłem herbatę w szklankach. Do dzisiaj chce mi się śmiać, gdy to wspominam.

A z czym były kanapki?

To był chleb z masłem i białym serem, do tego chyba też jakieś nie najlepsze wędliny. Dzisiaj bym tego nawet nie tknął, ale to było nasze pierwsze danie w Polsce. I jeszcze przyrządzone od serca, przez ludzi, których przypadkowo spotkaliśmy. Wszystko dzięki tej małej dziewczynce, która się do nas odezwała, i dzięki temu tak naprawdę jej ojciec zorientował się, że potrzebujemy pomocy.

Później powiedział też do milicjanta, żeby zawiózł nas do akademika. Milicjant nam pomógł, bo w nocy nie było nikogo, kto mógłby nas przyjąć, tylko jedna pani w recepcji. Ale skoro przyjechaliśmy z nim, to zaraz się nami zajęła, zakwaterowała razem do jakiegoś pokoju, żebyśmy przespali się do rana. Marek powiedział, żeby dać milicjantowi pieniądze za to, że nam pomógł. To daliśmy piętnaście funtów. Wtedy nawet nie wiedzieliśmy, że te piętnaście funtów to było chyba sześć miesięcy jego pracy.

Zostawili Was tam na noc?

Tak, ale następnego dnia rano Marek przyszedł do akademika, żeby mieć pewność, że cały ten proces papierkowej roboty zostanie dokończony jak należy. Zaprosił nas na obiad do domu. On i jego żona bardzo polubili Bellinę. Nic dziwnego, była piękna, urocza, trochę zagubiona. Tego milicjanta nigdy więcej nie spotkaliśmy, ale przez ten rok w Łodzi ja i Bellinda bardzo często odwiedzaliśmy Marka. Po jakimś czasie Marek z żoną wyjechali. Nie wiem dokładnie gdzie, zdaje mi się, że do Anglii. Jeszcze za czasów PRL-u.

To mieli szczęście.

Tak, ich rodzina mieszkała na Zachodzie i dlatego znali język angielski. Mieli możliwość wyjazdu. Przecież Marek był blisko związany z milicją. Może był agentem? Ale to nieważne, bo jako pierwszy bezinteresownie wyciągnął do nas pomocną dłoń.

Jakiego pierwszego słowa nauczyłeś się po polsku?

Najprostszego: „cześć”. Oprócz tego najszybciej poznałem słowa: „kurwa” i „ja pierdolę”.

Okropność.

Wcale nie chciałem się ich uczyć. Robisz to mimowolnie, bo po prostu wszędzie słyszysz przekleństwa.

Jak szybko zacząłeś zajęcia w Studium Języka Polskiego?

Zajęcia zacząłem już na drugi dzień. Pierwszego dnia załatwialiśmy papiery. Musieliśmy zrobić badania lekarskie, pamiętam, że kazano mi zrobić kupsko i zanieść w plastikowym pudełku do badania, żeby Polacy mieli pewność, że nie przywiozłem bakterii, choroby, która by miała zdziesiątkować naród. I od razu musiałem załatwiać następne sprawy: zapisać się do biblioteki, wypożyczyć książki. Trafiło się do grupy, takiej jakby klasy, w której ludzie mieli w przyszłości studiować kierunek podobny do twojego. Osoby przeznaczone na studia ścisłe były w innej grupie niż przeznaczone na studia humanistyczne. W grupie ścisłej byli jeszcze dwaj Gujańczycy, którzy przyjechali wcześniej od nas. Jeden z nich był moim kuzynem. Przebywali w Polsce już od miesiąca, więc byli ważniakami, mogli nam pomagać. I pomagali: pokazywali, gdzie zrobić zakupy, gdzie wymienić pieniądze, gdzie kupić garnki.

Garnki?

Trzeba było gotować. Nie jadaliśmy na mieście.

To mieliście z tym gotowaniem utrudnione zadanie. Przyjechaliście z tropikalnego kraju, gdzie rybę można samemu złowić lub kupić, do PRL-u, gdzie półki – poza wszechobecnym octem – świeciły pustkami, a mięso można było dostać tylko na kartki.

Nie było tak źle. Kiedy składałeś papiery, otrzymywałeś pakiet studenta. Miałem w kieszeni kilkaset funtów. Z taką gotówką szło się do sklepu i było gościem. Obcokrajowcy mieszkali w Łodzi, w akademiku przy ulicy Kopcińskiego 1, który nazywano Wieżą Babel. Bo mieszkało tam kilkuset ludzi z całego świata: Chińczycy, Arabowie, Murzyni. Na korytarzach akademika słychać było hebrajski, francuski, angielski, etiopski. Więc mogliśmy liczyć na pomoc naszych kolegów, wszystko było już przetestowane, nam pozostawało łagodnie wchodzić w rutynę, która już tam panowała. Zajęcia mieliśmy codziennie od rana do godziny dwunastej. Potem wracaliśmy do pokoju, na ogół po drodze kupując jedzenie na obiad. Chyba że jedliśmy obiad na stołówce. Po zajęciach często szliśmy też do miasta. Taki był zresztą cel tego rocznego pobytu w Łodzi: żeby poznawać nie tylko język podczas zajęć w studium, ale i kraj, ludzi, kulturę. Czasem chłopcy wychodzili na tak zwane polowania, czyli na miasto, na dziewczyny. Porozumiewali się z nimi mową ciała, bo jeszcze nie umieli dobrze mówić po polsku.

Też wychodziłeś na polowania?

Nie tak wcześnie. Wtedy byłem powściągliwy. Ale z każdym miesiącem i z każdym rokiem było coraz trudniej się oprzeć.

Mówiłeś, że pokazywano Was palcami na lotnisku. Później, podczas tego rocznego pobytu w Łodzi, też?

No jasne. A myślisz, że w 2016 roku ludzie już na nas nie pokazują palcami? Wciąż są tacy kretyni, co pokazują.

Zdarzały się w Łodzi nieprzyjemne sytuacje na tle rasowym?
Zdarzały się.

Jakie?

Byłem opluwany. Poniżany. Obrzucany obelgami. Nie zawsze wiedziałem, o co chodzi. Ale zawsze można się było zorientować, że ktoś w kolejce w sklepie mówi o tobie. Z biegiem czasu, gdy coraz więcej rozumiałem po polsku, już wiedziałem, że mówią na przykład, że Murzyni śmierdzą.

Uczyłeś się więc polskiego, również słuchając obelg rzuca-
nych pod Twoim adresem?

Właśnie. Coraz więcej z nich rozumiałem. I było to coraz bar-
dziej bolesne.

Ile czasu spędziłeś w studium?

Ten miesiąc spóźnienia spowodował, że moje przygotowania do studiów stały się dość trudne. Nie byłem w stanie dostatecznie dobrze nauczyć się matematyki. Matematyka w Europie Wschodniej jest na bardzo wysokim poziomie, znacznie wyższym niż w krajach zachodnich. To był jeden z powodów, dla których Maria Mączyńska, nauczycielka języka polskiego i opiekunka w mojej grupie, kiedyś zawołała mnie na spotkanie i powiedziała: „Panie Brianie, mam takie przemyślenia odnośnie do ciebie. Otóż nie uważam, że jesteś dobrym materiałem na inżyniera. Nie widzę cię po prostu w tej roli. Jesteś za to urodzonym liderem. Uważam, że powinieneś być politykiem lub dziennikarzem. Pomogę ci, zmien kierunek”.

Na szczęście nie musiałem prosić w Gujanie o pozwolenie. I zmieniłem od razu kierunek na dziennikarstwo. Koniec końców miałem przez to przedłużony pobyt w Łodzi, spędziłem tam też połowę tego drugiego roku.

A więc w 1987 roku wyprowadziłeś się z Łodzi?

Tak, już przed wakacjami byłem w Krakowie. I zameldowałem się w akademiku Akropol.

A w jakim mieście byś studiował, gdybyś poszedł zgodnie z planem na studia inżynierskie?

Też w Krakowie.

Dlaczego?

Zrobiłem *research*, wiedziałem, że w Krakowie są bardziej znane uczelnie niż na Zachodzie.

Jak wspominasz Łódź?

Zajmuje szczególne miejsce w moim sercu, bo to moje pierwsze polskie miasto. Nie wszyscy lubią Łódź, ale ja lubię. Kojarzy mi się z córką Marka, z Markiem, z pierwszą dobrocią Polaków w stosunku do mnie. Nie jestem człowiekiem, który lubi żyć złymi wspomnieniami. Co nie znaczy, że zawsze było mi dobrze, że się nie przejmowałem. Przejmowałem się. Nieraz płakałem. Ale koniec końców lubię pamiętać dobrych ludzi.

Dlaczego płakałeś?

Przez ludzi, którzy mi ubliżali. Masz powód, by płakać, jeśli spędzasz pierwsze Boże Narodzenie poza domem. A to Boże Narodzenie w Polsce jest zupełnie inne, zimowe. Jest cicho. Jesteś zamknięty w czterech ścianach. U mnie święta spędza się z ludźmi – chrześcijanie, hindusi, muzułmanie są razem. W moim kraju nawet ludzie, którzy są muzułmanami i wierzą w Allaha, mają na Boże Narodzenie choinki. Nikt się nie boi islamskich terrorystów, a Boże Narodzenie jest traktowane jako święto narodowe, nie chrześcijańskie. Więc człowiek wyrwany z tej rzeczywistości ma prawo czuć się samotny, zagubiony. Zwłaszcza

gdy nie zna języka, na dworze jest zimno. Miałem taki okres i w Łodzi, i później w Krakowie, że przez blisko dwadzieścia dni nie wyszedłem z akademika. W ogóle! Cały czas byłem tylko w środku, dobrze, że była tam stolówka, sklep, kiosk, no i ludzie.

Zdziwiło Cię w Polsce, że może być tak zimno?

W zimie jest tu zimniej niż w Gujanie w lodówce! Dla faceta, który pochodzi z ciepłego kraju, to szok. Z natury nie jestem człowiekiem, który zakłada cokolwiek z góry. Wiedziałem, że jadę do kraju, gdzie jest śnieg, że w tej części świata są zimy. I nawet z zaciekawieniem do tego podszedłem, nie mogłem się doczekać spotkania z zimą. A jak się z nią spotkałem, to byłem rozczarowany. Bo śnieg był brudny, a Łódź, podobnie jak Kraków, była bardzo zanieczyszczona. Zima nie rzuciła mnie na kolana.

Nie rozumiałem też waszego zachwyty zabytkami. W Gujanie, kraju tak zwanego Trzeciego Świata, dobre i godne uwagi wydaje nam się to, co piękne, wysokie, lśniące. Więc patrzyłem na wasze zabytki, ale one były dla mnie tylko szarymi kamieniami. Takiego romantycznego stosunku do historii to my nie mamy. W Polsce jeśli budynek ma dwieście lat, to trzeba go ochronić. A my uważamy, że jak budynek ma dwieście lat, to trzeba go zburzyć i na to miejsce wybudować coś nowego. Ale to tylko wierzchołek góry lodowej różnic, jakie są między naszymi krajami. Dla mnie pobyt w Łodzi to był dopiero początek niespodzianek...

**OBCOKRAJOWIEC
NA UJ**

W 1987 ROKU przyjechałeś, za namową swojej nauczycielki polskiego, studiować dziennikarstwo do Krakowa...

Tak, Maria Mączyńska wierzyła, że mam wszelkie predyspozycje, by być dobrym dziennikarzem albo fantastycznym politykiem. I powiedziała również: „Jeśli zależy ci na tym, żeby skończyć dobrą uczelnię, pojedź do Krakowa”. Uniwersytet Jagielloński w 1987 roku był uważany za jeden z dwóch czy trzech polskich uniwersytetów, których dyplom miał jakiegokolwiek znaczenie poza granicami kraju. Cieszył się budowaną przez setki lat renomą. Pani Maria wzięła mnie na poważną rozmowę, żeby uświadomić mi, że to wielkie wyzwanie. Zapytała, czy czuję, że na pewno temu podołam.

Studia na Uniwersytecie Jagiellońskim są uważane za dość trudne, nawet dla Polaków.

Więc tym bardziej dla obcokrajowców. Panowała taka powszechna opinia, że obcokrajowiec nie jest w stanie skończyć studiów na UJ-ocie, a już na pewno nie w pięć lat. Chciałem udowodnić innym, ale też sobie, że dam radę.

Pojechałem do Krakowa prosto do akademika Akropol, na ulicę Piastowską. I w Akropolu mieszkałem od 1987 roku aż do końca moich studiów, do roku 1992. Pokój 904A, na dziewiątym

piętrze tego wielkiego budynku, stał się na te kilka lat moim domem.

Z kim go współdzieliliście?

Na początku z Piotrem Krajewskim, który był polskim studentem. Piotrek pochodził ze Skarżyska-Kamiennej. Miał dziewczynę Ilonę. To był fajny, spokojny chłopak. Studiował prawo, dzisiaj pracuje w kancelarii, jest partnerem prawniczym mojego szwagra, z którym również studiował. Wciąż mieszka w Krakowie. Ale nie widziałem go już bardzo długo.

Czyli to przez Piotrka poznałeś żonę?

Nie. Ula po prostu studiowała w tym samym czasie co ja, też mieszkała w Akropolu, razem z koleżankami. Przyjaźniłem się z wszystkimi dziewczynami z jej pokoju. Ula studiowała filologię rosyjską.

W jakich okolicznościach pierwszy raz do niej zagadałeś?

To było pod koniec 1987 roku. Na skrzyżowaniu ulic Piastowskiej i Koniewa, dzisiejszej Armii Krajowej. Tuż pod Akropolem. Moja przyszła żona wracała z biblioteki obciążona ciężkimi książkami. Zaoferowałem jej pomoc, bo kojarzyłem ją z akademika, choć nigdy wcześniej nie rozmawialiśmy.

Zaoferowałeś pomoc z dobrego serca czy dlatego, że wpadła Ci w oko?

Z dobrego serca.

Pytam, bo Ula musiała być piękna. Zresztą nadal jest.

Jest piękna. I jest fantastyczną osobą. Gdybym miał przeżyć swoje życie jeszcze raz, chciałbym, żeby Ula była moją pierwszą, drugą i jedyną żoną. Jest fantastyczną matką, świetną partnerką. Jeśli ktoś bywa w tym związku nie w porządku, to wyłącznie ja.

Ula potrafi stworzyć ciepły dom, serdeczną atmosferę. Może czasami jest trochę zbyt cicha, skryta, nie potrafi do końca wyrazić swoich uczuć. Ma dwie, góra trzy bliskie przyjaciółki, przed którymi się otwiera i z którymi szczerze rozmawia. Ula to nie jest osoba głośna, przebojowa, która szukałaby sensacji czy wielu znajomości. Najbardziej lubi własny dom, cztery kąty, które są jej azylem. Nie wiem, czy jestem idealnym facetem dla niej... Może zasłużyła na kogoś lepszego.

Ale nie narzeka?

Niespecjalnie. Choć u nas, jak w każdym małżeństwie, są dobre i złe chwile. Przeżyliśmy większość dobrych, ale mieliśmy też kryzysy. Nasza siła tkwi jednak w tym, że z tych kryzysów zawsze wychodziliśmy zwycięsko. I razem.

Jakie kryzysy?

Różne, wynikające z mojego charakteru. Jestem człowiekiem dość otwartym, zawsze kręciło się wokół mnie dużo kobiet, sporo też pracowałem poza domem. Więc do Uli trafiały różne plotki – mniej lub bardziej wiarygodne – o moich romansach, znajomościach z innymi kobietami. I za każdym razem z tego wychodziliśmy.

W tych plotkach było sporo prawdy?

Dzisiaj jestem dobrym człowiekiem.

Tak sobie myślę, że Ula musi mieć dużo cierpliwości i zrozumienia, żeby poradzić sobie z rozpoznawalnością męża. W latach dziewięćdziesiątych byłeś znany, egzotyczny i pewnie otoczony wianuszkami kobiet.

Okres RMF-u był dla naszego związku najtrudniejszy, bo byłem absolutną gwiazdą. Nazywano mnie „arcyprezydentem Krakowa”. Byłem najbardziej lubianym prezydentem stacji radiowej,

prowadziłem imprezy plenerowe, byłem twarzą RMF-u, która pojawiała się na billboardach w całej Polsce. Stałem się ich frontmanem. Nie był nim Piotr Mec, Andrzej Sołtysik ani nie była nim Ewa Drzyzga. Oni wszyscy mieli swoje miejsce i swoje role, które grali, ale szef RMF-u Stanisław Tyczyński najbardziej korzystał z mojej egzotyki. Ona była może nie tyle dochodowa, co świetna ze względów wizerunkowych. Działała jak magnes na słuchaczy RMF-u. Kulturowo byłem na innym biegunie niż większość polskich dziennikarzy. Byłem więc w stanie zadawać księdzu czy politykowi takie pytania, o których polski dziennikarz nawet by nie pomyślał. Bo był zbyt powściągliwy, grzeczny. Polscy dziennikarze uważaliby te pytania za zbyt bezczelne, bezpośrednie. Oni nawet pilnowali, żeby do księdza mówić: „Proszę księdza” czy „Proszę księdza prałata”. Nie przejmowałem się tym, zwracałem się do księdza tak, jak mi się powiedziało: albo proboszczu, albo per pan.

Przez to, że byłeś obcokrajowcem i nie znałeś polskiego tak, jak ludzie, którzy się tu urodzili, więcej się Tobie wybaczało. Więcej potknięć językowych, ale też, powiedzmy, kulturowych. Nie pytałem polityka, jaki ma stosunek do homoseksualistów albo do gejów, ale pytałem, jaki ma stosunek do pedałów. Bo to jest język najbardziej powszechny. Myślę, że ludzie lubili mnie słuchać, bo posługiwałem się językiem ulicy. Czułem wtedy, że jestem bardziej autentyczny, jestem dla nich jak „swój chłop”. Było w tej taktyce trochę świadomego wyboru, ale po części miało to związek z tym, że po prostu nie znałem języka literackiego. Do mnie te wszystkie „ą”, „ę”, te urzędnicze bełkoty nie przemawiały. Ani też nie przemawiały do moich słuchaczy. Do dzisiaj jestem zdania, że dziennikarze mają problem z językiem, bo szukają wysublimowanych słów, na siłę ozdabiają język dziwnymi wyrażeniami. A ja uważam, że znacznie lepsze efekty daje prostota.

Wróćmy do Uli. Zaproponowałeś pomoc w noszeniu książek i co dalej?

Spotkaliśmy się i dowiedziałem się, że mieszkamy na tym samym piętrze. Co więcej: w tym samym składzie. Znasz krakowskie akademiki?

Kilka razy tam byłam.

Więc składy wyglądają tak, że jest jedna łazienka z dwoma lustrami i dwiema umywalkami, jedna toaleta, jeden prysznic i dwa wejścia do składu po przeciwnych stronach. Nasz skład był tym środkowym, pamiętam, że winda znajdowała się na zewnątrz. Jeden skład miał cztery pokoje: dwie dwójki i dwie trójki. Mieszkałem z Piotrkim w dwójce, w drugiej dwójce mieszkała jakaś para, był jeszcze pokój z trzema chłopakami oraz trójka, w której mieszkała Ula z dwiema koleżankami. Na piętrze było dziesięć takich składów i jedna, wspólna kuchnia.

Czy kiedy przeprowadziłeś się do Krakowa, do Akropolu, i zacząłeś studia, nie bałeś się, że coś pójdzie nie tak? Że za słabo znasz polski, żeby studiować dziennikarstwo? To miała być jednak praca z obcym dla Ciebie językiem.

Nie myślałem o tym. Uważałem, że przyjadę na studia, skończę je, a językiem mojego dziennikarstwa będzie potem angielski. Trudniejszą część już miałem za sobą, bo ukończyłem przecież podstawowy kurs języka polskiego, który, przynajmniej w teorii, daje możliwość przejścia przez pięć lat studiów magisterskich. Dlaczego miałbym się bać?

Nie bałem się wyjechać z kraju. W Gujanie myśli się tak: jesteś z kraju Trzeciego Świata, z byłej kolonii brytyjskiej, biały człowiek zawsze ci powtarzał, że jesteś do niczego i będziesz nikim, bo nie jesteś wykształcony, nie masz tyłu papierów i dyplomów co on, więc to on zawsze będzie dyrektorem, wicedyrektorem, menedżerem. Ty najwyżej możesz liczyć na średnie

stanowisko, do którego można dojść, kończąc szkołę, bo o studiach nie masz co nawet marzyć. Więc biały ma to wszystko, czego ty nigdy nie osiągniesz, tylko dlatego, że pochodzi z tak zwanego Starego Kontynentu, skąd wywodzą się wszyscy odkrywcy świata, ludzie nauki, twórcy muzyki poważnej i tak dalej. Wiedziałem więc, że jeśli chcę być kimś w życiu, to muszę najpierw skończyć studia, a dobrym miejscem, żeby to zrobić, była dla mnie właśnie Europa. Nie mogłem się wycofać. Walczyłem o lepszą przyszłość. I byłem zdeterminowany, chciałem jechać do tej, jak myślałem, krainy mlekiem i miodem płynącej. Przyjechałem do Polski, aby dołączyć do lepszego świata. I aby trochę poznać tę fantastyczną kulturę.

I zawiodłeś się?

Na początku tak. Bo kiedy przyjechałem, nagle dotarło do mnie, że nikt mnie tutaj nie chce. Bo nie tylko mój kolor skóry, ale i cały bagaż kulturowy, etniczny, całe spojrzenie na świat, które miałem w sobie, było zupełnie inne niż to, które mieli Polacy. Zostałem poza tym Polskę biedną, zniszczoną, szarą, brudną. Polskę, w której są kartki na mięso. „Ja piernicę, gdzie ja jestem?” – myślałem z przerażeniem. „To jest ta cudowna Europa, o której mówili brytyjscy kolonizatorzy?”. Wtedy zrozumiałem też, że nie cała Europa jest taka sama. I zorientowałem się, że przecież Polacy chcieli dostać się do Stanów, tak jak ja chciałem dostać się do Europy.

Nie marzyłeś o Stanach?

Nigdy. Chciałem do Europy. Konkretnie: do Wielkiej Brytanii, ale wtedy takich możliwości nie było.

Jednak te brytyjskie korzenie zrobiły swoje.

I byłem blisko nich. Przyjechałem do upragnionej Europy. Myślałem sobie, że stąd już będzie łatwiej dostać się do Wielkiej Brytanii.

Czemu Wielka Brytania? Czy to przez opowieści kolonizatorów jawiła się jako najcudowniejsza?

Tak. Przez całe życie, jeszcze kiedy byłem małym, a potem młodym Murzynem, wmawiano mi, że wszystko, co w Gujanie mamy, zawdzięczamy kolonizatorowi i tym kolonizatorem jest Wielka Brytania. W Gujanie do dzisiaj panuje rodzaj tęsknoty za kolonizatorem, tak jak w Polsce niektórzy dalej tęsknią za komuną. Tak myślący to *homo sovieticus*, którzy będą uważać, że władza powinna być w rękach najprostszych ludzi, a nie jakichś wykształciuchów. Są jeszcze w Polsce osoby, które w to wierzą, tak żyją. Nazywają się teraz prawicowcami, ale myślą podobnie jak komuniści.

Więc przyjechałem, zamieszkałem w akademiku i zrozumiałem, że to kompletnie inny kraj, inna kultura. Zrozumiałem, że kurde, jestem inny, z powodu koloru skóry, tego, że mam kręcone włosy, że nie mam niebieskich oczu, że nagle jestem tym brudasem, tym złym. Jestem adidas, Kunta Kinte, murzynek Bambo, asfalt. Jezu, tyloma epitetami mnie obrzucano, że czułem się jak zwykły śmieć. Przynajmniej inni chcieli, żebym tak się czuł. Ale ja nie chciałem dać się sprowokować, znałem swoją wartość. Było jednak wiele chwil, kiedy siedziałem i płakałem. Modliłem się, żeby każdy dzień minął jak najszybciej. Żebym mógł skończyć te studia i wreszcie wyjechać. Zawsze z kolegami obiecywaliśmy sobie, że dzień obrony pracy magisterskiej będzie tym, na który będziemy już mieć bilety lotnicze, wsiądziemy w pierwszy lepszy samolot i stąd spierdolimy. *Forever*. Bo oni nas tutaj nie lubią, wręcz nie cierpią. Bywałem bity, kopany, opluwany, obrażany słownie. Przez cały ten czas. W tym kraju.

A kiedy zostałeś najpoważniej pobity?

Na pierwszym roku. Szedłem spokojnie przez park Krakowski, bo wybierałem się do kina Mikro przy Alejach. Było tam jakieś spotkanie, na którym chciałem być. Byłem elegancko ubrany.

I nagle od tyłu podbiegło do mnie dwóch facetów, rzucili mnie na ziemię i zaczęli kopać. To był moment. Załatwili mnie bardzo szybko, po czym zniknęli w ciemności. Nawet nie zdążyłem zapamiętać ich twarzy, dokładniej im się przyjrzeć.

Zamiast iść do kina, wróciłem z płaczem do akademika. Z płaczem i z decyzją, że nigdy więcej nie będę chodził do kina. I do dziś mam uraz. Moja żona musi mnie bardzo prosić, żebym z nią wyszedł obejrzeć film. Ostatni raz dałem się namówić ponad rok temu, a wcześniej miałem dwa lata przerwy. Jestem człowiekiem, który czuje się najbezpieczniej w tym miejscu, gdzie teraz jesteśmy. To mieszkanie na krakowskim Prądniku jest moim królestwem. Te siedemdziesiąt metrów kwadratowych to moja ziemia. Moja żona jest panią premier, ministrem finansów i gospodarki, nasi synowie i kot to obywatele. A ja pełnię funkcję prezydenta tego państwa, a także ministra obrony, bo jestem gotowy zginąć, byle nie dopuścić do tego, żeby ktoś naruszał moją prywatność w tym miejscu.

A zdarzało się to? Bo zauważyłam, że na domofonie nie ma Waszego nazwiska.

Mojego nazwiska nie ma też w książkach telefonicznych. Zastrzegłem, żeby nie było.

Dlaczego?

Ze względu na ochronę prywatności. Na Prądniku zacząłem mieszkać jeszcze w czasach, kiedy byłem na tak zwanym topie. Gdy wcześniej mieszkałem w innych miejscach, gdzie ludzie znali mój adres, to potrafili dzwonić domofonem i prosić: „Pan Brian Scott, czy mogę autograf dla córki?”.

Ale o tym domu-twierdzy mówię poważnie. Wychodzę rano do pracy i dom to jedyne miejsce, do którego wracam z uśmiechem. Tu czuję się bezpiecznie, tu czuję się panem swojego losu. Na zewnątrz, aż do dzisiaj, mogę spodziewać się dosłownie

wszystkiego. Nie chodzi o to, że Polska się nie zmienia. Zmienia się bardzo. Jestem nauczycielem w szkole, wykształciłem kilkaset młodych, fantastycznych Polaków i Polek. Wiem, że oni mnie szanują, niektórzy nawet kochają, są w stanie skoczyć za mną w ogień. Fakt, jestem nietypowym nauczycielem. Uczę żyć w świecie kosmopolitycznym, pokazuję uczniom, jak nie uzależnić się od bycia w obrębie państwa polskiego. Przed wejściem do Unii Europejskiej zawsze powtarzałem im: „Jesteście Europejczykami, zasłużyliście na to. Może wasi rodzice nie, ale wy tak, bo jesteście fantastycznymi ludźmi. Ale jest kilka rzeczy, które musicie zrozumieć: wasza kultura nie jest najlepsza na świecie. Wasza historia nie jest najwspanialsza na świecie. Ten egocentryczny pogląd Polaków na życie, to przekonanie, że jesteśmy najwspanialszym narodem – to również nie jest prawda. Wasza krzywda nie jest największą krzywdą na świecie. Mogę powiedzieć, że bycie Murzynem, bycie przez kilkaset lat niewolnikiem to większa krzywda niż to, że Polska przez pięćdziesiąt lat była pod władzą komunistów czy nawet że przez te sześć lat była nękana przez nazistów. Ale nie możemy uważać, że jesteśmy najbardziej skrzywdzeni przez wszystkich dookoła, nie możemy popadać w psychozę, że nasi sąsiedzi nas nie kochają, a jedyne miejsce, gdzie możemy szukać dobrego sojusznika, jest daleko, po drugiej stronie oceanu”.

Opowiadałeś to dzieciom w szkole?

Tak, uczyłem też, że miarą inteligencji nie jest zdobywanie dobrych ocen, ale to, żeby umieć skorzystać z wiedzy w każdym miejscu na tej ziemi, którą Pan Bóg dla nas stworzył. Wolę średniego ucznia, który jest miły, sympatyczny, dba o higienę, ma dobre maniery, zna słowa: „dzień dobry”, „dziękuję”, „do widzenia”, przepuszcza kobietę w drzwiach. Może to zbyt romantyczne...

Faktycznie, masz trochę fioła na punkcie manier.

Mam. To dla mnie bardzo ważne. Krew mnie zalewa, kiedy widzę, jak jakiś szef wchodzi do pracy i uważa, że pani sprzątaczką nie zasłużyła na to, by usłyszeć „dzień dobry”. Czemu? Bo ona tylko sprząta, a on jest wielkim panem, dyrektorem, prezesem zarządu. No kurde! Bez tej kobiety ten prezes zarządu będzie miał przecież brudne biuro, będzie musiał pracować w rynsztoku. Każdy z nas ma swoją rolę i te role w pewnym momencie stykają się. Jesteś właścicielem firmy? Przecież ta firma nie będzie prosperować, jeśli nie dasz pracownikom możliwości bycia tym, kim chcą być: dobrymi ojcami, mężami, ludźmi, którzy mają z czego zapłacić rachunki.

Niejednokrotnie widziałam w różnych firmach, jak dostawca był bardziej kulturalny od prezesa. Wysokie stanowisko nie czyni nikogo mądrzejszym.

Może ich zdobyta wiedza nawet jest wyższa, ale często nie mają mądrości życiowej. Wiesz, dlaczego jestem wolnym strzelcem? Miałem wrażenie, że każdy szef w Polsce uważa, że jest właścicielem swoich pracowników. Nie patrzy na to, czy jego pracownik jest starszy, młodszy, czy jest kobietą, mężczyzną. Dla mnie takie rzeczy zawsze są ważne. Nawet kiedy jesteś prezesem zarządu, powinieneś szanować tę starą sprzątaczkę: chociażby dlatego, że jest od ciebie starsza. Nie mogę też zaakceptować szefa, który podnosi głos na pracowników. Kim on jest? Moim ojcem?

Zagraniczny szef zwykle wie, że potrzebuje dobrych, zadowolonych pracowników, że on potrzebuje ich bardziej niż oni jego. Bo szefa można łatwo zmienić, a o całą załogę już znacznie trudniej. A w Polsce szefowie jeszcze tego nie zrozumieli. Widać to na każdym kroku.

Jest również wielu nauczycieli, którzy uważają, że wszystko potrafią i wiedzą, sądzą, że do dzieci trzeba podchodzić z góry, nie można się z nimi zaprzyjaźniać. Wystarczy zapytać mojego

syna, co o tym myśli. Dzieci w szkole mówią do mnie: „Dlaczego pan nie może być moim wychowawcą? Cemu nie może pan uczyć wszystkich przedmiotów?”. Albo przychodzi mój syn i oznajmia: „Koledzy zazdroszczą mi, że jesteś moim ojcem!”. Wolę na przerwach być poza pokojem nauczycielskim. Lubię chodzić po korytarzu, przytulę, pogadam, przybiję piątkę lub zrobię „żółwika”, zapytam uczniów, jak ich dziewczyny, ich chłopaki, czy już pili w życiu jakieś piwo, czy się całowali.

Wracając do akademika. Czy to był Twój dom, ostoja, czy czułeś się tam bezpiecznie?

W tym pokoju 904A na dziewiątym piętrze czułem się bezpiecznie. Bo wiedziałem, że to będzie mój dom przez kolejne lata. Bo obcokrajowcy nie musieli się co roku wykwaterowywać. Nawet w wakacje tam byliśmy.

A zdarzało się, że winda nie działała?

Tak, ale ja lubię biegać. Wtedy poznajesz ludzi po drodze.

Były tam jakieś imprezy? Brałeś udział w życiu towarzyskim akademika?

Nigdy. Całe życie studenckie zwykle nie żywiłem się nawet w stołówce, bo gotowałem sam. Nie chodziłem na dyskoteki – ani na miasteczku, ani poza miasteczkiem. Miałem za to własny sprzęt audiowizualny z Peweksu – dobry kolorowy telewizor, dwa magnetofony: Akai i Casio. Akai jest jeszcze u mojej teściowej. Casio ktoś ukradł z pokoju mojej dziewczyny, obecnej żony. Wszedł do jej pokoju i po prostu go wziął.

Szybko związałeś się z Ulą?

Nie. Najpierw zaprzyjaźniłem się z jej koleżankami z pokoju. Często przychodziły do mnie, aby oglądać filmy wideo. Gotowałem i rozmawiałem z nimi. I one mnie uspokajały. Bo kobiety

w Polsce są bardziej tolerancyjne. Wystarczy pomyśleć, ile dziewczyn w Polsce ma za chłopaka Murzyna albo Araba. Ale Polaka z Murzynką widzi się już znacznie rzadziej. Polak zawsze ci mówi, że najlepsze są Polki, koniec kropka. Moje koleżanki tłumaczyły mi w trudnych momentach: „Nie wszyscy są tacy, nasz kraj jest piękny, jutro będzie lepiej, nie wyjeżdżaj”.

Nie wyjeżdżaj?

Chciałem rzucić studia i wyjechać. Bo ile można znieść? Jak masz na drzwiach swojego pokoju w akademiku napisane sprayem: „Polska dla Polaków” albo „Murzyn do Afryki”, to czy czujesz się dobrze? Co masz robić, kiedy budzisz się rano, chcesz opuścić pokój, ale nie możesz, bo wszystkie śmieci z piętra rzucono ci przed drzwi? I to zrobili ludzie, którzy są rzekomo przyszłością Polski. Ludzie na studiach! Ci, którzy pod drzwiami stawiali mi śmieci, malowali te rasistowskie hasła na drzwiach, są teraz wziętymi adwokatami i politykami. Część z nich przynajmniej. Wiem to, bo ich znam.

Kto?

Tego nie mogę powiedzieć. Oni teraz chcą, żeby ludzie na nich głosowali, mówią o miłości i podobnych rzeczach. *Sorry*. Nawet nie chcę pamiętać, jak się nazywają.

Może faceci, którzy wypisywali te obelgi na drzwiach, po prostu zazdrościli, że dziewczyny Cię lubią?

Nie.

A więc czysty rasizm?

Czysty rasizm. Myślę, że wtedy to nie było z powodu dziewczyn. Większość z nich nie interesowała się dziewczynami, jedynym ich zainteresowaniem był alkohol. Nie wiedzieli, jak postępować z kobietami. Oni zazdrościli mi czegoś innego – tego, że

jako student byłem w stanie żyć na wyższym poziomie niż oni. Znacznie wyższym.

Czyli na przykład co miałeś, oprócz magnetofonu, czego oni nie mieli?

Przede wszystkim bardzo szybko miałem własny pokój.

Piotrek się wyprowadził?

Doszło do nieporozumień między nami. Do przepychanek nawet. I on się musiał wyprowadzić z pokoju. Zostałem sam.

Biliście się?

Tak. I wieść o tym trafiła aż do dziekanatu. Skończyło się tak, że mieszkałem w tym pokoju sam przez całe studia. Miałem wykładzinę na podłodze, miałem tapetę na ścianie, bo było mnie na to stać. Otrzymywałem trzysta pięćdziesiąt dolarów miesięcznie.

Jak na tamte czasy kupa pieniędzy.

O tak, profesor wówczas zarabiał dwadzieścia pięć dolarów miesięcznie. Więc ja miałem kilkanaście par butów, kolorowy telewizor, wideo. Gotowałem codziennie najlepsze potrawy, bo kupowałem jedzenie w Peweksie. Ubierałem się w najlepsze ciuchy, też z Peweksu. Miałem biały, mięciutki papier toaletowy, też go kupowałem w Peweksie albo przywoziłem z Niemiec. Obcokrajowiec zawsze miał możliwość podróżowania, mógł wyjechać za granicę i bez problemu wrócić.

Może dlatego tak Cię te dziewczyny lubiły?

Bzdura! Polki, wbrew temu, co niektórzy mówią, nie są i nigdy nie były łase na pieniądze. Po prostu studenci spotykali się ze studentkami w akademiku, należeliśmy do tej samej ekipy. Dziewczyny były *colourblind*: jeśli byłeś dobrym człowiekiem, wchodziły z tobą w relacje. Nie życzę sobie, żeby ktokolwiek

myślał, że Polki były jakimiś kurwami, które są w stanie być z kimkolwiek, byle miał dużo pieniędzy. Kurwy były gdzie indziej – na przykład na Plantach. Ale nie w akademikach.

Nie przeszło Ci przez myśl, że – może nawet nieświadomie – prowokujesz kolegów ze studiów i z akademika tą wykładnią, tapetą i tymi butami?

Przepraszam bardzo, chciałem tylko żyć tak, jak żyłem u siebie. *Hello*. W Gujanie mieszkałem w domu jednorodzinnym, gdzie zawsze były dywany na podłodze, gdzie nie spałem na tapczanie, a na łóżku. Zawsze miałem własną sypialnię.

Ale lubiłem akademik Akropol, bo w Gujanie nie ma takich wysokich budynków. Kiedy wyjeżdżałem, najwyższy w całym kraju miał pięć, może sześć pięter. Więc gdy zobaczyłem Akropol, pomyślałem: „Kurde, moje marzenie. Mieszkać w *skyscraper*, drapaczu chmur”. Powracając do tego standardu w akademiku: chciałem po prostu stworzyć warunki, do których byłem przyzwyczajony. Miałem gdzieś to, że ktoś może być niezadowolony, bo jego kraj jest socjalistyczny. Nie robiłem tego ostentacyjnie, żeby ktoś czuł się źle. Nie mówiłem nikomu: „Ty biedaku jeden”. Owszem, robiłem zakupy w Peweksie, ale po prostu dlatego, że do takich rzeczy byłem przyzwyczajony. Przedmioty, które były w Polsce na sklepowych półkach, mi nie odpowiadały. Nie chciałem takiego piwa pić, wołałem inne. Nie chciałem takich papierosów palić, wołałem te z Peweksu. Chciałem mieć prawdziwe perfumy i markowe jeansy.

Dlatego doszło do nieporozumień z Piotrem? Chodziło o zazdrość?

Nie. Pojawiły się zgrzyty nietolerancyjne. Piotrek nie był złym człowiekiem, ale jego dziewczyna – wiem to na pewno – mnie nie lubiła.

I nastawiła go przeciwko Tobie?

Myślę, że tak.

Co rozumiesz przez „zgrzyt nietolerancyjny”?

Miałem wrażenie, że ona nie lubi Murzynów.

Powiedziała Ci to kiedyś?

Nie musiała. Znam się na komunikacji niewerbalnej. Jeśli człowiek cię unika, wychodzi zawsze, gdy przychodzisz, nie wita cię, to nietrudno zauważyć, że cię nie lubi. Szanowałem ją, bo była dziewczyną Piotrka. Byłem w stanie ją akceptować, ale ona nie akceptowała mnie. Pamiętam jak dzisiaj – Jezu, to już trzydzieści lat minęło! – to było tak, że on mi coś zasugerował i straciłem panowanie nad sobą. Uderzyłem go.

Co Ci zasugerował?

Użył jakiejś formuły, której nie akceptowałem. Na pewno mówił coś o Murzynach. Wtedy takie rzeczy – w ogóle to słowo – działały na mnie jak płachta na byka.

Teraz masz do tego bardzo dużo dystansu. Wręcz śmiejesz się ze swojej „murzyńskości”.

Tak. Ale wówczas to słowo było używane w bardzo negatywnym kontekście, jak obelga. Zawsze czułem się bardzo źle, gdy je słyszałem. Ale potem, już jako dojrzały człowiek, spojrzałem na to inaczej. I zrozumiałem, że jednak w polskim słownictwie nie ma lepszego słowa na określenie mojego koloru skóry. Stwierdziłem wręcz, że skoro jestem dumny ze swojej tożsamości, ze swojego pochodzenia, to nie życzę sobie, żeby ktoś odebrał mi możliwość nazywania siebie Murzynem. Bo jestem Murzynem. *I'm a Negro, okay?* I to jest to, co mnie określa w polskim słowniku. To nie jest *Nigger* – czarnuch. Jak ktoś tak mnie nazwie, to jestem w stanie go ukatrupić. Ale trudno zaprzeczać temu, że jestem Murzynem.

Zrozumiałeś to dlatego, że Polska się zmieniła, czy dlatego, że to Ty się zmieniłeś?

I ja się zmieniłem, i Polska się zmieniła. Dzisiaj jestem innym człowiekiem. Bardziej zdystansowanym, doświadczonym, czującym, że Polska jest moją ojczyzną.

**MIEJSCE
W PODRĘCZNIKU**

„I HEAR the drums echoing tonight. But she hears only whispers of some quiet conversation”. Poznajesz?

Piosenka *Africa* zespołu Toto.

To pierwszy utwór, który pojawił się na falach RMF-u.

Tak. Był dokładnie 15 stycznia 1990 roku, południe. Zaczął się nowy rozdział w historii polskich mediów. Najpierw RMF retransmitował Fun Radio z Francji. Rozgłośnia dostała na to pozwolenie dzięki staraniom Krakowskiej Fundacji Komunikacji Społecznej, na której czele stał Stanisław Tyczyński. Na początku było bardzo dużo muzyki. Po niedługim czasie jednak RMF stał się czymś o wiele ważniejszym, najbardziej opiniotwórczym medium w Polsce, wyznaczającym drogę innym. Ale od tej piosenki zaczęła się historia.

Której stałeś się częścią.

Trafiłem do RMF-u na czwartym roku studiów, pod koniec 1991 roku. Z rekomendacji moich wykładowców.

Medioznawcy profesora Zbigniewa Bajki?

Jego i profesora Tomasza Gobana-Klasa. Oni zajmowali się na moich studiach mediami bardziej od strony teoretycznej i byli

częstymi gośćmi nowo powstałego RMF-u. To był czas, kiedy RMF wprowadzał serwisy informacyjne w języku angielskim. I moi wykładowcy doszli do wniosku, że – z oczywistych przyczyn językowych, ale nie tylko – będę się nadawał do ich czytania i przygotowywania. Że powinienem dołączyć do zespołu. Pogadali więc w RMF-ie...

Z kim?

W zasadzie to nie jestem pewny, czy z Tyczyńskim czy z Edwardem Mischakiem, który był dyrektorem programowym, takim łącznikiem między twórcą stacji Tyczyńskim a wszystkimi dziennikarzami. Sam nie szukałem pracy, to oni wpadli na pomysł, żebym poszedł do tej rozgłośni.

Jak sądzisz, dlaczego wykładowcy Ci zaufali?

No właśnie... Przecież mieli kontakt z różnymi obcokrajowcami w tamtym czasie. Ale pewnie widzieli, że to, co mnie wyróżnia, to ciekawość świata. Widzieli, że nie stronię od pytań, że znam Polskę od strony politycznej i historycznej. Że czynnie uczestniczę w zajęciach. Że nie traktuję studiów powierzchownie, wychodząc z założenia, że wystarczy mi zaliczenie. Nie, mi zaliczenie nigdy nie wystarczało, chciałem mieć dobre oceny. Nie każdy zagraniczny student podchodził do nauki w ten sposób. Na ogół odbywało się to tak, że wykładowca mówił do niego: „Okej, nie znasz realiów naszego kraju, ale nie chcę ci nic utrudniać, zadam ci dwa, trzy pytania, może cokolwiek odpowiesz, a wtedy postawię ci tróję”. Natomiast mnie trójka nie zadowalała. Głośno mówiłem, również na zajęciach, jaki – według mnie – powinien być dziennikarz.

Czyli jaki?

Uważam, że to powinna być przede wszystkim osoba ciekawa, lubiąca zadawać pytania, a rzadziej oceniająca. Nie, nie ma po

co człowieka wprost oceniać. Na opinię publiczną i tak bardziej wpłynie sposób, w jaki to pytanie zadasz, a nie to, czy i jak skomentujesz odpowiedź. Dziennikarz musi przede wszystkim pamiętać, do czego w ogóle jest społeczeństwu potrzebny.

Do czego?

Do tego, żeby być pośrednikiem między tym społeczeństwem a osobą publiczną. Bo przeciętny Kowalski ma wpływ na polityka tylko podczas wyborów. A w międzyczasie przecież nie zada mu pytania, nie wypomni mu żadnej niespełnionej obietnicy. Więc za niego musi to zrobić dziennikarz.

To trudne dla dziennikarza, który pochodzi z innego kraju, ba - z innego kontynentu. Pomijam problemy językowe, ale jednak taka praca wymaga osadzenia w pewnych społeczno-polityczno-historycznych realiach.

Pamiętaj, że nie byłem jakimś tam żółtodziobem. Byłem samorządowcem, politykiem radykalnym.

Tak, pamiętam. Socjalistą.

Powiedzmy: liberalnym socjalistą. Rozumiałem, co to jest demokracja. Że właściwe jest, aby o ważnych dla państwa sprawach decydowali jego obywatele. Że własność państwowa nie jest najlepszym sposobem na rozwój gospodarczy. I te spostrzeżenia również przedstawiałem na różnych zajęciach. Wykładowcy doskonale wiedzieli, jaki jestem. Że dam radę, pomimo ograniczeń językowych, które zresztą odczuwam do dzisiaj.

Wysłali do RMF-u trzech obcokrajowców: Marcina Jastrzębskiego, Charlesa Pole'a i mnie. Czytaliśmy serwisy informacyjne, wyszukiwaliśmy informacje - ta praca trwała kilka miesięcy. A później RMF kompletnie zmienił format, stacja została całkowicie polską rozgłośnią i jej szefowie stwierdzili, że nie ma

już sensu prowadzić tych zagranicznych serwisów, bo być może to wcale nie interesuje Polaków. No i odpadł Charles, odparł Marcin, a ja zostałem reporterem.

Opadli, czyli zostali wyrzuceni czy sami zrezygnowali?

Chyba sami zrezygnowali, bo nie widzieli już dla siebie na kopcu Kościuszki miejsca. A ja się cieszyłem, że przede mną nowy etap, nowe wyzwania, bo co to było za wyzwanie znajdować informacje z całego świata i czytać je na antenie po angielsku? Dziewięćdziesiąt procent słuchaczy i tak miało to w dupie. Ja wołałem robić coś ambitniejszego. Coś, co ma znaczenie dla Polaków. Chciałem pokazać, jak przeciętny Kowalski pracuje, jak mieszka, do jakiej szkoły chodzą jego dzieci, jak mu się powodzi, czy dalej chce na Zachód lub do Ameryki, czy uważa, że życie obcokrajowca jest poza granicami jego kraju.

Więc wyszedłem z mikrofonem na ulice, wszedłem do Sejmu, do mieszkań zwykłych Polaków i o to wszystko pytałem. Chciałem poznać każdego Polaka. Bo już samą Polskę trochę znałem. Przyjechałem z kraju bardziej demokratycznego niż ówczesna Polska, nie musiałem założyć paszportu. Znałem historię świata, historię Europy. Wiedziałem, o co chodziło w drugiej wojnie światowej, co się stało z Żydami w Auschwitz. Wiedziałem, kim jest Roman Polański, a kim Zbigniew Brzeziński. Polacy mają w sobie coś takiego, że niechętnie przyznają się do rodaków, których nie lubią. Ale jeśli kogoś uważają za wielkiego, to mówią: „O, to nasz rodak, pochodzi z Polski, urodził się w Poznaniu czy pod Poznaniem, wyszedł z łona matki Polki, jadał schabowego z kapustą”. W Ameryce Południowej mamy zupełnie inny stosunek do takich spraw, nie mamy na każdym kroku pomnika, tabliczki, że tu urodził się Brian Scott, o, a tu mieszkała Maria Mazurek, dziennikarka „Gazety Krakowskiej”. O, albo tu po raz pierwszy chodziła do szkoły. A w Polsce wszędzie wszystko jest opisane. Myślę, że to z po-

wodu starej, europejskiej cywilizacji. U nas nie do pomyslenia byłaby jakaś tabliczka: że na przykład tu mieszkał wielki gracz w krykieta.

A które podejście uważasz za lepsze?

Byłbym za tym, żeby znaleźć złoty środek. Bo z jednej strony uważam, że mieszkańcy innych kontynentów mogą zazdrościć Europejczykom i Polakom tego, jak ważna jest dla nich historia. Ale z drugiej strony wydaje mi się, że o wydarzeniach historycznych należy mówić, ale niekoniecznie nimi żyć. Musimy pamiętać, żeby nie popełniać tych samych błędów, ale też trzeba iść do przodu. Nie żyć tym, że kiedyś nasi rodacy – nasi, bo znów podkreślę, że jestem Polakiem – zostali skrzywdzeni przez sąsiadów. Mam świetny przykład ze szkoły, sprzed dwóch czy trzech lat. Mieli przyjechać do nas Niemcy i jeden uczeń mówi do mnie: „Te Szwaby, nienawidzę ich”. Zdziwiłem się: „Dziecko, co ty wygadujesz, na jakiej postawie mówisz, że ich nienawidzisz?”. A on na to mi odpowiada, że Niemcy zabili jego dziadka czy pradziadka. Mówię: „Nie oni, tylko naziści”. My, Polacy, chcielibyśmy, żeby Niemcy chodzili i wciąż bili się w piersi z tego powodu, że kilkadziesiąt lat temu Hitler wymyślił taką ideologię. Ile jeszcze oni mają się za to kajać? Ile jeszcze będziemy im to wypominać? Przecież to już zupełnie inne pokolenie. Zresztą to hipokryzja: przecież trzydzieści albo czterdzieści procent Polaków, którzy tak Niemców nienawidzą, ma choć jedną osobę w rodzinie pracującą w Niemczech lub niemieckiego szefa. Poza tym Niemcy inwestują u nas więcej niż Amerykanie i ktokolwiek inny. Jesteśmy tym, kim jesteśmy, także dzięki Niemcom. Dzięki nim mamy silną gospodarkę. To tak, jakbym ja, Brian Scott, miał potępiać Marię Mazurek tylko dlatego, że jest biała, a biali byli w przeszłości oprawcami Murzynów.

Powróćmy do początków RMF-u...

Otóż Staszek Tyczyński wybrał Edka Miszczaka, by mu pomógł stworzyć stację i pościagać do RMF-u dobrych dziennikarzy, bo przecież gdy wymyślili radio, na kopcu nie było zespołu. Nie było to łatwe. Pościągali najlepszych z Radia Kraków. Rozpieprzyli to radio, szczerze mówiąc. I uważam, że ono do dzisiaj się nie pozbierało. Obecnie Radio Kraków jest gorsze od niejednego szkolnego radiowęzła. *Sorry*, tak uważam. Jestem surowy i bezpośredni w swoich ocenach.

A jak oceniasz początki RMF-u?

Tyczyńskiemu i Miszczakowi od razu udało się stworzyć świetną stację na zachodnim poziomie. Stację, która wyznaczyła nową jakość w polskich mediach, inni musieli nam dopiero dorównywać. My wprowadziliśmy wozy transmisyjne. Jako pierwsi wychodziliśmy na ulice, do ludzi. Bo dotychczas dziennikarz radiowy, siedzący w studiu, był postacią niemal mityczną. Niby istniał, ale nigdy nikt go nie widział. To była rewolucja w polskich mediach.

Pamiętasz swój pierwszy dzień w RMF-ie?

Pytasz pięćdziesięciosześcioletniego faceta, czy pamięta jakieś wydarzenie sprzed dwudziestu pięciu lat?

Pamiętasz ze szczegółami swój pierwszy dzień w Polsce, a to było jeszcze dawniej.

Ale przychodząc do RMF-u, nie sądziłem, że to będzie dla mnie tak ważne, że będę tam dłużej niż kilka miesięcy, może rok. Już powoli kończyłem studia, myślałem przecież, że będę wracał do Gujany, że mój kraj się o mnie upomni, powie: „Hej, Brian, miałeś stypendium, płaciliśmy za twoją edukację, wracaj teraz do kraju i przysłuż się Gujanie”.

Ale jakoś się nie upominali. A tymczasem RMF zmienił format, zostałem reporterem, zacząłem prowadzić program z moim

długoletnim „radiowym partnerem” Pawłem Pawlikiem. Wysłali nas do Warszawy, żebyśmy prowadzili na żywo audycje z Sejmu.

Przenieśliście się z Pawłem Pawlikiem do Warszawy?

Tak. Mieliśmy tam wynajęte mieszkanie, żyliśmy tam od poniedziałku do piątku, przez cztery lata, pod jednym dachem. RMF wtedy otworzył swój oddział w Warszawie, na trzynastym piętrze hotelu Marriott, bo już się w Krakowie nie mieściliśmy. Poza tym weszliśmy do ogrodu wroga, skonfrontować się z nim.

Kto był wrogiem?

Jak to kto? Wiadomo – Radio Zet.

Walczyliście?

Na pewno porządnie ze sobą rywalizowaliśmy. To nie była walka na śmierć i życie, jak dzisiaj w Polsce między PO a PiS-em. Ale było ściganie się, kto pierwszy będzie miał newsa, kto pogada z ważniejszym politykiem, kto dostanie się do wyższego urzędu. Albo czyja kostka będzie bardziej widoczna w telewizji. Były takie momenty, że dzwonili szefowie z Krakowa i mówili: „Słuchajcie, jest konferencja, będzie transmitowana przez telewizję, idźcie”. A bywało, że im odpowiadaliśmy, że nie możemy, że się nie rozdwoimy, bo w tym momencie w innym miejscu dzieje się coś innego. Więc oni na to mówili: „Okej, ale przynajmniej podrzućcie tam na stół kostkę”. I oni, ci szefowie z kopca, później siedzieli wieczorem przed telewizorem, oglądając *Wiadomości*, i nagle piszczeli z radości, że się udało! WIDAĆ KOSTKĘ RMF-u!

A jakichś świństw między RMF-em a Zetką nie było?

Jakieś zgrzyty były, ale raczej na samej górze, nie dochodziły do dziennikarzy. Tyle że reporterzy Radia Zet, jak sądzę, zawsze tak naprawdę nam zazdrościli. Niby się z nas trochę śmiali: „A, to

ci z Krakowa”. Ale tak naprawdę „ci z Krakowa” zmuszali ich, żeby wspinali się na wyżyny swoich możliwości, żeby inwestowali, żeby kupowali te wozy transmisyjne, które my mieliśmy, żeby wyszli ze studia.

Były duże oczekiwania wobec was?

Wobec pierwszej dużej prywatnej rozgłośni radiowej w Polsce? To oczywiste. Ale my je spełniliśmy na szóstkę. Zawsze pierwsi mieliśmy newsy. Bo u nas polityk mógł coś powiedzieć z Sejmu do mikrofonu. A do innych stacji musiałby chodzić wieczorem, a każdy woli wrócić do żony i dzieci, zjeść z nimi kolację. Więc wybór był prosty. To ja z Pawlikiem rozmawialiśmy z Lechem Wałęsą. To my byliśmy na śniadaniu u Waldemara Pawlaka. To my łapaliśmy polityków między debatami, w drodze do toalety. To był gorący czas w Polsce. Ludzi fascynowało to, co robimy. Wcześniej o dziennikarzach myślało się jak o wybrańcach, a my pokazywaliśmy, że jesteśmy ludźmi takimi jak oni, mówiącymi ich językiem. Że mogą nas spotkać latających z mikrofonem. Nie na kopcu, a na ulicach, na plaży w Gdańsku, na Kasprowym Wierchu. Oczywiście, to była ciężka praca, której nie przestawało się wykonywać nawet w nocy. Trzeba było być dyspozycyjnym siedem dni w tygodniu, dwadzieścia cztery godziny na dobę. Jak coś się działo, nie myślało się o tym, że lepiej byłoby się wyspać, posiedzieć w domu. Nie, ruszało się wtedy dupę i robiło, co do ciebie należy. Bo taki jest twój obowiązek wobec Kowalskiego.

Jak myślisz, za co polubili Cię ludzie?

Za dystans do siebie. A do tego nie bez znaczenia było, że nie znałem tak dobrze języka i jestem Murzynem. Gdy ktoś krzyczał za mną: „asfalt!”, odpowiadałem: „Może i jestem asfaltem, ale czy pan ma skończone studia magisterskie? Bo ja mam”. Myślę, że ten dystans bardzo mi pomógł w pracy. Że dzięki

niemu osiągnąłem sukces. Choć są tacy, jak Edward Miszczak, którzy uważają, że mogłem osiągnąć znacznie więcej.

Tylko...?

Tylko za słabo mówię po polsku i jestem leniwy.

A jesteś leniwy?

To jest jego zdanie. Zobacz, jest teraz godzina dwudziesta. Pracuję dziś od szóstej. Czy leniwy człowiek pracuje czternaście godzin dziennie? Czy leniwy człowiek kończy studia z bardzo dobrym wynikiem? Leniwy jest pojęciem względnym. Może Edek Miszczak uważa, że jestem leniwy, ale ja sądzę inaczej.

Dobrze z nim żyjesz?

O tak. On jest moim mentorem – nie jedynym w moim życiu, ale bardzo ważnym. Są ludzie, bez których byłbym kimś zupełnie innym. Pewnie nie mieszkałbym już w Polsce. Wielu z nich poznałem w czasach RMF-u. To był świetny okres.

Twoją flagową audycją była *Szkółka niedzielna* prowadzona z Pawłem Pawlikiem.

Jezus, co to były za emocje! To był najbardziej popularny program w RMF-ie, miał całą rzeszę fanów. Trwał zawsze od godziny dziewiątej do dwunastej, w każdą niedzielę. I kończył się hejnałem, czyli piosenką *Hey now, hey now*. W międzyczasie była i muzyka, i mój felieton „czarno na białym”, i serwisy informacyjne, i coś, co budziło najwięcej emocji – konkurs dla rodzin. Polacy wygrywali w nim wycieczki: do Egiptu, do Turcji i tak dalej. Ludzie dzwonili do stacji i na antenie, na żywo rywalizowali ze sobą. Uważam do dziś, że Polacy przez ten program nauczyli się trochę podróżować, wiele osób przez nas musiało wyrabiać paszporty. Ludzie zresztą, gdy wygrywali, nie wierzyli, pytali: „Czy to na pewno nie żart?”. Niektórzy myśleli, że

wszystko jest ustawione, że tak naprawdę do RMF-u nie da się dodzwonić, więc gdy im się udawało, krzyczeli: „Rany, RMF, Brian, to naprawdę ty?!”. Ten program sprawił, że stałem się rozpoznawalny. Na tyle, że zostałem później „arcyprezydentem Krakowa”.

O co chodziło w tej akcji?

Szefostwo stacji miało jakieś zatargi z Krzysztofem Bachmińskim, ówczesnym prezydentem Krakowa.

Bachmiński wcześniej był jednym z założycieli RMF-u, członkiem Krakowskiej Fundacji Komunikacji Społecznej.

Owszem, ale później doszło między nimi do jakiejś jatki, mającej pewnie coś wspólnego z założeniem RMF-u. Nie uczestniczyłem w tym sporze, nie wiem więc, o co dokładnie chodziło, ale o coś z kopcem. Bo RMF nie był przecież – i wciąż, zdaje się, nie jest – właścicielem kopca, jest tam w ramach dzierżawy, chyba na sto lat. Kopiec należy do miasta i to się chyba Bachmińskiemu nie podobało, więc zrobiliśmy akcję „Brian na prezydenta”. Jeździłem limuzyną po Rynku i spotykałem się z mieszkańcami – wiesz, ile osób przychodziło na takie spotkania?! Żeby zdenerwować, ale też rozśmieszyć Bachmińskiego, trąbiliśmy wszem wobec, że może on i jest prezydentem Krakowa, ale arcyprezydentem tego miasta jestem ja, Brian Scott. Do dziś chyba w siedzibie RMF-u na kopcu wisi moje zdjęcie jako arcyprezydenta. Wraz z moim „hasłem wyborczym”, które sam wymyśliłem, a z którego jestem bardzo dumny: „Żeby wszystko, co czarne, było białe (...oprócz mnie)”.

RMF w ogóle wykorzystywał Twoją osobę do wielu happeningów, akcji promocyjnych.

O tak. Kiedyś byłem na przykład na plakatach przebrany za diabła, obok hasła: „RMF – diabelska stacja”. Innym razem prze-

brali mnie za górala. Pamiętam, byliśmy wtedy na Kasprowym Wierchu, mieliśmy ze sobą sejf, w którym była kupa pieniędzy, chyba nieźle roczne zarobki. I ta kasa była do wygrania.

Wiesz, że się uśmiechasz, gdy o tym mówisz?

Bo to są super wspomnienia. Kim w tej stacji nie byłem? Góralem, diabłem, prezydentem.

Prowadziłeś też Inwazję Mocy, akcję promocyjną RMF-u.

Inwazja Mocy była wymyślona po to, żeby ludzie zrozumieli, że radio, które robi się w Krakowie, to nie jest mit. Że my istniejemy naprawdę. Że ludzie na kopcu, żółta armia – bo żółty to był nasz kolor – chcą was, Polaków, poznać. Chcieliśmy pokazać: to my, żółte ludziki, jesteśmy dla was, a nie wy dla nas. Organizowaliśmy ogromne festyny i koncerty w całej Polsce. Grały na nich największe gwiazdy lat dziewięćdziesiątych: Dżem, Kult, Markowski, Chłopcy z Placu Broni, Liroy, Nosowska, Kowalska. Wielcy artyści, za których koncerty normalnie trzeba było zapłacić niemało. A Inwazja Mocy była za darmo, to my płaciliśmy gwiazdom, żeby jeździły z nami na te koncerty. I ludzie – na każdej inwazji było ich po kilkaset tysięcy! – robili sobie z tymi gwiazdami zdjęcia, prosili o autografy. I tak samo prosili o autografy nas: Pawła Pawlika, Ewę Drzyzgę, Marcina Wronę i mnie. Rozdawaliśmy im gadżety: czapeczki, koszulki, szlafroki. Wiesz, że do dzisiaj mam szlafrok z RMF-u?

Ale później zacząłeś uprawiać też inne dziennikarstwo...

Razem z Katarzyną Wrońską prowadziłem program *Tabu*. Mocne, nocne rozmowy na tematy, na które ludzie normalnie nie rozmawiają, a już na pewno nie rozmawiali wtedy: seks, masturbacja, kazirodztwo, alkoholizm. Trwało to zawsze dwie godziny, od dwudziestej drugiej do północy. To był pierwszy tak odważny program w Polsce. Studenci w akademikach zawsze

nas słuchali, byliśmy wśród nich gwiazdami. Ale ten program musiał zniknąć, bo była na nas nagonka Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji oraz Kościoła.

Dlaczego?

Niektórzy uważali, że przekraczałem granice dobrego smaku.

A przekraczałeś?

Nigdy. Co najwyżej tak prowokowałem rozmówcę, żeby to on je przekroczył.

Z kolejnych rzeczy, które robiłeś w RMF-ie: wpadałeś z Pawłem Pawlikiem do mieszkań słuchaczy na śniadania. Na antenie. Polacy Was przyjmowali?

Oczywiście, oni bardzo się z tych naszych wizyt cieszyli! Wcześniej zgłaszali, że chcieliby, żebyśmy do nich przyszli. Ale nigdy nie potwierdzaliśmy, że naprawdę przyjdziemy i kiedy to się stanie. Więc zawsze był ten element zaskoczenia, gdy dzwonił się do domofonu i się przedstawialiśmy. Na żywo wchodził się do klatki schodowej, potem pukaliśmy do drzwi. Ludzie byli zszokowani, czasem tłumaczyli się, że nie wiedzieli, więc są nieprzygotowani, śniadanie u nich dziś skromne. Ale my mówiliśmy: „I dobrze, chcemy zjeść z wami to, co wy jecie na co dzień. Jeśli jecie chleb z masłem – to i nam to pasuje”.

O czym z nimi rozmawialiście?

O tym, czy wiedzą już, co zjedzą na obiad, czy mają zaplanowane wakacje, jakie przedmioty w szkole lubią ich dzieci. Wiesz, ja byłem frontmanem RMF-u. Współtwórcą nowej historii mediów w Polsce. To, co wtedy przeżyłem z kolegami z RMF-u, było wyjątkowe. Szkoła życia. Życzyłbym sobie, żeby każdy dziennikarz w Polsce mógł powiedzieć, że przeżył i osiągnął choćby połowę z tego. Uważam, że jeśli historia polskich mediów po Okrą-

głym Stole zostanie kiedyś opisana w podręczniku, z którego w przyszłości będą się uczyć studenci, to będzie nie fair, jeśli nie znajdzie się tam choćby mała wzmianka o mnie. O pierwszym Murzynie w polskim dziennikarstwie.

Myślisz, że w sukcesie pomogło to, że jesteś Murzynem?

Wtedy w Polsce pojawiało się już sporo Murzynów, ale jakoś oni nie zrobili kariery w mediach.

Dlatego zapytałam, czy kolor skóry pomógł ci w sukcesie, a nie czy o nim zdecydował.

Myślę, że nie pomógł. Gdybym był biały, też, jak sądzę, zostałbym niezłym dziennikarzem. Może moi szefowie myśleli, że mój sukces polega na tym, że mam inny kolor skóry. Ale tak nie było. Najlepszym dowodem na to jest fakt, że gdy w 1997 roku, razem z Edkiem Mischakiem, odszedłem z RMF-u do TVN-u, to Staszek Tyczyński szukał na moje miejsce Murzyna. I wiesz co? Nie znalazł. I może wtedy zorientował się, że jednak moja siła nie tkwiła w kolorze mojej skóry. Że był w błędzie.

Wkurzył się, gdy rzuciłeś RMF?

I to jak! Przez kilka lat w ogóle ze mną nie rozmawiał. Ale mojego zdjęcia z kopca się nie pozbył.

Odszedłeś z Edwardem Mischakiem. Jakie były kulisy jego przejścia do TVN-u?

Jeśli mówimy o Edku Mischaku, to nikt nie zrobił po 1990 roku dla polskich mediów tyle, ile on. Genialny strateg, ale też świetny socjotechnik – zawsze wiedział, jak przekonać ludzi do pracy. Więc nie dziwię się Walterowi, że kiedy postanowił, że stworzy prywatną telewizję, to zaproponował Mischakowi jej współtworzenie. Przecież to Mischak stworzył Kamila Durczoka, Tomasa Lisa, Kubę Wojewódzkiego. On robił – i wciąż robi – z ludzi

gwiazdy. Doskonale wie, kto ma w sobie to coś, co może przyciągnąć widzów.

No więc wtedy, w 1997 roku, Miszczak nie dość, że odszedł z RMF-u, to zabrał ze sobą znaczą część ekipy, i to mocne nazwiska: Bogdana Rymanowskiego, Ewę Drzyzgę, Marcina Wronę, no i Briana Scotta. Wyobrażasz sobie, jak się Tyczyński wkurzył?

A dziwisz mu się?

W ogóle! Wkurzyłbym się tak samo. Tylko że Tyczyński powinien pamiętać o jednym: że on sam zrobił dokładnie to samo, gdy powstawał RMF. Rozpieprzył, w ramach budowania swojego zespołu, ekipę Radia Kraków. Tyczyński chodził wkurzony i nie dało się go uspokoić. Ja wcale nie chciałem odchodzić z RMF-u. Chciałem z TVN-em tylko współpracować, ale Tyczyński nawet nie myślał, żeby pójść mi na rękę. Dał prosty wybór: albo RMF, albo TVN.

Czemu wybrałeś TVN?

Kiedyś przeczytałem takie zdanie, które powiedział Bob Marley: że biedni są ludzie, którzy mają tylko pieniądze. Nie należę do ludzi, którzy przywiązują do spraw materialnych wielką wagę. Ale miałem już wtedy prawie czterdzieści lat i szukałem w życiu jakiejś stabilizacji. Wiedziałem już, że nie chcę stąd wyjeżdżać, bo tylko kretyn wyjechałby z Polski, mając tu rozpoznawalną twarz, spore doświadczenia zawodowe. Jednak nie posiadałem nawet swojego mieszkania. Cały czas żyłem na walizkach. A pieniądze, które oferowała telewizja, były znacznie wyższe niż pensje radiowca. Więc przeniostem się ze względu na ambicje finansowe. No i też ambicje, żeby zrobić coś nowego, sprawdzić się w innej roli.

Czyli jednak trochę z nudów się przeniosteś.

Jest w tym sporo prawdy. Nie wiem, czy nazwałbym to nudą, ale... był taki moment, powiedzmy, zmęczenia materiałem.

Uważałem, że kończą im się w RMF-ie pomysły, jak mnie „używać”. Na kopcu też zresztą nastąpiły nieco inne czasy. Do tej pory stacja nie przejmowała się, co pomyśli o niej Kościół albo jakakolwiek partia. Robiliśmy swoje. A nagle coś się zmieniło. Dostawałem na przykład polecenie, żeby na konferencji Episkopatu nie zadawać pytania o aborcję.

Dlaczego?

Bo to nie na miejscu? Nie na temat? Niestosowne? A ja właśnie uważałem, że bardzo na temat i bardzo stosowne. Brian Scott był znany z tego, że lubił zadawać pytania z grubej rury, formułować myśli, nad którymi polscy dziennikarze dumaliby sto lat. No i nagle mnie tego atutu zaczęto pozbawiać. Program *Tabu* został zdjęty przez naciski Kościoła, polityków. To już nie był ten sam RMF. Więc przyszedł 1997 rok. Przełom. Odszedłem do TVN-u.

**ŻYCIE
NIE KOŃCZY SIĘ
NA TVN-IE**

ODSZEDŁEŚ więc do TVN-u...

Do tak zwanego rajy Mariusza Waltera.

Mówisz to z ironią w głosie.

Bo dzisiaj rano w radiu znów slyszalem, że Mariusz Walter robił uniki z rejestrowaniem interesów w rajach podatkowych, żeby nie płać podatków w Polsce. Nie mam litości dla takich osób.

Dużo ludzi tak robi.

Więc mam o nich wszystkich złe mniemanie. Jeśli ktoś osiągnął sukces, powinien oddać swojemu państwu to, co mu się należy. Bo w przeciwnym razie jest nieuczciwy. To chore, że Walter wyrzucił mnie z TVN-u za udział w *Rodzinie zastępczej*, uważając, że zdradziłem stację i byłem nieuczciwy. A on jest uczciwy? I nie zdradza swojego kraju?

Zanim dojdziemy do końca Twojej pracy w TVN-ie, porozmawiajmy o jej początkach. Czy ta telewizja, według Ciebie, była od początku robiona profesjonalnie?

Nie do końca. Było dużo chaosu. Pewnie wynikało to w dużej mierze z presji, żeby stworzyć oryginalne formaty, których nikt

wcześniej nie miał. Występowałem tam w trzech programach: *Bezpieczna kasa Briana*, *Krok w krok z Brianem Scottem* i *Halo, tu Brian*.

Bezpieczna kasa Briana to było typowe show, wielka kasa do wygrania, emocje. *Krok w krok z Brianem Scottem* miał dawać zwykłemu człowiekowi możliwość spotkania się z jego bohaterem – czy to gwiazdą muzyczną, czy aktorem filmowym, czy ulubionym sportowcem, czy poetą. Zapraszaliśmy widza i jego idola do studia, oni poznawali się, rozmawiali przed kamerami. Program *Halo, tu Brian* opierał się na bardzo podobnych zasadach, z tą różnicą, że te rozmowy odbywały się telefonicznie. Czasem też słuchacz coś przy okazji wygrywał. Pamiętam, raz ktoś wygrał buty, które przekazała Agnieszka Chylińska.

To wszystko były bardzo proste, żeby nie powiedzieć prymitywne, pomysły. Nie uważasz, że to był dla Ciebie krok wstecz?

Zgoda, ten okres w TVN-ie nie był dla mnie najbardziej udany. Nie robiłem tam specjalnie ambitnych rzeczy.

Łatwo to przyznałeś.

Staram się od siebie dużo wymagać i surowo się oceniam. Żaden z tych trzech programów nie był w stanie nawet równać się z tym, co robiłem dla radia. Ale nie bardzo miałem na to wpływ. Taka była polityka tej stacji. Nie zawsze się z nią zgadzałem, ale też nie miałem jak się jej przeciwstawiać. Nie czułem się komfortowo, gdy ktoś mi mówił: „O, Brian, ty na pewno potrafisz śpiewać, to będziesz śpiewał teraz w programie”. A te formaty były po prostu niedopracowane. Apelowaliśmy wiele razy o zmiany, pytałem, po co je właściwie robimy. Przecież mogliśmy korzystać z gotowych pomysłów, z programów, które sprawdziły się za granicą, zostały ciepło przyjęte przez widzów.

Skoro mieliśmy możliwości, żeby dowiedzieć się, co tam ludzie lubią, i po prostu kupić na taki program licencję, skopiować ten format na polskim rynku, to nie wiem, po co sililiśmy się na oryginalność.

Ale to już przeszłość. Zostałem stamtąd wyrzucony w 2000 roku. To już szesnaście lat, odkąd jestem wolnym strzelcem.

Miałeś poczucie, że nie do końca się odnajdujesz w telewizji, że to nie jest miejsce dla ciebie, że tam nie pasujesz?

Tak. Bo do końca tam nie pasowałem. Nie jestem wielkim snobem, nie gwiazdorzę, twardo stąпам po ziemi. Ale główny problem był w tych programach, a nie w tym, czy ja się odnajduję w rzeczywistości telewizyjnej. Bo oni myśleli, że Brian jest po to, żeby ludzie się śmiali, dla czystej *entertainment*. A ja już tego nie chciałem.

Czego więc chciałeś?

Rozmawiać. Rozmawiać z ludźmi o rzeczach ważnych. Robić coś takiego, jak robiłem w radiu w *Nocnych rozmowach*. Chciałem robić takie programy, w których można spokojnie siedzieć i rozmawiać o sprawach poważnych, ale które zarazem mogą być rozrywką. Na pewno nie chciałem tańczyć i śpiewać. Bo co? Bo jestem Murzynem, a Murzyn tańczy i śpiewa?

Myślisz, że potraktowali cię tak właśnie dlatego, że jesteś Murzynem?

Myślę, że tak. To był stereotypowy sposób myślenia. Nawet wcześniej spotykałem się z czymś takim w radiu. Miałem tam kolegów – nie chcę wymieniać ich nazwisk, żeby nikogo nie urazić – którzy nie chcieli mi dać kluczyka do samochodu. Bo oni nigdy wcześniej nie widzieli Murzyna za kierownicą (chyba że w filmach), to skąd mogli wiedzieć, czy sobie poradzę?

Kto tak zrobił?

Zostawmy to, okej? Więc to stereotypowe myślenie zawsze się przewijało. I to ono doprowadziło do tego, że gdy odszedłem z RMF-u, na moje miejsce szukali Murzyna.

Jak to się stało, że zostałeś zaangażowany w *Rodzinie zastępczej*?

Rodzina zastępcza nie była moim pierwszym epizodem w aktorstwie. Miałem za sobą już role w kilku filmach, w Teatrze Telewizji. Grałem między innymi w *Czarodzieju z Harlemu* Pawła Karpińskiego, epizodyczną rolę w *Lejdis*, grałem w serialu *Ekipa* reżyserowanym przez Agnieszkę Holland, w *Janie z drzewa*, w show kabaretowym *Szalony statek*... Było tych aktorskich epizodów jeszcze więcej.

A z *Rodziną zastępczą* sytuacja wyglądała tak: kiedy zacząłem pracę w TVN-ie, byłem już reprezentowany przez agencję aktorską. Oni dali mi znać, że mam rolę do zagrania, więc zagrałem. Walterowi nie spodobało się to, że występowałem na antenie konkurencji, czyli w Polsacie.

Miałeś zakaz pracy u konkurencji?

W mojej umowie był zakaz pracy dziennikarskiej w innych stacjach, ale nie pracy aktorskiej. Nie robiłem więc nic złego. Odmówiłem przeproszenia Waltera, choć niektórzy mówili: „Jedź do Warszawy, przeproś go, pokajaj się, będzie dobrze”.

Kto ci tak mówił?

Chociażby Edward Mischczak. Prosił, żebym pojechał ze skulonym ogonem i błagał o rozgrzeszenie. Odpowiedziałem: „Jakbym coś złego zrobił, tobym przeprosił. Ale w takiej sytuacji nie przeproszę, choćbyście mieli zwolnić mnie z pracy”. Edek miał dobre zamiary, ale zdawało mu się, że wie lepiej, co jest dla mnie dobre. On do dzisiaj uważa, że powinienem był go wtedy posłuchać.

Nie jesteś za bardzo dumny?

Nie. Ojciec wychował mnie tak, że będę klęczał tylko przed Panem Bogiem.

Gdy decydowałeś się na udział w tym serialu, miałeś podejrzenie, że Walterowi może się to nie spodobać?

Nie. Bo wiedziałem dokładnie, co jest w mojej umowie o pracę. Jestem człowiekiem, który zawsze jest lojalny wobec pracodawców. Ale w Polsce pracodawcy uważają, że pracownicy są ich własnością. Jak się cieszę, że teraz mam jednoosobową działalność i nie mam szefa!

Jak wcześniej żyłeś z Walterem?

Nie prowadziłem z nim żadnych sporów. Ale trzeba pamiętać, że on był właścicielem, nie miałem więc z nim kontaktu na co dzień. To jest wielki pan, który tylko cię spotyka – albo nie spotyka – po drodze do swojego królestwa. On nie podchodzi przecież do pracowników, to jemu trzeba się kłaniać. Myślę, że był przekonany, że my, pracując dla niego, wygraliśmy los na loterii, że wszystko mamy dzięki niemu, że on daje nam możliwość bycia, decyduje, kim jesteśmy czy kim możemy być. Jako typowy nowobogacki właściciel w tej części Europy myślał, że może cię ukształtować i może cię zniszczyć w jednej chwili, kiedy tylko zechce. Taka jest często mentalność ludzi na podobnych stanowiskach: twoje życie jest w moich rękach. Widziałem to także w stosunku do innych. Nie jestem odosobnionym przypadkiem.

Część ludzi przeszła do innych stacji.

Pamiętam, ile osób zaczynało razem ze mną w TVN-ie. Było tam mnóstwo ludzi z RMF-u. Wiele z nich już dawno odeszło, nie ma w TVN-ie po nich śladu. Wiesz, że w pierwszej ekipie była nawet Kora Jackowska? Ale to wszystko się rozlało. Był też Krzysztof Ibisz – cudowne dziecko pana Waltera. Bo to Walter przecież

dał Ibiszowi możliwość tworzenia największego show jego życia – *Czaru par*. A ślub Krzysztofa Ibisza był transmitowany na żywo w TVN-ie, jako ślub króla polskich mediów. Facet był wykorzystywany publicznie. Chciał tego niby... Ale to było wejście z butami w jego życie, w tym najważniejszym dniu, który powinien być tylko dla jego najbliższych. Może był zadowolony, że podzielił się tymi chwilami z całym narodem polskim? Śmiechu warte...

Może faktycznie był zadowolony z obecności kamer w tym dniu?

Sądzę, że na pewno nikt siłą go do tego nie zmusił. Ale pewnie były naciski: dobrze by było, gdybyś to dla nas zrobił.

Też chciałem pracować w TVN-ie, przecież nikt mnie do tego nie zmuszał. Chodziło mi o pieniądze, o stabilizację życia, ale też chciałem zrobić coś nowego, twórczego. I naiwnie myślałem, że w TVN-ie będę się rozwijać. Ale, podkreślam, najważniejszy dla mnie był argument finansowy. Bo skoro podjąłem decyzję, że zostaję w Polsce, to chciałem mieć swój dach nad głową, a nie oddawać pieniądze za wynajem mieszkania innym ludziom. I dziś to mieszkanie jest moje, nie mam długów w bankach.

To dzięki TVN-owi się udało?

Tak, bo mogłem płacić ratę ponad cztery tysiące złotych miesięcznie. A potem oprocentowanie kredytu spadło i przyjaciel zwrócił mi uwagę, że mogę renegotjować zasady kredytu. Dużo ludzi o tym nie wie, ale bank na ogół jest skłonny do tego, żeby z tobą rozmawiać, negocjować – bo oni przecież nie chcą zabrać mieszkania, chcą pieniędzy.

O ile razy zarobki w TVN-ie były lepsze od tych w RMF-ie?

O dwa razy.

A konkretniej?

Nie chcę mówić, ile zarabiałem.

W TVN-ie pracowało się ciężko, od rana do nocy?

Może niektórzy w ten sposób pracowali. Ale w końcu, jak mówi Mischczak, jestem człowiekiem leniwym. Żartuję oczywiście, choć jest w tym ziarno prawdy. Bo na serio uważam, że każdy człowiek jest inny: ja to jestem ja, Edek to Edek, Drzyzga to Drzyzga, Rymanowski to Rymanowski. Ja jestem Brian Scott i nie będę zapieprzał dwadzieścia cztery godziny na dobę jak niewolnicy, kosztem relacji z rodziną, ze znajomymi. Nie będę rezygnował z życia prywatnego. Moje zdrowie jest najważniejsze. Wiem, że nie muszę ulegać presji ze strony szefów, ze strachu, że stracę pracę, Nie pozwolę się zastraszać tym, że są młode osoby, które mogą wykonywać tę pracę lepiej ode mnie. Więc niech wykonują! Bo ja będę pracował tyle, ile muszę, i wracam do domu. Lubię spać we własnym domu, jeść we własnym domu, i to o stałych porach, lubię biegać, pływać, spotykać się ze znajomymi. Z całej naszej paczki z RMF-u i z TVN-u zaledwie mały procent mężczyzn jest w dalszym ciągu z tymi samymi kobietami, z którymi byli, kiedy ich poznałem. A ja, na szczęście, należę do tego małego procenta. Jestem z tego dumny.

Kiedy mówiłeś o RMF-ie, było widać, że kochałeś tę pracę. Że chciało Ci się pracować ciężko.

Bo to było coś nowego, rewolucja. Czulem, czuliśmy wszyscy, że tworzymy nową historię Polski. Coś, czego jeszcze nie było. Człowiek miał ochotę pracować bardzo dużo. Ale kiedy byłem w TVN-ie, efekt świeżości się zużył, a ja dojrzałem i miałem pełną świadomość, że niektóre rzeczy trzeba ograniczyć. Że nie można żyć tylko pracą. Że w życiu liczą się jeszcze inne rzeczy.

Jak różniła się atmosfera w RMF-ie od tej w TVN-ie?

To były dwa różne światy. W RMF-ie atmosfera była bardzo rodzinna. Nie było wprawdzie tak, że się odwiedzaliśmy w domach albo spędzaliśmy każdą wolną chwilę razem. Ale po prostu – lubiliśmy się, szanowaliśmy, słuchaliśmy się wzajemnie.

To była zżyta rodzina z Krakowa. Rodzina z kopca. Nawet tak się mówiło o tej stacji: RMF – „Radio Mischzak *Family*”. Nie w tym sensie, że Mischzak zatrudniał w RMF-ie tylko członków swojej rodziny, bo tylu ich nawet nie ma. Ale w tym sensie, że stworzyliśmy taką rodzinę kopcową. On był naszym ojcem, a my jego dziećmi. On do dziś się czuje odpowiedzialny za Drzyzgę, Rymanowskiego, Sołtysika i innych. Cieszy się, gdy nam się w życiu układa.

W TVN-ie Mischzak dalej był takim ojcem dziennikarzy?

Dla tych ludzi, których zabrał ze sobą – tak. Ale trzeba pamiętać, że on był tam nowy i że też były tam osoby – na ogół z Warszawy – podchodzące do niego z dystansem. W telewizji, jeśli popełnisz błąd, człowiek, który stoi za tobą, jest w stanie jeszcze wbić ci sztylet w plecy i wziąć to, co masz. Kiedy zostałem wypieprzony z TVN-u, ludzie mówili mi: „Zadzwoń do mnie, będziemy w kontakcie, co za niesprawiedliwość!”.

Później wcale nie dzwonili. Póki jesteś, jest fajnie. Gdy ciebie nie ma – dalej jest fajnie. W TVN-ie o rodzinnej atmosferze nie ma mowy. Idziesz, robisz program, dzięki temu dźwiękowiec będzie miał pieniądze, operator będzie miał pieniądze, dokumentalista będzie miał pieniądze i tak dalej. I wszyscy niby ci kibicują. Ale jak ciebie nie ma, będą budować scenografię, kręcić, dbać o oświetlenie dla kogoś innego. I jemu będą kibicować. W telewizji nie da się mieć poczucia, że wszyscy jedziemy na jednym wózku i kiedy będzie źle, to wszyscy z niego spadniemy. Nie, tam każdy walczy o siebie.

Między sobą też?

Tak. Była rywalizacja, szczególnie między głównymi nazwiskami w newsroomie: Durczokiem, Pochanke i tak dalej. Czy Pochanke będzie płakała, że Durczoka już tam nie ma? Nigdy nie zajmowałem się plotkami, nie lubię rozmawiać o życiu innych

ludzi, ale plotki tam słyszysz mimochodem nawet. Ściany mają uszy – kto śpi z prezesem, a kto z dyrektorem. Jeśli chcesz zdobyć zaufanie, powinieneś być przy tym lub przy tym. Jeśli zawsze chcesz mieć pracę, to trzymaj się jego – on ma program, który nigdy nie spadnie z anteny. I tak zawsze było, jest i będzie.

Nepotyzm?

Nepotyzm jest częścią naszej historii, historii świata – to nie jest polska specjalność. Zresztą, powiem szczerze, jakbym miał jutro stworzyć firmę i musiałbym zatrudnić ludzi, na których na pewno mogę polegać, którym ufam – choćby w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach, bo nigdy nie należy na nikogo liczyć na sto procent – to w pierwszej kolejności pomyślałbym o swoich synach. Oczywiście gdyby mieli kompetencje, żeby to robić. Przynajmniej w jakimś stopniu, bo zawsze można się nauczyć. Lepiej więc wziąć ich niż człowieka, którego nie znam, po którym nie wiem, czego się spodziewać. To nie jest tak, że popieram nepotyzm, ale rozumiem.

Słyszałam, że w TVN-ie, w niektórych redakcjach przynajmniej, panuje paskudna atmosfera. Że naciska się na ludzi, by zostawali do nocy w pracy albo przychodzili w święta. Też odnosięś podobne wrażenie?

Pamiętam, kiedy do mnie mówili z wyrzutem: „Brian, zarabiasz więcej niż w RMF-ie, przychodzisz na chwilę, robisz swój program i idziesz. A popatrz na Sandrę Walter, ona siedzi tutaj cały czas, od rana do wieczora, porządna dziewczyna”. Odpowiedziałem na to: „Nie można porównywać Briana Scotta do Sandry Walter. Bo to jest jej firma, jest córką właściciela, jest tutaj cały czas, bo ma oczy i uszy otwarte dla taty i dla siebie, bo ona to wszystko odziedziczy”.

Owszem, była tam cała masa innych ludzi, którzy również bardzo ciężko pracowali. I takie osoby jak Edward Miszczak czy

Ewa Drzyzga mają dziś swoje piękne domy, lepsze samochody, stać ich na różne rzeczy, na które mnie nie stać. Ale im nie zazdrozczę. Bo znajdują się także osoby, które mi zazdrozczą. A Drzyzga czy Miszczak są ludźmi, którzy naprawdę poświęcili bardzo dużo, by dojść do tego, co mają. A mnie wystarczyło to, co miałem. Niektórzy byli w stanie poświęcić swoje małżeństwa, rozwieść się, czasem więcej niż raz. Nie chciałem tego. Chciałem jechać do Warszawy i wracać najszybciej, jak się da. Nie chciałem tam zostawać w weekendy. A jeździłem tam nagrywać na przykład taki „pierwszy *Dzień Dobry TVN*”, czyli *Ciężko ranne pantofle*. Prowadziłem ten śniadaniowy program razem z Sandrą Walter, jeździłem do Warszawy, spałem w hotelu. Czy byłem szczęśliwy? Nie. Bo jestem człowiekiem stworzonym do bycia w domu. Pokoje w pięciogwiazdkowych hotelach nie są lepsze od tego, co mam tutaj. Siedzimy teraz w pokoju ze skromnym łóżkiem, ale to, co tu jest, jest moje, wiem, jak zostało wybudowane. Kiedy jestem w hotelu, jestem tylko gościem. Gdy opuścę pokój, będzie tam spał ktoś inny. A to, co jest tutaj, tylko Bóg mi może zabrać. Nikt inny – prezydent, premier, prokurator generalny, komendant policji, wojsko. Nie, to jest moje.

Może niektórzy ludzie lubią pracować osiemnaście godzin na dobę.

Nie zgadzam się z tym. Nikt nie lubi. I to szkodzi zdrowiu. Ale w telewizji jesteś zmuszony pracować osiemnaście godzin, być tam jak najdłużej. Z prostego względu: boisz się odchodzić, ponieważ ktoś czeka na twoją pracę. Czujesz strach przed tym, że ktoś będzie w stanie pracować jedną godzinę dłużej. Albo ktoś nauczy się robić to, co ty robisz, i możliwe, że będzie to robił tak samo dobrze, a może i lepiej niż ty. Ale nie można tak żyć. W tym strachu. Pieniądze, owszem, są bardzo ważne. Bez pieniędzy nie da się żyć: potrzebujesz ich, by zapłacić rachunki,

kupić jedzenie, odzież, opłacić lekarza. Po to zostały stworzone pieniądze – najpierw był barter, a dziś mamy gotówkę. Dlaczego? Bo jest potrzebna. A dlaczego tu siedzimy? Nie byłbym w stanie siedzieć z Tobą dwa razy w tygodniu za darmo. Przepraszam – czas to pieniądz.

Myślałam, że siedzisz ze mną, bo chcesz, żeby ukazała się książka o Twoim życiu.

Nie mówiłem, że robię to tylko dla pieniędzy. Ale też nie tylko dla idei. Przecież to jest czas, który muszę wygospodarować, by rozmawiać z Tobą. Gdybyś tu dziś nie przyszła, miałbym teraz pewnie lekcje. Z Tobą jest podobnie – lubisz pisać, zostawiasz po sobie jakąś spuściznę, ale robisz to również dlatego, że będziesz miała za to jakąś zapłatę. I piękne jest, gdy człowiek lubi to, co robi, i jeszcze ma za to zapłatę. Ale nie można przesadzać, poświęcać całego swojego życia na pracę.

W jaki sposób Walter cię zwolnił?

Nie zrobił tego osobiście. List pożegnalny otrzymałem od Tomasa Berezowskiego, który był jednym z dyrektorów do spraw technologii, pracował w Krakowie. Miałem wrażenie, że kazali mu dać mi ten papier dlatego, że nikt z osób, które mnie znały osobiście, nie chciał mi spojrzeć w oczy. Nie mieli odwagi. Zostałem więc zwolniony, oficjalnie, za porozumieniem stron, z przyczyn zmian organizacyjnych.

Może *Rodzina zastępcza* była pretekstem, a tak naprawdę chcieli się Ciebie pozbyć z innych powodów?

Nie. Zostałem na pewno wyrzucony za udział w *Rodzinie zastępczej*. Dostałem zaproszenie, by jechać do Warszawy, by na kolanach wchodzić na trzecie piętro i włożyć w dupę Walterowi. Ale nie takie numery z Brianem Scottem. Nigdy.

Wystraszyłeś się wtedy, co będzie, jak sobie poradzisz?

Tak. Bałem się. Pierwszy raz byłem bezrobotny. Michael się jeszcze nie urodził, Marvell był mały. Moja rodzina była przyzwyczajona do pewnego standardu życia. I nagle zostałem bez pracy.

Na ile twoja sytuacja finansowa była poważna?

Na początku nie było źle. Umowa była tak skonstruowana, że przez pierwsze trzy miesiące otrzymywałem pełne zarobki, a przez dziewięć kolejnych – osiemdziesiąt procent. Ten zapis wynikał z zakazu pojawiania się u konkurencji przez pewien czas.

A po tym roku? Odczułeś braki finansowe?

Tak. Wszystkie moje oszczędności – kilkadziesiąt tysięcy złotych – się rozpląnęły. Gdyby nie te kłopoty finansowe, aż do dzisiaj mógłbym jeździć co roku na fajne wakacje. A to wszystko poszło na czynsz, prąd, benzynę. Jestem człowiekiem dumnym. Nie mógłbym obarczać rodziny ciężarem własnych problemów.

Nie poprosiłeś nikogo o pomoc?

Nigdy. Ba, moja mama i bracia z Gujany nie wiedzieli nic o moich problemach. Nawet moja teściowa nie zdawała sobie z nich sprawy – to znaczy wiedziała, że już nie pracuję w TVN-ie, ciężko było tego, żyjąc w Polsce i mając telewizor, nie zauważyć. Ale nie sądziła, że jestem bezrobotny, że jeszcze niczego nie znalazłem. To był trudny czas, bo wtedy Ula także nie zarabiała za dużo. Byłem kłębkiem nerwów, dużo płakałem. Z wściekłości. Bo zrozumiałem swój błąd. Myślę, że jakbym miał przeżyć swoje życie jeszcze raz, jednej rzeczy bym nie zrobił. Zgadnij czego.

Nie oszedłbyś z RMF-u?

Tak. Podjąłem tę decyzję błędnie – ale to była moja decyzja i na mnie spoczywa odpowiedzialność za nią. Okej, mogę zasłaniać się

tym, że Edward Miszczak mnie namówił, ale ostatecznie to była moja decyzja. Staszek Tyczyński nie był szczęśliwy i miał rację.

Te lata bez pracy kosztowały mnie dużo stresu. Wiadomo, jak to jest dla dziennikarza będącego na tak zwanym topie, pojawiającego się na pierwszych stronach gazet: jeśli znikniesz na chwilę, możliwe, że jeszcze znajdziesz jakąś pracę, wrócisz do formy, ludzie dalej będą cię lubić. Ale jeśli czas mija i ludzie o tobie zapominają, to ta możliwość powrotu się oddala. Dostajesz po tyłku. Przystajesz być gorącym nazwiskiem.

Ty przestałeś?

Tak. Te dwa lata bez pracy sprawiły, że nie wróciłem nigdy już do *mainstream media*. Cała ta sytuacja kosztowała mnie mnóstwo stresu. Mogę chyba powiedzieć wprost: byłem nieszczęśliwy. Nie miałem pojęcia, co mam dalej ze sobą zrobić. Zastanawiałem się, czy może te chwile to znak, może Bóg chce mi powiedzieć: „Wyjeżdżaj, wracaj do siebie, gdzie twoja rodzina ma nazwisko, gdzie na pewno będziesz kimś”.

Kim miałbyś tam być?

Mógłbym dalej pracować w dziennikarstwie. Mógłbym wrócić do polityki. Jakaś część mnie chciała tam wrócić, cieszyć się starzeniem rodziców, braci, sióstr, ich dzieci. Myślałem: „Może ty już, Brian, swoje tu zrobiłeś. Może to znak”.

Ale jednak nie wyjechałeś. Dlaczego?

Ponieważ w końcu stwierdziłem, że nie dam satysfakcji tym ludziom, którzy chcieli widzieć mnie na dnie. Nie chciałem, żeby myśleli, że udało im się doprowadzić mnie do ruiny, że muszę uciekać z podkulonym ogonem z tego kraju. Pewnie dużo osób myślało, że skończę pod mostem, że moja rodzina nagle będzie musiała zastanawiać się, czy będzie miała co włożyć do garnka.

Podjąłem decyzję, że pokażę tym ludziom: *There is dignity in labor*. Mój ojciec zawsze tak mówił, że jest godność w pracy. Że cokolwiek robię, w jakimkolwiek zawodzie pracuję, to praca nigdy nie jest hańbą. I że cokolwiek robię, muszę to robić najlepiej, jak potrafię. Więc kiedy skończyły mi się oszczędności i miałem ochotę walić głową o ścianę, wziąłem się w garść. Urodził się Michael i postanowiłem, że za wszelką cenę utrzymam swoją rodzinę. Zacząłem się zastanawiać, jakie są moje atuty, co mam. Stwierdziłem, że samochód, znajomość języka angielskiego i znajomość topografii Krakowa. Brałem więc samochód i próbowałem łapać na dworcu pasażerów anglojęzycznych i rozwozić ich po Krakowie.

Zrobiłeś licencję na taksówkę?

Ależ skąd. Pracowałem na czarno. Nie jestem dumny z tego, że oszukiwałem polskich urzędników, ale sytuacja była dramatyczna: skończyły się nam wszystkie pieniądze, miałem niepracującą żonę i dwójkę małych dzieci. Musieliśmy z czegoś żyć. Ula starała się mnie podtrzymywać na duchu, powtarzała: „Zobaczysz, będzie dobrze”. Ale wiem, jak sama się bała.

Czy ten trudny czas Cię czegoś nauczył?

Tak. Skromności. Poczucia, że *nothing lasts forever*, nic nie trwa wiecznie. Dzisiaj jesteś na górze, a jutro możesz być na samym dnie. Tak, znalazłem się na samym dnie. Okej, nie w tym sensie, że doprowadziło mnie to do alkoholizmu, do bezdomności. Ale emocjonalnie byłem na samym dnie. Siedziałem beczynnie całymi dniami i niszczyłem sam siebie. Stres był tak wielki, że wydawało mi się, że aż czuję, że moje ciało choruje, że chyba mam raka, chyba umrę. Serce szybciej zaczynało mi bić od samego patrzenia, jak pieniądze znikają z konta. Głupia sytuacja: wydajesz pieniądze, a nie ma przychodu. Ale Bóg nie doprowadził mnie do ruiny. Gdy już dotknąłem tego dna,

w 2001 roku, pojawili się ludzie, którzy zaproponowali mi pracę. I okazało się, na pochybel tym wszystkim, którzy myśleli, że zamieszkać w kanałach lub wyjadę z kraju, że to jeszcze nie koniec mojej historii. Odkryłem swoje powołanie: pracę z młodzieżą, nauczanie. Pojawiła się propozycja, bym prowadził program *Etniczne klimaty* dla polskiej telewizji, który uważam za najważniejszą dziennikarsko rzecz, jaką w życiu zrobiłem. I znalazła się też trzecia możliwość pracy: w Radiu Kraków. I z tych wszystkich trzech propozycji, które pojawiły się niemal w jednym momencie, skorzystałem. Bo ja pracy nie odmawiam.

Do *Etnicznych klimatów* i szkoły jeszcze powrócimy, ale opowiedz więcej o tym, co robieś dla Radia Kraków.

Zadzwoiła do mnie Ewa Stykowska, moja koleżanka z RMF-u. Okazało się, że jest szefową w Radiu Kraków. Powiedziała: „Brianu, bardzo żałuję, że już nic nie robisz w radiu. Uważam, że to marnowanie talentu. Przyjdź do mnie, pogadamy, coś wspólnie wymyślimy”. I wymyśliliśmy program *Dzieciaki*, który dwa lata królował w Krakowie. Robiłem go wspólnie z fantastyczną Ewą Mauer.

Nie za dużo naraz wzięteś na siebie?

Pochodzę z domu, gdzie pewne wartości są niezwykle ważne. Jestem na przykład wierzący, bo tak wychowali mnie rodzice. Powtarzali mi wiele razy, żeby za wszystko dziękować Panu. Przez te dwa lata bez pracy były łzy, nerwy, krzyki, byłem bardzo niesprawiedliwy wobec mojej żony, krzyczałem na nią. Z frustracji, z bezsilności. I wtedy trzy rzeczy pojawiły się jak grom z jasnego nieba. Więc uznałem, że to Bóg postawił je na mojej drodze. Że, kierując mój los na takie tory, chce mi powiedzieć: „Brian, to jeszcze nie koniec, jeszcze masz tu sporo do zrobienia”. Kuba Wojewódzki zapytał mnie kiedyś w swoim

programie, czy nie uważam, że jestem wypaloną gwiazdą, bo zostałem wyrzucony z TVN-u. Może Wojewódzki nie widzi świata poza stacją Waltera, ale ja widzę. I dziś wiem, że najważniejsze, co w życiu zawodowym zrobiłem, przyszło dopiero po TVN-ie. Bycie showmanem było tylko początkiem, zabawą. To, z czego jestem najbardziej dumny i co uważam za swoją spuściznę, to program *Etniczne klimaty*.

**POLSKA INNA,
KOLOROWA,
RÓŻNA**

JAK więc zaczęła się Twoja najważniejsza dziennikarska przygoda, czyli program *Etniczne klimaty*?

To zawsze zaczyna się od spotkania. Pierwsze odbyło się z Waldemarem Jandą – dziennikarzem, reżyserem, producentem, i z Darkiem Pawelcem – świetnym operatorem. Spotkaliśmy się w knajpie w Radiu Kraków. Waldek powiedział mi: „Pamiętasz, jak z Krzyśkiem Krzyżanowskim robiłem program etniczny *U siebie*? Chciałbym zrobić coś podobnego. Mamy już w telewizji zgodę na ten program. I przekonałem ich również, że byłbyś jego najlepszym prowadzącym, twarzą, narratorem”.

Dlaczego Ty?

Waldek Janda argumentował to jednym słowem: neutralność. Chciał, żeby ten program robił ktoś, kto urodził się poza Polską, kto sam należy do mniejszości, a więc ma dystans do tego, co dzieje się w Polsce. Chciał kogoś zaciekawionego światem i ludźmi, kto lubi zadawać pytania i poznawać historie innych, a nie myśli stereotypami, szufladkując Rosjan, Niemców, Ukraińców. Janda szukał kogoś, kto nie nosi bagażu emocjonalnego czy rodzinnego, który nagromadził się jeszcze w czasach wojennych. Wiesz, ja patrzę na historię Polski z boku.

Tak zostałeś prowadzącym program *Etniczne klimaty*.

Nawet nie tyle prowadzącym, ile narratorem. Proponowano również inne osoby do tej pracy, ale Waldek uparł się, że to mam być ja. I jakoś przeforsował w Warszawie moją kandydaturę.

Dlaczego w Warszawie? To nie był program realizowany przez TVP Kraków?

Tu zrodził się pomysł, ale program był realizowany przez osoby z całej Polski i w całej Polsce emitowany w telewizjach regionalnych: TVP 1, TVP 2, TVP Info. No i jeździliśmy po całym kraju, żeby go realizować. Niedługo po pierwszej emisji okazało się, że program „chwycił”. Ludzie go docenili.

Wiem. Dostaliście sporo nagród za ten program.

Tak, i to zarówno krajowych, jak i międzynarodowych. To nie były indywidualne nagrody dla mnie za jego prowadzenie. Nagradzana była cała ekipa, wszyscy realizatorzy: za całokształt, za pomysł, za to, co ten program wniósł. *Etniczne klimaty* miały być o mniejszościach narodowych i grupach etnicznych w Polsce. Ale nie tylko pokazywaliśmy tych ludzi: ich historię, kulturę, odrębność. Stawialiśmy też ważne pytania o tożsamość i o warunki w Polsce, by tę tożsamość podtrzymywać. Pytałem, czy wszystkie próby instytucjonalne, by tym grupom etnicznym pomóc – na przykład ustawa o mniejszościach narodowych i etnicznych, dwujęzyczność na tablicach (jeśli, według prawa, daną miejscowość zamieszkuje więcej niż dwadzieścia pięć procent ludności niepolskojęzycznej), język pomocniczy w urzędach, możliwość nauczania drugiego języka w szkołach, domy kultury i tak dalej – cokolwiek dają? Czy one są dla tych mniejszości ważne? I co, w ogóle, jest dla nich ważne? Ich język, historia? Czy młodzi ludzie należący do tych mniejszości widzą sens podtrzymywania swojej tożsamości w kraju, gdzie większość stanowią Polacy? Jak ci ludzie widzą swoją przyszłość?

Ten program poruszał też problem trudnych relacji między Polakami a niektórymi grupami. Nawet nie myślę o Niemcach, bo jeszcze gorzej układają się stosunki między Polakami a Ukraińcami. Bo wiadomo, w naszej historii było mnóstwo bolesnych momentów: akcja „Wisła”, Wołyń, UPA.

Mam rodzinę i znajomych w Przemyślu. I odnoszę wrażenie, że w tamtym regionie, przy granicy, Polacy wysysają niechęć do Ukraińców z mlekiem matki.

I vice versa. Spotkałem przez te lata Ukraińców, którzy mówili wprost: „Słuchaj, moi rodzice by mnie wydziedziczyli, gdybym ożenił się z Polką. Nie miałbym po co wracać do domu”. Od Polaka aż takich ostrych słów o Ukraińcach nigdy nie słyszałem. Choć to prawda, że takich pytań Polakom nie zadawałem – to był w końcu program o mniejszościach i rozmawiałem w nim z ich przedstawicielami. Myślę, że gdyby to pytanie zostało zadane Polakom, odpowiedź mogłaby być podobna.

Zauważyłam, że ten program był dla Ciebie bardzo ważny. Dlaczego?

Przez te lata, powiem szczerze, poznałem Polskę. Poznałem Polskę niejednorodną. Dla wielu Polaków Polska jest jednolita, wszędzie taka sama, nie ma w niej miejsca na odmiennosc. Ale prawda jest taka, że podróżując po prawdziwej Polsce – wyjeżdżając poza centrum tego kraju, poza duże miasta – po drodze spotyka się bardzo różnych etnicznie ludzi, ludzi, których przodkowie byli zupełnie inni. Spotyka się ludzi, którzy wyznają inną religię, mają zupełnie inne jedzenie, inną historię, którzy mówią innym językiem czy gwara. Są wśród nich i tacy, którzy dalej chcą podtrzymywać te tradycje, o których my nawet nie wiemy. Bo my wychodzimy z założenia, że każdy, kto tutaj mieszka, jest biały i wygląda jak Polak, jest czystym Polakiem. Dlatego to pytanie, które zadawałem, rozpoczynając niemal każdy program –

według wielu banalne – brzmiało: „Kim jesteś?”. I dalej pytania typu: Kim się czujesz? Z czego się składa twoja tożsamość? Ile jest w tobie polskości? Dlaczego istotne jest dla ciebie, aby podtrzymywać to, co było ważne dla twoich przodków? Mieszkasz przecież w Polsce, wyglądasz jak Polak, w Polsce płacisz podatki, chodzisz do polskiej szkoły, a jednak chcesz być trochę inny, chcesz podtrzymywać tożsamość białoruską, ukraińską, rosyjską albo romską. Dlaczego?

Tożsamość i kultura romska są dla nas bardzo odległe, mocno różnią się od polskiej.

Jestem bardzo wdzięczny, że przez te kilka lat mogłem spędzić trochę czasu właśnie z Romami. To według mnie jedyna grupa, która jest w Polsce tak jakby wyklęta. Większość ludzi ma do Romów negatywny stosunek. A to wyklęcie bierze się przecież tylko z niezrozumienia.

Ale Romowie też chyba nie bardzo zabiegają o to, żeby ich zrozumieć. Są hermetyczną grupą.

Dobrze, ale co z tego? Polacy mieszkają w wielu krajach za granicą i żyją tam również w zamkniętym środowisku. Czym są Jackowo w Chicago albo Greenpoint w Nowym Jorku, jak nie polskimi gettami? *Sorry*. Polacy potrafią żyć tam latami i nawet nie nauczyć się angielskiego.

Romowie są specyficzni, prowadzą koczowniczy tryb życia, mają całą tradycję z tym związaną. Są rzeczy, w których są dobrzy: tańczą, śpiewają. To jest ich życie. Nie przywiązują się do ziemi, do jednego miejsca: świat to dla nich niebieskie czy szare niebo, z gwiazdami czy bez gwiazd, słońce, planety. Lecz my doszliśmy do wniosku, że to źle, że oni nie posyłają swoich dzieci do szkół. I to akurat racja. Ale pamiętam jednego ze swoich rozmówców, który mówił, że jeżeli będziemy na nich za bardzo naciskać, żeby oni byli tacy, jak my, to oni stracą swoją

tożsamość. Czyli, paradoksalnie, edukacja może ich zniszczyć. I widziałem, że to postępuje, dlatego że poznałem młodych, inteligentnych Romów, studentów Uniwersytetu Jagiellońskiego, prowadziłem jeden program z nimi. I oto pielęgniarka, oto dziennikarka, oto pan doktor na uczelni, oto pani wielka urzędniczka w krakowskim magistracie, oto malarka pochodzenia romskiego i tak dalej. I oni najczęściej, kiedy zdobywają tę wiedzę, nie wracają już do swojego środowiska. Bo dla nich to środowisko staje się wtedy obce. Większość Romów, którzy się kształcą, to kobiety. Mężczyźni Romowie są do tego mniej chętni. I oni potem wręcz boją się podejść, podrywać inteligentną Romkę, bo myślą sobie: „Co mam jej powiedzieć, skoro to zaraz będzie pani magister?”. Znam wielu fantastycznych Romów w Polsce, którzy są świetnymi, inteligentnymi, wykształconymi ludźmi, ale większość z nich ma albo polskie żony, albo mężów Polaków.

Nie stosują się do Romanipen, swojego kodeksu?

Tu nie chodzi nawet o stosowanie się albo niestosowanie do kodeksu. To edukacja zachwiała cały porządek, zniszczyła fundament romskości.

Dziś już życie Romów coraz rzadziej wygląda tak, jak to sobie wyobrażamy. Dziewczyny Romki od dawna nie godzą się, żeby ktoś je porywał albo im dyktował, za kogo mają wyjść za mąż. Nie da się zmusić Romki, żeby była z danym mężczyzną, bo król jej tak kazał. Teraz te dziewczyny najczęściej same decydują, co chcą zrobić ze swoim życiem. Chyba że należą do jakiejś grupy najbiedniejszej, najśłabszej, która potrzebuje pomocy socjalnej i innej. Wtedy, owszem, są w stanie postąpić w taki sposób.

Romowie są niesamowici, bo poza nimi prawie każda grupa etniczna czy narodowa buduje swoje poczucie tożsamości na przywiązaniu do ziemi – choćby takiej, która już od wieków

nie jest ich. A oni przecież przywędrowali wiele wieków temu z okolic Indii, ale z Hindusami nie czują się związani.

Ale czują się bardzo związani ze swoją kolorową kulturą. To jest ich tryb życia od lat. I oni tak łatwo się nie zmieniają. To tak, jakby pojechać na Saharę i próbować zabrać stamtąd Berberów, po czym zmusić ich do mieszkania w miastach. A oni przecież zawsze uważali, że nie samochody, nowości, nawet nie konie, a wielbłądy są najważniejsze. Oni są szczęśliwi w swoim świecie. I tego świata my też nie zrozumiemy i nie zaakceptujemy.

Tak samo przesiedlaliśmy Romów, kazaliśmy im mieszkać w blokach z wielkiej płyty, kwaterowaliśmy ich w miejscach takich jak Nowa Huta w Krakowie. A potem dziwiliśmy się, że oni powybijali wszystkie okna, żeby mógł przez nie wiać wiatr, żeby czuli się choć trochę bardziej wolni. A drzwi używali na podpałkę. Oni nie widzieli w tym nic dziwnego ani złego, nie dzwoniли do Urzędu Miasta, że brakuje im okien i drzwi.

U mnie w bloku też mieszka romska rodzina, ale okien nie wybijają. Natomiast rzeczywiście jest ich bardzo dużo na powierzchni pięćdziesięciu metrów kwadratowych.

Bo dla nich wygoda – w naszym tego słowa znaczeniu: że każdy powinien mieć dla siebie przestrzeń, własne łóżko – nie ma znaczenia. Ale oni za to są znacznie bardziej rodzinni od nas, budują silne więzi. Są w stanie zginąć za rodzinę. My też możemy opowiadać, że jesteśmy w stanie umrzeć za Polskę. Ale u nich to nie są puste słowa, widziałem na własne oczy to ich przywiązanie. I kiedy oni są dobrzy w czymś, nie potrafią być tylko dobrzy – są bardzo dobrzy.

Poza tym pamiętajmy również o tym, że my Romów odbieramy jako całość, wrzucamy do jednego worka. A ta społeczność nie jest jednolita. Romowie mają swoje grupy – niektóre bardziej postępowe, inne bardziej tradycyjne. Grupa z Małopolski, Bergitka Roma z okolic Nowego Targu, jest z jednej strony

niesamowicie postępową, a z drugiej – wciąż przywiązana do swoich wartości, do swojej tradycji. Oni tworzą słownik romski, debatują, jak ocalić swoją tożsamość.

Ich język, choć zdaje się brzmieć dość swojsko, jest dla nas nie do zrozumienia.

Ważne, że oni się rozumieją i są w stanie przekazywać to swoim dzieciom. Poza tym oni zwykle świetnie znają polski, niemiecki, angielski, uczą się tych języków, jeśli zajdzie taka potrzeba. Bo to są, wbrew naszym wyobrażeniom, bardzo inteligentni ludzie.

Nie doceniamy ich?

I nie szanujemy. Żaden Polak nie będzie mi mówił, że my szanujemy Romów. Nawet w instytucjach państwowych przez lata Romowie byli tematem spychanym na margines. Wiesz, kiedy poprawiła się sytuacja Romów w Polsce? Dopiero gdy weszliśmy do Unii Europejskiej. Bo bardzo dużo ułatwień musieliśmy wówczas zapewnić wszystkim grupom etnicznym. I teraz te grupy znają swoje prawa i potrafią o nie walczyć.

Paradoks, że sytuację tych ludzi poprawiło wejście do Unii, która jednak kojarzy się z ujednoczeniem.

Dużo rzeczy się zmieniło, nie tylko dla mniejszości. Dla Polaków też. Jeśli Polak, który ostatni raz był w Polsce przed 2004 rokiem, wróci dziś do Krakowa, z dużym prawdopodobieństwem umrze na zawał, zwłaszcza jeśli ma słabe serce. Ponieważ zobaczy inny Kraków, który – pomimo tych problemów, które zauważamy i z którymi jeszcze musimy się uporać: zanieczyszczonego powietrza, fatalnego stanu niektórych dróg – niesamowicie się przez te dwanaście lat zmienił, wypiękniał, stał się nowoczesny. Patrząc na to z perspektywy człowieka, który urodził się w kraju trzeciego czy czwartego, czy piątego świata. I chciałbym, aby Unia Europejska zainwestowała choćby jedną dziesiątą tych pieniędzy

w Gujanie. My, Polacy, jesteśmy szczęściarzami, że należymy do Unii. Możemy wsiąść w samochód i w sześć godzin dojechać z południa Polski do Gdańska. Autostradą zbudowaną za unijne pieniądze. Bogactwo kraju polega na jego skomunikowaniu.

To jeszcze ciągle jest problem niektórych terenów w Polsce – na przykład Łemkowszczyzny, okolic Beskidu Niskiego. Tam się jedzie i jedzie, bardzo kiepskimi drogami.

Dokładnie. Tak samo z Podlasiem. Dlatego tam mieszka mało ludzi. Wyobraź sobie, że pochodzisz z Suwałk, mieszkasz w USA. Przyjedziesz do Polski i gdzie lądujesz? Na Okęciu. A więc musisz znaleźć autobus czy pociąg, żeby dojechać do Suwałk, czyli jeszcze pięć godzin drogi przed tobą.

Czyli drugie tyle, ile zajmuje podróż ze wschodniego wybrzeża USA.

Właśnie. I my pytamy: „Po co jeszcze jedno lotnisko?”. Ale takie miejsca tego potrzebują. Dlatego cieszę się, że działa już lotnisko choćby w Olsztynie na Mazurach, można dzięki temu dolecieć bezpośrednio na przykład do Niemiec.

Siedzimy teraz w Krakowie w Gościnnej Chacie, łemkowskiej restauracji, która należy do Twoich przyjaciół.

O tak, sam ich namówiłem do tego, żeby ją tutaj otworzyli. Robiłem o nich jeden ze swoich pierwszych programów. O powrotach. Bo od lat dziewięćdziesiątych Łemkowie zaczęli wracać z obczyzny do swoich ziem, w Beskid Niski, co trwa do dziś. Irena Sulicz i jej mąż Roman byli takimi osobami, które koło 1986 roku wrócili z zachodniej Polski, z Ziemi Odzyskanych. Ich rodzice byli wysiedleńcami z akcji „Wisła”. Suliczowie wrócili i postanowili w Wysowej wybudować pensjonat i restaurację, knajpę łemkowską z wyśmienitym łemkowskim jedzeniem, według przepisów przekazywanych z dziada pradziada. Zdecydo-

wali się podarować tradycyjnym potrawom drugie życie, odkryć je dla ludzi z okolic Gorlic, Wysowej. Tylko że prości ludzie, tacy jak w Wysowej, nie chodzą do restauracji codziennie. Ale to jedzenie było tak smaczne, że do restauracji przyjeżdżali też mieszkańcy innych miejscowości. My potrafilśmy z Krakowa jechać dwie i pół godziny w niedzielę na obiad. Bardzo mi się ta knajpa spodobała.

A przecież nie jesteś nawet osobą, która by przepadała za jedzeniem na mieście.

Nie lubię jeść na mieście. Nie chodziłem wcale po restauracjach. Dopóki nie poznałem Suliczów, byłem w kwestiach żywieniowych bardzo konserwatywny. Akceptowałem jedzenie hinduskie, chińskie, bo jestem z Gujany. Ale inne kuchnie mnie nie kręciły.

Natomiast kiedy poznałem potrawy z Gościnnej Chaty, zrozumiałem, że w Polsce nie trzeba jeść tylko wędlin i potraw ociekających tłuszczem. Że na stołach może też gościć przepyszna dziczyzna, kilkanaście rodzajów pierogów, różne zupy, nie tylko rosół i żurek. Łemkowie gotują zupy, w których możesz postawić łyżeczkę i ta łyżeczka stoi. Okazało się, że nie trzeba na okrągło jeść ziemniaków, że są też bliny czy hałuszki. I szczerze mówiąc, dopiero dzięki Suliczom i ich restauracji zacząłem interesować się jedzeniem, postanowiłem chodzić raz na jakiś czas do restauracji, odkrywać różne potrawy. Pamiętam, że kiedy byłem na Boże Narodzenie w Wysowej, Suliczowie zaprosili do knajpy jeden z najlepszych łemkowskich zespołów – Serenczę (o, to właśnie ich piosenka teraz leci!), a ja jako konferansjer prowadziłem ich koncert. Łemkowie nawet nadali mi tytuł honorowego Łemka. Bo na ich imprezach, tych watrach, wypilem z nimi kropkę.

Co wypieś? Kropkę?

Kropka to jest alkohol, którym śmierdzisz przez następne trzy dni. Gdy otworzysz gębę, to zapach tego etylu jeszcze masz

w buzi. Ale to mocne! Siedemdziesiąt procent jak nie więcej. A oni na tych imprezach siedzą i potrafią pić to litrami. W Łemkach urzekła mnie muzyka, taniec i to, że ci ludzie są naprawdę szczęśliwi, że ich kultura od nowa zaczyna żyć. Najbardziej cieszą się młodzi, nieprzyzwyczajeni do tego, że co roku mogą spotykać się na watrach łemkowskich, mogą przez kilka dni jeść po łemkowsku, tańczyć po łemkowsku, mówić po łemkowsku, chodzić do cerkwi i robić te wszystkie inne łemkowskie rzeczy, na przykład mają ceremonię osiągnięcia dojrzałości przez młode dziewczyny.

Na czym ona polega?

Chodzi o zaakcentowanie, że dziewczyny wchodzi w wiek dojrzałości, że już stają się kobietami. To ceremonia związana z tradycją, nie z religią. Te dziewczyny są ubrane w białe szaty i w nich wchodzi do wody. A potem wynurzają się z niej. Ich rodzice – szczęśliwi, że córki stały się kobietami – śpiewają.

Inna sprawa, że rodzice bardzo liczą na to, że na tych spotkaniach grup etnicznych ich córki i ich synowie znajdą chłopaka czy dziewczynę wśród swoich. Te spotkania dają możliwość zapoznania się. To dla Łemków, ale i innych grup etnicznych, niezwykle ważne – dzięki temu ich mały naród, mała kultura, przetrwa. Oni – tak samo jak Białorusini czy Ukraińcy – organizują watry. Nie widziałem tego tylko u Romów. Za to najmniejszą grupą etniczną, jaką poznałem, są Karaimi pochodzący z Krymu. Jest ich tylko kilkuset, ale problem polega na tym, że aby być prawdziwym Karaimem, oboje rodziców też musi być nimi. Więc, niestety, jest ich coraz mniej.

Nie tolerują obcej krwi?

Właśnie. A teraz jest ich tak mało, że wszyscy są ze sobą spokrewnieni. A wiadomo, czym kończy się kaziroduktwo – chorobami genetycznymi, które ich samych niszczą. Tak nie można.

Karaimi spotykają się co roku – to dla nich jedyna okazja, żeby spotkać się z Karaimami, którzy być może nie należą do ich rodziny – w Trokach na Litwie.

Łatwiej znaleźć parę Łemkom, Białorusinom, Rosjanom, Słowakom, Czechom. Wszyscy oni mają watry w Polsce. I te watry bardzo często są wykorzystywane, by znaleźć chłopaka czy dziewczynę wśród swoich.

Za Polaka nie wyjdą, z Polką się nie ożenią?

Lepiej nie. Nie dlatego, że nie byliby w stanie pokochać Polaka ani Polki. Ale dlatego, że jeśli zostaną wśród swoich, to jako grupa przetrwają. Romowie, jeśli są wykształceni, coraz częściej wznoszą się w polskie rodziny. Bo oni być może nawet za bardzo weszli w naszą kulturę, nie tyle katolicką, ile polską. Zaczęli żyć w pięknych mieszkaniach, nie tańczą już i nie jeżdżą swoimi wozami, coraz częściej chodzą do szkoły. A edukacja powoduje pewną świadomość intelektualną i ta część, która się na nią zdecyduje, nie będzie czuła się dobrze w większości. I nie wróci. Dla nich powrót jest krokiem wstecz. Czy jako wykształcona kobieta chciałabyś wrócić do swojej społeczności, w której trudno będzie ci znaleźć odpowiedniego męża? Więc oni wyjeżdżają na studia, mieszkają w akademikach, spotykają się z ludźmi różnych ras i mogą się zakochać, to nie są przecież brzydki chłopcy czy brzydkie dziewczyny. A serce nie sługa.

I co, jeśli się zakochają?

Nie wracają do siebie. Starzy Romowie czy Romki narzekają: „Szkoda, że nie wracają do nas”.

A nie mogliby wrócić z mężem Polakiem czy żoną Polką?

Myślę, że w dzisiejszych czasach nawet by mogli. Ale problem polega na tym, że ten Polak czy ta Polka nie będą się wśród Romów dobrze czuli, bo nie są Romami. I ta Polka, która nie jest

Romką, nie będzie jeździła wozami i mówiła: „Dobrze, mężu, wsiadam z tobą do wozu, jesteśmy inteligentni, ale może w tych wozach będziemy prowadzić szkołę”.

I wśród Romów lepiej usytuowanych, których my znamy, też pojawia się trudność ze znalezieniem partnera w środowisku romskim. Bo ci biedniejsi, którzy jeszcze mieszkają w wozach albo w romskich enklawach, patrzą na tych bardziej postępowych w pewnym sensie z wyższością. Myślą: „To już nie są prawdziwi Romowie. My tak, ale oni już nie”.

Powiedziałeś, że dzięki *Etnicznym klimatom* zobaczyłeś, że Polska nie jest jednolitym krajem. Czy ta świadomość sprawiła, że czujesz się tutaj nieco swobodniej, bardziej u siebie? Tak. W końcu zacząłem czuć, że nie jestem sam. Kiedyś patrzyłem na ludzi wokół siebie i wszyscy byli biali, myślałem, że wszyscy są Polakami. I nagle okazało się, że ta kobieta jest Żydówką, to jest Żyd, to jest Białorusin, a to Ukrainiec, to Łemek, to Kaszub, to Mazur, to Ślązak, to Niemiec, to Rosjanin... Nie-samowite.

Raz zaprosiłem Waldka Jandę do mojej szkoły, zrobiliśmy Dzień Holokaustu, czyli po prostu rozmawialiśmy z dziećmi o tym, co się wydarzyło w czasie drugiej wojny światowej. Zaprosiliśmy do szkoły młodą Żydówkę, by opowiedziała o swojej kulturze. Usiadła przed dziećmi i powiedziała: „Dzień dobry, nazywam się tak a tak i jestem Żydówką”. Od razu zobaczyłem, jak dzieciom powiększają się oczy ze zdumienia, a na ich twarzach maluje się niedowierzanie, nawet degustacja: jak ona może mówić, że jest Żydówką?

Dlaczego Twoi uczniowie tak zareagowali?

Wiesz dlaczego? Bo w Polsce już samo słowo „Żyd” ma negatywny wydźwięk. Mówi się na przykład: „Nie bądź żydem”, a więc: nie skąp, nie przeliczaj, nie kalkuluj. A tu Żydówka przyszła

do nich i powiedziała im prosto z mostu, bez wstydu, kim jest. Rozmowa trwała dość długo (o świętach, o *Etnicznych klimatach* i tak dalej), a po niej nastąpiła cisza. I dzieci otrzymały ode mnie taką pracę domową: zadać mamie, tacie, dziadkowi, babci jedno pytanie. Brzmiało ono: „Czy nasza rodzina od zawsze była polska, czy jesteśmy Polakami w stu procentach?”.

Dwa dni później, gdy prowadziłem z nimi lekcję, dowiedziałem się, że ponad osiemdziesiąt procent klasy – nie żartuję! – to są ludzie, którzy wcale nie są Polakami z dziada pradziada. Mają w sobie krew białoruską, niemiecką, rosyjską, ukraińską. Kiedy słyszę dzisiaj od niektórych polityków: „Polska dla Polaków”, krew mnie zalewa. Czasami zastanawiam się, czy oni w ogóle znają własną historię. Przecież nie mają monopolu na polskość. Po tylu latach poza Gujaną jestem bardziej polskim Brianem niż gujańskim. I nie życzę sobie, żeby ktoś mi to odbierał.

Czujesz, że przez ten program stałeś się bardziej Polakiem?
Dość często mówię dzieciom w szkole, że Polskę znam od północy na południe, od zachodu na wschód. Polska nie jest ziemią, jak niektórzy uważają. Polska to przede wszystkim ludzie. A ja znam ludzi w Polsce lepiej niż minister kultury, lepiej niż minister sportu i turystyki. Znam Polskę różną, piękną, kolorową. Czasem, gdy wyjeżdżam do niektórych miejscowości w Polsce, nagle czuję, jakbym był w kompletnie innym kraju. Bo tam mówią, owszem, po polsku, ale z zupełnie innym akcentem. Tam idziesz zjeść do restauracji i jedzenie smakuje inaczej albo odkrywasz jakieś dania, które w ogóle nie istnieją w innych częściach Polski.

Ba, są miejscowości, gdzie mniejszość jest większością. A więc Polacy są w nich w mniejszości. Miejscowości, gdzie w niedzielę są trzy msze w gwarze i tylko jedna po polsku. To jest ta Polska, którą znam i którą uwielbiam. Polska, która – jak powiedział kiedyś jeden z moich gości – nie jest taka straszna.

Jest trochę żydowska, trochę niemiecka, trochę rosyjska. Taką Polskę kocham.

Jak wyglądała praca nad programem? Ile czasu spędzaliście w podróży?

Wyjeżdżaliśmy raz w miesiącu na trzy, cztery dni, żeby nagrywać.

Przez ten czas był nagrywany jeden odcinek?

Tak.

I to krótki.

Tak. Ale uważam, że jest bardzo dużo tak zwanych celebrytów telewizyjnych, którzy chcieliby mieć jakiś program, który trwałby co najmniej dwadzieścia minut raz w miesiącu. A ja miałem taki program przez ponad dziesięć lat non stop.

Kto wcześniej Wam tych bohaterów „nakręcał”?

Nasi współpracownicy. Przecież Telewizja Polska zawsze miała lokalne redakcje w różnych miejscach – w Rzeszowie, Białymstoku, Toruniu, Wrocławiu, Gdańsku i tak dalej. I ci ludzie stamtąd byli współtwórcami programu.

Ile osób pracowało nad jednym odcinkiem?

Wyjeżdżaliśmy z Krakowa najczęściej w cztery osoby: operator, dźwiękowiec, ja i Janda. I tam, gdzie dojeżdżaliśmy, zawsze mieliśmy co najmniej jedną osobę kontaktową z lokalnej redakcji, która musiała nas przedstawić, pomóc przełamać pierwsze lody. A później już byłem rzucony na głęboką wodę, wchodziliśmy do domów, do Kościoła, na dyskoteki, do szkoły, na cmentarze. Rozmowy były prowadzone wszędzie. Wiek rozmówcy nie grał roli, rozmawialiśmy również z dziećmi. Przed kamerą wypowiadali się mężczyźni, kobiety, lekarze, profesorowie, wszyscy.

Research robiła ta osoba kontaktowa?

Tak. My w Krakowie otrzymywaliśmy różne propozycje. Na przykład żebyśmy w tym miesiącu robili łemkowską watrę. Zawsze było kilka propozycji w miesiącu. My też szukaliśmy inspiracji na stronach internetowych, sprawdzaliśmy, co się wśród tych mniejszości dzieje. Czy mają zaplanowaną jakąś imprezę lub prowadzą działalność, która może być ciekawa. Tak znaleźliśmy na przykład – w Krakowie na Kazimierzu – grupę Czulent. Tworzyli ją młodzi ludzie, którzy nagle dowiedzieli się, że są Żydami. Wcześniej nie zdawali sobie z tego sprawy, bo rodzice to przed nimi ukrywali, żeby nie zepsuć im życia.

Jak się o tym dowiedzieli?

Pewna historia szczególnie mnie urzekła. Jeden z chłopaków opowiadał, że jechał z Warszawy do Krakowa pociągiem z ojcem, który był chory. I ten ojciec nagle oznajmił: „Wiesz, chcę ci coś powiedzieć, zrobisz z tym, co zechcesz. Jesteśmy Żydami. Nigdy nie chcieliśmy cię krzywdzić. Nie to, że nie jesteśmy dumni z tego, kim jesteśmy, ale uważaliśmy, że lepiej będzie, jak dowiesz się o tym dopiero jako dorosły człowiek i postąpisz z tym, jak zechcesz”. Ten młody chłopak był w kompletnym szoku.

Nie domyślał się wcześniej?

Gdy potem poskładał w całość pewne wspomnienia, nagromadzone przez lata, to zdawało mu się to logiczne: nie obchodzili pewnych świąt, a obchodzili inne. Inne rzeczy czytali. On to obserwował, ale myślał, że po prostu ich rodzina jest trochę inna. Ale nie tak bardzo inna.

Dlaczego program po ponad dziesięciu latach zszedł z anteny? Skończyły Wam się tematy?

Nie. Nie mogłyby się skończyć, bo te grupy istnieją i w tych społecznościach cały czas dzieją się ciekawe, warte pokazania rzeczy:

imprezy kulturalne, śluby, spotkania, pokazy orkiestr dętych... Wszystko można nakręcić.

To dlaczego program się skończył?

Bo ktoś z TVP doszedł do wniosku, że to nie jest program, który przynosi pieniądze. A wszystko dzisiaj jest przeliczane na pieniądze. Okej, zgadzam się: to nie był program komercyjny, sponsorzy nie przepychali się, żeby wykładać na niego pieniądze. To był program ważny przede wszystkim dla ludzi, którzy interesują się tematyką mniejszości. A ile takich osób jest w Polsce? Mało.

Nietrudno się tym interesować, tylko ktoś musi nam ten świat pokazać.

No właśnie... A przecież telewizja państwowa jest po to, żeby wypełnić pewną misję. To jej obowiązek. Ale obawiam się, że programy etniczne teraz nie mają możliwości powrotu. Przynajmniej nie w takim kształcie. Nie ma obecnie w Polsce klimatu, żeby uświadamiać ludziom, że wszyscy jesteśmy Żydami, Ukraińcami, Rosjanami. To, jak myślę, wcale nie leży w interesie obecnej władzy i polityków. Oni nie chcą, żeby Polacy mieli taką świadomość. Mamy być Polakami i koniec. Jeśli nie będziemy o „nich”, o „tych innych” mówić, to tak, jakby ich nie było. Myślę, że taka jest koncepcja tej władzy.

No dobrze, ale ten program zdjęli Wam za poprzedniej władzy, nie za tej.

Niekoniecznie. Ten program definitywnie został zakończony dopiero teraz. Mimo że przez dłuższy czas, pod koniec rządów poprzedniej władzy, pojawiała się już tłumaczenie, że nie ma na niego pieniędzy.

Ale nie było przynajmniej takiego przekazu idącego z Warszawy, że Polska jest Polską dla Polaków. Przecież sam Donald Tusk jest Kaszubem, wszyscy o tym wiedzą. Wiesz, ilu ludzi

czekało cały miesiąc na ten program, żeby zobaczyć, co się dzieje u takich jak oni? Moi koledzy z Gujany namawiali mnie na drugi program z Gujańczykami.

Jeden program o Gujańczykach w Polsce zrealizowałeś.

Tak. Spotkaliśmy się w programie jako grupa gujańska, z naszymi rodzinami, z dziećmi. I cała Polska miała szansę zrozumieć, dlaczego jesteśmy, jacy jesteśmy, dlaczego tak mówimy, skąd w ogóle pochodzimy, dlaczego tak się czujemy, co na ten temat uważają nasze żony, nasze dzieci, dlaczego mamy taką kuchnię, taką muzykę.

Szkoda mi tego programu, bo w czasach, kiedy Europą targają różne wątpliwości, kiedy uchodźcy pukają do bram naszego kontynentu, ten program pomógłby zrozumieć, że nie wolno nam się bać inności. Bo inność może nas także wzbogacić. Sam fakt, że możemy być tu, w Krakowie, mieście królów Polski i jeść pizzę, kebaby, potrawy łemkowskie, meksykańskie i amerykańskie, jest dowodem na to, że inne kultury mogą wzbogacać. Że warto otwierać się na świat.

A dlaczego tak się tego boimy? Dlaczego boimy się mniejszości i uchodźców pukających do bram Europy?

Osobiście się nie boję. Ale myślę, że Polacy się boją, bo ich nie znają. Póki nie spróbują zbliżyć się do nich i ich poznać, nie dowiedzą się, jacy są. I będą żyli w strachu.

Zauważyłem jedną ciekawą zależność. Na ogół Polak bardziej tolerancyjny to Polak, który choć przez chwilę podróżował, wyjechał poza granice Polski i dowiedział się, jak to jest być gdzieś mniejszością. Oczywiście, znajdą się i tacy, na których zadziała to przeciwnie – stwierdzą, że ktoś im dał popalić za granicą, to oni po powrocie do Polski będą się mścić, będą źle traktować cudzoziemców. Ale w większości przypadków podróżowanie sprzyja tolerancji. Natomiast tolerancja niekoniecznie

idzie w parze z wykształceniem czy z pozycją. Dyplom wyższej uczelni nie zawsze czyni cię tolerancyjnym człowiekiem. Mimo wszystko czasami czuję się fantastycznie w małej miejscowości, wśród prostych ludzi, którzy są autentycznie ciekawi, skąd jestem, jak tam jest, jakie mamy jedzenie, jakie szkoły, w jakim języku mówimy. W środowiskach bardziej miejskich ludziom wydaje się często, że osiągnęli taki poziom rozwoju, że znają cię lepiej niż ty znasz siebie. Oni ciebie określą z góry: „O, z Afryki jesteś, byłem w Afryce i wiem, jacy jesteście”. Tacy ludzie często nie zadają tych prostych pytań o to, kim jesteś i jaki jesteś. Bo oni już to wiedzą.

NIESTANDARDOWA SZKOŁA

O UCZNIACH mówisz zawsze „moje dzieci”:

Bo tak czuję. Uczenie w szkole stało się moim powołaniem. W Krakowie, w Polsce, na świecie jest dzisiaj kilkaset fantastycznych młodych ludzi, którzy mogą powiedzieć: „Brian Scott był dla nas kimś więcej niż nauczycielem”. Staram się nie tylko uczyć angielskiego, ale też wpoić uczniom pewne wartości, dzięki którym – mam nadzieję – stają się lepszymi i szczęśliwsi ludźmi. Całe życie myślałem, że moją drogą jest praca dziennikarza, ewentualnie polityka. Ale kiedy zacząłem uczyć w szkole, okazało się, że i w tym zawodzie się odnajduję. Że ta praca stała się dla mnie pasją, radością i wielką satysfakcją. I ci moi uczniowie – dziś tak na to patrzę – są moją spuścizną, tym, co zostawię na tym świecie po sobie. Odkrywanie tego było dla mnie wielką frajdą.

A to miało być tylko tymczasowe zajęcie...

Tak. Amerykanin, który pracował w mojej szkole, wyjechał na wakacje i już z nich nie wrócił. Pilnie potrzebowali native speakera do prowadzenia konwersacji. Zgłosili się do mnie. Miałem początkowo trochę wątpliwości.

Dlaczego?

Bo nie wiedziałem, czy będę w stanie wytłumaczyć, dlaczego w tym momencie mamy powiedzieć tak, a nie inaczej. Byłem praktykiem, a nie teoretykiem. Uprzedziłem ich więc szczerze: „Miejcie, proszę, świadomość, że owszem, mówię po angielsku, angielski jest moim ojczystym językiem, ale nie umiem tłumaczyć, czemu tak mówię. Nie znam się na gramatyce”.

I co na to dyrekcja szkoły odpowiedziała?

Że właśnie o kogoś takiego im chodzi. Że od teorii mają przecież polskich nauczycieli, a ze mną dzieci mają w założeniu utrwalać to, czego nauczyły się na lekcjach. I tak jest.

I jak to utrwalanie materiału się odbywa?

A to już zależy ode mnie i od uczniów. Ostatnio na przykład kiedy miałem zajęcia, była piękna pogoda, widziałem, że dzieci nie mają ochoty siedzieć w szkole. Poprosiły, żebyśmy gdzieś wyszli. Więc zapytałem, gdzie chcą iść. Powiedziały, że na pizzę. Zgodziłem się.

No to się na tych zajęciach chyba nie napracowały.

Zgodziłem się, ale pod jednym warunkiem. Powiedziałem, że od chwili gdy wyjdziemy ze szkoły, zadaję im po angielsku różne pytania. Na przykład: „*We are standing in front of our school, which direction do we go?*”. A więc, tym sposobem, uczymy się kierunków. „*We go right, then we cross the streets, we've got another two hundreds metres and we turn right again*”.

Uprzedziłem ich też, że kiedy wchodzimy do pizzerii, ani mru-mru po polsku. Jeśli usłyszę choć raz, że ktoś mówi w restauracji po polsku, to natychmiast płacimy, wychodzimy i więcej już nie mamy zajęć poza szkołą. Więc najpierw ja wszedłem do knajpy i powiedziałem, że chcemy kelnerkę, która mówi po angielsku. Uczniom oznajmiłem, że mają zamawiać po angiel-

sku i że jeśli chcą zapytać, gdzie jest toaleta albo poprosić o oliwę, to też wyłącznie po angielsku. Powiedziałem: „Będziemy udawać bandę Anglików w polskiej restauracji. Zgadza się?”.

Zgodzili się?

Oczywiście. Taka nauka przynosi najlepsze rezultaty. Wiem, że także moi byli uczniowie mnie za to szanują. Ostatnio jeden z nich, taki Piotrek, który teraz jest właścicielem kilku barek na Wiśle, zadzwonił do mnie i powiedział: „Chciałbym, żebyś sprawdził znajomość angielskiego u moich pracowników oraz menu w języku angielskim, bo nie chciałbym się wstydzić, jeśli są tam jakieś błędy. Nikomu w tych kwestiach nie ufam tak, jak tobie, i od nikogo nie nauczyłem się tyle, ile od Ciebie”.

Uczysz również wiedzy o społeczeństwie.

Mam pełne kwalifikacje jako absolwent nauk politycznych specjalności dziennikarskiej, prawda?

Jak to się stało, że doszedł ci kolejny przedmiot?

To stało się dwa lata temu, kiedy szkoła otworzyła oddziały anglojęzyczne. Potrzebni byli nauczyciele, którzy poprowadzą zajęcia z różnych przedmiotów po angielsku. Więc poprowadziłem z wiedzy o społeczeństwie. Ale tu również nie jestem konwencjonalnym nauczycielem. Nie potrzebuję wcale podręczników, nudnych formułek. Jako dziennikarz przecież kilka lat spędziłem w Sejmie i wiem, o co chodzi w polityce. Używam więc praktyki, porównań, skojarzeń.

Dziś miałem na przykład temat: rząd i prezydent, czyli organy wykonawcze państwa. Zacząłem więc tak: „Słuchajcie mnie, Bartku, Aniu, Zosiu. Wyobraźcie sobie, że wasz dom jest krajem, w którym mieszkacie wy, tata, mama, brat, siostra i wasze dwa psy. Pamiętajcie, że ten dom trzeba jakoś utrzymać. Prezydentem waszego domu jest ojciec. Mama to pani premier.

Prezydent zapewnia ciągłość, suwerenność i bezpieczeństwo. Jesteśmy suwerenni, czyli nikt nie przychodzi do was bez waszej zgody i nie rządzi tym krajem. Wasz tata zapewnia wam bezpieczeństwo, dach nad głową i robi wszystko, żeby w obrębie tej granicy, tego waszego domu, nikt was nie skrzywdził. Więc jest organem wykonawczym i głównym przedstawicielem poza domem: idzie do pracy, reprezentuje was, przynosi pieniądze na wasze utrzymanie. Ale – uwaga! – pieniądze państwa muszą być przecież podzielone. Musi ich starczyć na jedzenie, na wasze ubrania, na lekarza, na infrastrukturę, bo dom się starzeje i czasem potrzebuje choćby remontów, na komunikację miejską, żebyście mieli jak dojechać do szkoły, na wasz samochód. Zatem mama jako premier otrzymuje te pieniądze i wspólnie z tatą zastanawiają się, jak je wydać. Ile pieniędzy Zosia i Ania muszą mieć na bilet do szkoły, ile na kosmetyki, ile na ubrania, bo trzeba pamiętać, że ten kraj znajduje się w strefie, gdzie są różne pory roku”. Oczywiście siłą rzeczy muszą pewne rzeczy upraszczać, ale dzieci w ten sposób najlepiej zapamiętują materiał. I po prostu taka nauka jest znacznie bardziej efektywna.

Przyszedłeś prowadzić zajęcia do szkoły na zastępstwo, a zostałeś kilkanaście lat. Jak to się stało?

Umowa faktycznie została podpisana na rok. Ale po tym czasie dyrekcja szkoły zaproponowała, żebym został. Powiedzieli: „Patrz, jak dzieci cię uwielbiają, przecież ty jesteś urodzonym pedagogiem, tylko jeszcze o tym nie wiesz”.

Nie wiedziałeś wcześniej, że lubisz uczyć?

Do dzisiaj myślę, że nie lubię uczyć.

Słucham?

Nie traktuję tego jako nauczania, ale jako formę spędzania czasu w towarzystwie uczniów. A w towarzystwie młodych ludzi prze-

bywać uwielbiam. Dzięki tej pracy potrafię być lepszym mężem i lepszym ojcem. Wcześniej zastanawiałem się na przykład, dlaczego dzieci robią czasem takie kretyńskie, w rozumieniu dorosłych, rzeczy. Dlaczego słuchają takiej idiotycznej, według nas, muzyki? Dlaczego tak dziwnie się ubierają, dlaczego nie lubią szkoły, dlaczego zachowują się tak, a nie inaczej.

Dzięki tej pracy nauczyłem się, że odpowiedź na te wszystkie pytania jest prosta: bo są dziećmi. Wdrożyłem się w ich tok myślenia, w sposób patrzenia na świat. To wszystko wiele mnie nauczyło. Dzięki temu więcej rozumiem, jestem bardziej cierpliwy i wyrozumiały.

Powiedziałeś, że większość dzieci nie lubi szkoły. Jak myślisz, dlaczego tak jest?

Dzieci nie lubią nudnych formuł, wiedzy bezużytecznej, tego, że mało który nauczyciel patrzy na nie w indywidualny sposób. Uważam, że szkoła w takiej formie, w jakiej występuje w Polsce, jest przeżytkiem. Przez te lata pracy w polskim szkolnictwie zauważyłem, że diametralnie różni się ono od gujańskiego, i to niestety na niekorzyść. Szkoła nie rozwija w tobie tego, w czym jesteś szczególnie uzdolniony. To w dużej mierze wina nauczycieli. Kiedy byłem mały, ciągle słyszałem w Gujanie, że jeśli chcesz wykonywać pewne zawody – chcesz być księdzem, lekarzem, ale też nauczycielem – potrzebujesz czegoś takiego jak POWOŁANIE.

W Polsce mało który nauczyciel myśli w ten sposób. Dużo osób pracuje w tym zawodzie, bo nie ma lepszego pomysłu na życie. A praca nauczyciela jest w miarę wygodna, stabilna. Jeśli nie masz ochoty wychodzić przed szereg, poświęcać swojego wolnego czasu, wymyślać, jak fajnie przeprowadzić zajęcia, to specjalnie się nie napracujesz. A całe wakacje masz wolne i co miesiąc na twoim koncie ląduje pensja. Uważam, że wcale nie aż taka niska. Mamy więc mnóstwo aroganckich nauczycieli, którzy uważają, że szkoła jest dla nich, a nie dla dzieci. Mam ochotę

czasem nimi potrząsnąć i powiedzieć: „Ej, gdyby nie uczniowie, ta szkoła by nie istniała, ten budynek byłby niewypełniony, a ty nie miałbyś pracy”.

I ci lekceważeni przez niektórych nauczycieli uczniowie za kilkanaście, kilkadziesiąt lat będą pracować na ich emerytury. No właśnie. To oni przejmą kiedyś pałeczkę. Więc uważam, że każdy nauczyciel powinien wbić sobie to do głowy: to dzieci są najważniejsze! I my, pedagodzy, mamy jeden cel swojej pracy: być dla nich.

Przecież dzieciaki, żeby w przyszłości mogły przejąć tę pałeczkę i zarabiać na nasze emerytury, potrzebują wiedzy. Ale nie możemy jej przekazywać w taki sposób, jakbyśmy nie zauważali, że świat wokół nas się zmienia. Nie możemy udawać, że nie ma komputerów, komórek, technologii. Wiem, że to dla nauczycieli czasem utrudnienie, ale muszą uwzględniać zmiany, które się wydarzają. Nie da się powiedzieć uczniom, żeby nie korzystali z komputerów i komórek, a najlepiej gdyby je wyrzucili, skoro nasze życie kręci się wokół nich.

To, co mówisz, powinno być oczywiste. Tylko że szkoły wciąż pracują według modelu, który został stworzony dwieście lat temu w Prusach i od tego czasu praktycznie się nie zmienił. A przecież świat się zmienił! Nawet podręczniki mamy jakieś przeterminowane, beznadziejne, niemające nic wspólnego z prawdziwym życiem, z tym, co nas otacza. Internet i muzyka są milion razy bardziej dynamiczne od tych idiotycznych książek papierowych. Przecież dziś wszystko dzieje się w Internecie, niemal wszystkiego możesz uczyć się z Wikipedii. Mam oczywiście na myśli teorię, bo w systemie edukacji, w życiu w ogóle, nic nie zastąpi kontaktu żywego człowieka z żywym człowiekiem. Nie uważam, że jestem najbardziej fantastycznym nauczycielem pod słońcem i że pozjadałem wszystkie rozumy. Ale patrzę na każde

dziecko i próbuję znaleźć sposób, jak do niego dotrzeć. Staram się uczniów słuchać, pytać, czy mają jakieś sugestie, co chcą robić. Biorę ich zdanie pod uwagę. Powtarzam, że powinniśmy współpracować, bo mamy ostatecznie jeden cel: żeby oni się czegoś nauczyli. Mówię im, że jestem tutaj po to, aby przekazać im pewną wiedzę i umiejętności, których nie mieli wcześniej. Ale też nie wywyżsam się, bo wiem, że jeśli chodzi o nowe media, o biegłość poruszania się w Internecie i pewnie jeszcze o parę innych spraw, to oni mogliby uczyć mnie.

Myślisz, że uczniowie za to cię właśnie lubią? Za to, że traktujesz ich poważnie?

Tak. I zawsze się z nimi liczę. Pytam przykładowo: „Małgosiu, co byś chciała dziś robić?”. A ta Małgosia, powiedzmy, odpowiada mi, że jest bardzo zmęczona, bo miała dzisiaj trzy klasówki, przygotowywała się wczoraj do konkursu, a dziś jeszcze po lekcjach musi pomóc rodzicom. I potrafię jej odpowiedzieć: „Okej, Małgosiu, w takim razie idź do tyłu, odpocznij, ale nie przeszkadzaj nam. Ale te materiały, które dziś będziemy przerabiać, zdobądź później od koleżanki”.

Jeśli dzieci czują, że jesteś wobec nich uczciwy, to i one są uczciwe wobec ciebie, mniej kombinują. Powtarzam uczniom, że jeśli daję im pracę domową, to mają później nie przychodzić do mnie i nie opowiadać, że o niej nie wiedzieli, bo byli chorzy. To nie jest dla mnie żadne wytłumaczenie, żadne *excuse* – jedyne *excuse* jest, jakbyś był bardzo poważnie chory, a nie jak leżysz z zapaleniem gardła w domu albo jesteś u dziadka, albo w Stanach Zjednoczonych. Bo gdziekolwiek moi uczniowie nie są, to przecież doskonale wiem, że siedzą na czatach, komunikują się ze sobą. Więc jeśli kogoś w szkole nie było, to niech przez Internet zada pytanie koledze czy koleżance: „Mateusz, czy możesz mi powiedzieć, co jest na zadanie domowe?”. Bo ja prowadzę zajęcia z nimi tylko raz w tygodniu, choć jestem jednym

z nielicznych nauczycieli w tej szkole, który ma kontakt ze wszystkimi uczniami. Więc raz w tygodniu to zadanie mogą zrobić.

Ile jest tych dzieci?

To mała, prywatna szkoła. W podstawówce uczy się około stu dziesięciu uczniów, a w gimnazjum nie więcej niż dziewięćdziesiąt.

Nie taka mała.

Są szkoły w Krakowie, które mają po tysiąc i więcej uczniów. Ale to jeszcze dodatkowo obnaża wszystkie minusy naszego systemu edukacji. W mniejszych szkołach mimo wszystko kontakt nauczyciel–uczeń jest łatwiejszy, masz dla każdego więcej czasu, więc możesz podejść do dziecka indywidualnie. Ja w ogóle – z czego bardzo się cieszę – nie prowadzę zajęć dla całych klas, a dla grup uczniów. I moja największa grupa to zaledwie dziewięcioro dzieciaków. Znam wszystkie z imienia i z nazwiska, wiem, jakie są, co lubią. A one znają mnie. Jestem dla nich Brianem, a nie panem Scottem.

Uczniowie mówią ci na ty?

Tak. Jestem dla nich po prostu Brian. Prowadzę z nimi konwersacje z angielskiego, a w krajach anglojęzycznych do tego podchodzi się w nieco inny sposób: luźniejszy, bardziej swobodny. Ale ważne, że kiedy dzwoni dzwonek na lekcję i wchodzę do klasy, to jestem przygotowany i wykonuję porządnie swoją pracę. Mam powinność wobec rodziców, pracodawców i przede wszystkim wobec dzieci. Nie uważam, że dziecko musi wszystko umieć i znać odpowiedź na każde pytanie, ale chcę, żeby po każdej lekcji było w stanie powiedzieć, że czegoś się dzisiaj nauczyło. Największą klęską byłoby dla mnie, gdyby moi uczniowie powiedzieli, że zajęcia ze mną były dla nich stratą czasu. Takie są moje *principles*, moje zasady.

W jakich klasach uczysz?

Dzieci mają konwersacje od szóstej klasy podstawówki, czyli od momentu, kiedy – jak uważamy – posiadają już podstawową, teoretyczną znajomość języka i są w stanie zacząć się w nim komunikować. Później prowadzę z nimi zajęcia przez całe gimnazjum. Czyli w sumie uczę je przez cztery lata.

Kiedy zaczynam z nimi zajęcia w szóstej klasie, zawsze obiecuję: „Jeśli będziecie ze mną przez kolejne cztery lata, jeśli tylko wykażecie trochę dobrej woli i chęci, to gwarantuję wam, że zanim wyjdziecie z tej szkoły, będziecie znać angielski na tyle, żeby swobodnie podróżować po świecie. I nie będziecie się ani wstydić, ani bać mówić”. I na razie słowa dotrzymałem. Jestem dumny, bo każdy uczeń, który wychodzi po tych czterech latach, po prostu jest później w stanie w tym języku się dogadać.

Ale są dzieci bardziej i mniej śmiałe, odważne, przebojowe. Każde dziecko zagadujesz?

Tak. Zadaję pytanie, na przykład: „*How did you spend your weekend?*”. I mówię sam: „*You know, I spent my weekend at home. On Saturday evening I did this, I did that*”. Daję przykład i potem każdy musi mówić.

Oczywiście, niektóre dzieci muszą przełamać wstyd i strach, niektóre mają większy problem z zapamiętaniem słów, a inne z ich prawidłową wymową. Ale nie szkodzi. Staram się nie pozycjonować. Mamy podział na grupy mniej i bardziej zaawansowane, ale korzystam w nich z tych samych materiałów i do tego samego zmierzam. To, że Agnieszka dochodzi do tego, że to jest *mint drink* w *five minutes*, a Urszulka w *fifty-five minutes*, nie ma dla mnie znaczenia. Znaczenie ma tylko to, że obie będą mówiły w pewnym momencie: „*This is a mint drink*”. Ważny jest efekt końcowy, nie czas. Dzisiaj nawet miałem taką sytuację, że dzieci w „słabszej” grupie opowiadały, że z inną grupą robiłem coś innego. Powiedziałem im: „Hej, hej, stop. Jeśli chodzi o język

angielski, to ja w tej szkole jestem najlepszy. Nikt nie jest w stanie mi dorównać. A wytykać błędy mogą każdemu. Nie macie powodu, żeby czuć się gorzej, bo uzyskaliście mniej punktów na teście diagnostycznym. Zapewniam was, że jeżeli podejździecie do moich zajęć serio, to będziecie mówić tak samo dobrze, jak wasi koledzy i koleżanki z innej grupy”.

Nie zdarzyło się, że dziecko miało tak chorobliwą nieśmiałość, że nie mogłeś mu pomóc, że po prostu nie dało się jej zwalczyć?

W takiej sytuacji rozmawiam z rodzicami i proszę o pomoc psychologa. Nie uważam się za alfę i omegę. Mówię rodzicom, że być może jest coś więcej niż nieśmiałość, że to może być fobia społeczna, że być może dziecko potrzebuje porady specjalisty.

Robiłam dziś wywiad z panią psychiatrą. Opowiadała o księdzu alkoholiku, który trafił do niej po próbie samobójczej, w ostrej depresji. Okazało się, że pił dla kurażu, to była nieleczone w dzieciństwie fobia społeczna. Ta pani psychiatra mówiła, że gdyby ktoś zauważył to wtedy, pewnie jego życie potoczyłoby się inaczej.

Tak jak mówię, używam wszelkich możliwych sposobów, by takiej rzeczy nie przegapić, żeby pomóc tym młodym ludziom. Mamy przecież dostęp do psychologa, do psychiatry.

Czasem mam nieco inne podejście niż reszta kadry pedagogicznej. Zdarza się, że w szkole dzieje się coś złego – powiedzmy, ktoś zniszczył tablicę. I nauczyciele mówią: „To skoro nikt się nie przyznał, teraz rodzice wszystkich uczniów będą musieli za nią zapłacić”. A ja na zajęciach mówię moim dzieciom: „Wiecie, że zawsze rozmawiam z wami o waszych problemach. Zawsze was wysłucham. Wiecie, że was szanuję i chcę, żebyście wy szanowali mnie i siebie nawzajem. Ale teraz, ukrywając, kto to zrobił, zachowujecie się nie w porządku wobec waszych kolegów

i koleżanek. Twierdzicie, że się szanujecie, a wśród was jest jakiś tchórz czy tchórze i przez to wasi rodzice będą musieli płacić za coś, czego wy nie zrobiliście. I to przez jakąś głupią solidarność między wami i poczucie, że powiedzenie nauczycielowi jest kablowaniem! Więc teraz każdy wychodzi z tej klasy i za chwilę indywidualnie przyjdzie do mnie. Bierzecie karteczkę i piszecie na niej, kto tę tablicę zniszczył. Ja te wszystkie karteczki wymieszam, nie będę wiedział, kto napisał którą karteczkę. Ale dowiem się tym sposobem, kto to zrobił. A nazwiska nie wyjdą na jaw”.

I działa taki sposób?

Działa. Do dzieci trzeba podejść poważnie, spokojnie wytłumaczyć im, dlaczego powinny się tak zachować. Kiedyś poszedłem do pani dyrektor i mówię jej: „Nie zamierzam płacić ani grosza za to, że ktoś z klasy mojego syna zrobił dziurę w klasie, bo to nie był on. Nie zgadzam się na zbiorową odpowiedzialność. Każdy musi być odpowiedzialny za własne czyny”.

Zdarzyły się sytuacje, że czułeś się bezsilny, wściekły?

To jest prywatna, dobra szkoła, chodzą do niej dzieci z tak zwanych dobrych domów – w materialnym sensie, ale niekoniecznie innym. Rodziców stać na to, żeby posłać je do dobrej szkoły i kupić im wszystko, czego potrzebują – albo i więcej. Ale niekoniecznie stać ich na to, żeby je wychować. Bo albo sami są aroganccy, albo są tak zajęci pracą, że nie mają możliwości, żeby spędzać czas ze swoimi dziećmi, przekazywać im wzorce.

Miałem jedną groźną sytuację. Chciałem odejść ze szkoły. Z tyłu klasy siedziały dwie dziewczyny i coś tam sobie pisały. Mam oczy dookoła głowy, więc doskonale wiedziałem, że one wcale nie zajmują się lekcjami. Podszedłem do nich i przeczytałem ich liścik. Okazało się, że na karteczce było napisane coś w stylu, że siedzą na zajęciach i patrzą na czarnucha. Coś rasiowskim slangiem. Łzy mi napłynęły do oczu. Zacząłem płakać.

Przy dzieciach płakałeś?

Tak. Zatrzymałem się i zakończyłem lekcję. Powiedziałem: „Dzieci, kończymy”. Tym dwóm dziewczynom nakazałem iść ze mną do dyrekcji. Powiedziałem w gabinecie dyrektora: „Nie jestem dla nich nauczycielem, jestem zwykłym czarnuchem. Nie chcę ich w mojej klasie. Ja wracam do dzieci, które mnie szanują i które uważają, że jestem wart więcej niż mój kolor skóry”.

Pamiętam, jak rodzice tych dziewczyn przyszli do mnie później z kwiatami. Powiedziałem im: „Możecie sobie wsadzić te kwiaty do dupy. Uczcie lepiej swoje dzieci tolerancji. Jakim prawem wy z taką pogardą odnosicie się do ludzi, którzy mają inny kolor skóry? Bo przecież te dzieci od kogoś się tego nauczyły”. Powiedziałem im też: „Nie będę nienawidził tych dziewczyn, będę je uczył angielskiego do skutku, ale wy, jeśli jesteście rasistami, to nie okazujcie tego przy swoich dzieciach”.

To uczyłeś je jednak dalej?

No tak, bo czy to jest ich wina? Kiedy dzieci robią różne perfidne rzeczy, to znaczy, że tak zostały nauczone. Nelson Mandela mówił jedną rzecz: „Nie będę tracił czasu na nienawiść. Miłość jest jedynym naturalnym uczuciem, z którym człowiek się urodził. Nie będę psuł swojego organizmu brzydkim uczuciem. Nie, będę tych ludzi, którzy mnie krzywdzą, kochał”.

Tak samo myślę, gdy słyszę, że winnych trzeba znaleźć i ukarać. Ci żądni zemsty ludzie, którzy tak mówią, chodzą co niedzielę do kościoła. A ja pytam się, kim oni są, że wymagają kary dla kogokolwiek? Przecież Bóg, w którego wierzą, zdecydował, że za te wszystkie straszne, obrzydliwe grzechy, które popełniamy, nie zostaniemy ukarani, bo wysłał tu swojego jedyne Syna.

No ale sam powiedziałeś, że pierwszą Twoją myślą było, żeby już tych dziewczyn nie uczyć. Tak powiedziałeś do dyrektorki.

Bo się zdenerwowałem. Ale gdy przemyślałem na spokojnie sprawę, miałem pretensje już wyłącznie do dorosłych.

Ile lat miały te dziewczynki?

Z dwanaście. To dzieci z ostatniej klasy podstawówki.

Miałem również inną sytuację: chłopak z bogatego domu, uczeń gimnazjum, trzymał nogę na stole. Zapytałem go, czy może ją zabrać. Wiesz, co usłyszałem? Że nie, bo jego ojciec płaci za to, żeby tacy jak ja go uczyli. Takie historie, niestety, się zdarzają, choć bardzo rzadko. Złe dni w moim życiu to nie były dni w szkole. Jedyne okresy, które źle wspominam, to były te dwa lata po zwolnieniu z TVN-u. A szkoła... Wiesz, Kocham te dzieci. Kiedy rano wstaję, nie mam odruchów, że mi się nie chce, wołałbym zostać w domu albo robić coś innego. Nie, wstaję i z uśmiechem tam idę. A wiesz, kiedy pojawia się najlepsze uczucie? Kiedy te dzieciaki odchodzą ze szkoły, a później wracają, by ją odwiedzić i mnie zobaczyć, chwilę pogadać. Albo gdy jestem na ulicy i nagle piękna dziewczyna rzuca się na mnie i krzyczy z radością: „Proszę pana!”, patrzę, a to moja była uczennica, Sabina, Zuzia, Karolina. Serce bije mi wtedy szybciej. Mam byłych uczniów, którzy są właścicielami nieruchomości, restauracji, firm – czasem znakomitych. I oni do dzisiaj potrafią do mnie zadzwonić i powiedzieć: „Cześć Brian, co u Ciebie? Tak tęsknię za naszymi rozmowami”. Zawsze przez ostatnie kilka tygodni przed ich odejściem ze szkoły staram się spędzać z nimi więcej czasu, przygotować ich na to, co ich spotka, dużo rozmawiając. Nie tylko o nauce, ale również o życiu.

Czyli co, konkretniej, im mówisz?

Opowiadam na przykład, że wkrótce przyjdzie czas na pierwsze miłości, pierwsze imprezy, że pojawi się pokusa pierwszych papierosów, pierwszej wódki, pierwszych zbliżeń. Mówię im, by uważali. Dziewczynom opowiadam, żeby nie brały sobie za

partnerów chłopaków w ich wieku, bo kobiety, zarówno w sensie fizycznym, jak i psychicznym, dojrzewają szybciej. Taka jest biologia. Śmieję się, że ich przyszła miłość już studiuje. Tak, właśnie w taki sposób z nimi rozmawiam. Nie mówię, że alkohol, papierosy, seks są złe. Mówię, że to są rzeczy, z którymi będą się na pewno spotykać, niech lepiej zastanowią się dobrze, zanim to zrobią. Ale też nie jest dobrym pomysłem straszenie ich, nakłanianie, żeby zostawali w domu i nigdzie nie wychodzili.

Trzeba niemało dojrzałości, by to jakoś wypośrodkować.

Życzę im z całego serca, by podejmowali dobre wybory. My mamy takie myślenie, że dorośli pracują. Ale dzieci też mają pracę – tak jak ja z zawodu jestem w tym momencie przede wszystkim nauczycielem, a ty dziennikarzem, tak oni mają swój zawód – ich zawodem jest bycie uczniem. Na razie nie otrzymują za to pieniędzy, ale zdobywają coś, za co później będą zarabiać: wiedzę. To jest ich pensja. Jest czas na wszystko. I im głębiej wchodzi w naukę, tym bliżej im do samodzielności. Powtarzam uczniom, że dopiero kiedy będą samodzielni, kiedy będą w stanie sami płacić za swoje wakacje, życie będzie smakowało fantastycznie. Jeśli pytają mnie, jaki był najlepszy okres mojego życia, odpowiadam im, że okres dojrzałości. Imprezy są najlepsze, gdy za nie sam płacisz. A oni niech mają na uwadze, że imprezy imprezami, ale muszą myśleć też, żeby zrobić pracę domową i nauczyć się na klasówkę. Ja też chodzę na imprezy, ale pamiętam, że na przykład dzisiaj nie mogę pić, bo wracam autem. Albo nie mogę pić, bo następnego dnia pracuję.

Na takie tematy też staram się z nimi rozmawiać. Zależy mi na „moich dzieciach”. A to, czego mogę je nauczyć, nie sprowadza się tylko do języka angielskiego.

REPUTED WIFE

PRZEZNACZENIE. Mówisz, że w nie wierzysz.

Wierzę. Czuję, że Ula, moja żona, jest mi przeznaczona. Mam taką wewnętrzną pewność.

Poznałeś Ulę jeszcze w czasach studenckich, mieszkaliście w jednym składzie w akademiku. Kiedy poczułeś, że to jest właśnie ta?

To nie jest tak, że człowiek nagle to czuje. To pewien proces. Ula mieszkała w pokoju z trzema dziewczynami, a ja przyjaźniłem się z nimi wszystkimi: odwiedzaliśmy się, plotkowaliśmy, jedliśmy wspólne posiłki. Więc mój związek zaczął się od studenckiej, przyjacielskiej paczki. I – od pewnego momentu – od wyzwania.

Wyzwania?

Ula była jedyną dziewczyną z tego pokoju, która próbowała trzymać mnie na dystans. Nie szukała mojego towarzystwa, jak jej koleżanki. Nie była wylewna, otwarta, nie zagadywała mnie. I to mnie w pewnym sensie wkurzyło. To, że nie robiłem na niej żadnego wrażenia. To klasyczne wyzwanie dla dumnego człowieka: „Kim ona, do cholery, myśli, że jest? Przecież ja jestem Brian, nie?”.

Brian z RMF-u?

Nie! Raczej Brian, który ma wysokie poczucie własnej wartości. Myślałem sobie, że skoro te wszystkie dziewczyny mnie lubią, to dlaczego ona jedna mnie nie lubi? Wiesz, jak wyglądało moje pierwsze spotkanie z Ulą sam na sam? Wypaliłem do niej prosto z mostu: „Mam wrażenie, że ty mnie nie lubisz”.

Co ci odpowiedziała?

Że to nie jest tak, że mnie nie lubi. Ale niby z jakiej racji ma się do mnie pchać?

Jak wyglądały wasze pierwsze spotkania, randki w akademiku?

Jakie randki? W akademiku po prostu się z kimś spotykasz w pokoju i gadasz, tam nie ma romantycznego miejsca na kolację przy świecach. A ja nie byłem osobą, która lubi wychodzić na miasto, na imprezy. Ula z kolei nie jest wylewna w uczuciach, nie będzie chodziła po ulicy z ręką w twoich dłoniach. Dla niej uczucia to jest sprawa między nią a tą osobą, którą nimi darzy. Nie widzi sensu, by się z nimi publicznie afiszować. Jest za to świetną matką, świetną osobą. Nie pije, nie pali, uwielbia tańczyć.

Macie dwóch synów: Marvella urodzonego w 1993 roku i Michaela, który urodził się w 2001 roku. Ale pobraliście się dopiero dwa lata po urodzinach Michaela. Dlaczego?

A wiesz, czym jest dla mnie małżeństwo?

Pewnie nieistotną formalnością, skoro zdecydowałeś się na nie tak późno?

Właśnie tak. Małżeństwo jest jedynie uregulowaniem prawnym pewnej sytuacji, która już istnieje między dwojgiem ludzi. A ta sytuacja składa się z kilku czynników: z miłości, z głębokiego przekonania, że chcemy żyć razem pod jednym dachem, że

chcemy tworzyć gospodarstwo domowe, chcemy wychować dzieci, chcemy, aby to, co jest moje, było twoje, chcemy tworzyć najmniejszą wspólnotę, którą mamy w społeczeństwie, i zarazem najbardziej podstawową – rodzinę.

Rodzina jest dla mnie w życiu najważniejsza. Ale samo małżeństwo to dla mnie jedynie ubezpieczenie, na wypadek gdyby coś się stało – żeby Ula mogła po mnie legalnie odziedziczyć majątek, żeby nikt z nią o nic nie walczył, żeby mogła odwiedzać mnie w szpitalu. Więc pobraliśmy się dopiero w 2003 roku, kiedy uzmysłowiłem sobie, że może nie jestem już najmłodszy, że czas gna do przodu, a ja wiecznie żyć w zdrowiu nie będę, więc może warto sformalizować to, co i tak między nami jest od dawna.

Czyli nic się po tym wydarzeniu między wami nie zmieniło?

Nie. Nic się nie zmieniło. Mamy tylko papiery. Dokument, którego Ula może użyć w razie jakiejś nieoczekiwanej sytuacji, który poświadcza, że byliśmy wspólnotą, że razem budowaliśmy dom. Chcę, żeby Ula była tą osobą, która ma do niego pełne prawo – a nie moja matka, brat, siostra, kuzynki, kochanka. Nie. Tylko Ona – Ula.

Czyli ślub był tylko kropką nad i, formalnym zagranieniem?

Tak. Pewnego dnia po prostu powiedziałem: „Ula, wiesz co, zalegalizujmy to”.

Ona nigdy na mnie nie naciskała, ani razu. Naprawdę. Myślałem, że bardziej jej mamie na tym zależało. Gdy w Polsce żyjesz w związku, który nie jest zalegalizowany, są pewne...

Trudności? Ludzie uważają, że to, co między wami, jest przejściowe?

Nawet nie o to chodzi. Żyłem z Ulą tyle lat, razem wychodziliśmy na wszystkie imprezy – a byłem przecież wtedy osobą publiczną – na gale, koncerty, spotkania z politykami, z artystami.

Wszyscy więc wiedzieli, że jesteśmy razem. Chciałem, żeby to właśnie Ula była obok mnie, a nie ktoś inny. Natomiast istnieje pewien nacisk społeczny, szczególnie poza miastami, jakby ludzie pojąć nie mogli, że można żyć bez ślubu.

Ula ucieszyła się, kiedy zaproponowałeś jej małżeństwo?

Sądzę, że każda kobieta w takiej chwili się cieszy. Ula na pewno poczuła w pewnym sensie ulgę, że podjąłem tę decyzję. To było dla niej ostateczne potwierdzenie tego, że traktuję ją poważnie, że chcę z nią być do końca życia. Myślę, że postrzegala to również w kategoriach spełnienia oczekiwań swoich rodziców – dla niej jest ważne, żeby pokazać: jestem dobrą córką.

Ja, żeby pokazać, że jestem dobrym synem, nie musiałem spełniać podobnych oczekiwań. Pochodzę z innej kultury, która ma dużo mniej tradycyjne podejście do takich spraw. U nas jeśli dwoje ludzi żyje razem bez ślubu, nikt nie widzi w tym nic niestosownego. Nawet nie ma takich brzydkich słów piętnujących ludzi, którzy mieszkają ze sobą. Te polskie słowa są takie brzydkie.

Jakie słowa?

Konkubent, konkubina, na kocią łapę. Takie brzydkie, że człowiek od samego ich dźwięku czuje się winny, zdaje mu się, że coś złego zrobił. Jakby to piękne uczucie, które łączy dwoje ludzi, w ogóle się nie liczyło. Uczucie, które dało przecież wspaiałe owoce: dzieci. A mówią na ciebie „konkubent”! Jak to brzmi?! Gorzej niż morderca.

U was jak się mówi na osobę, z którą żyjesz?

Partner. I'm living with my partner. Są też określenia *reputed wife* i *reputed husband*. Domniemana żona i domniemany mąż. I w papierach tak można wpisać. A nie, jak w Polsce, że ktoś jest moją konkubiną. To brzmi jak napaść Krzyżaków.

Jesteście z Ulą podobni?

Nie. Ula nie używa brzydkich słów, a ja klnę jak szewc, rzucam przekleństwami na prawo i lewo, gdy się zdenerwuję. A Ula nawet nie podnosi głosu, gdy jest zła, można to poznać tylko po tym, że szybko chodzi. Ula jest znacznie mniej ekspresyjna, spokojniejsza. Ale to ona bardziej lubi wychodzić z domu, pójść na imprezę, potańczyć. Jesteśmy kompletnie *opposite*, różni. Ale w końcu mówi się, że *opposites attract*. Przeciwności się przyciągają.

Kolejna różnica: ja bym chętnie pokazał całemu światu, że ona jest moja. Idąc ulicą, trzymałbym ją za rękę i przytulał. Ula jest wstrzemięzliwa, nie lubi obnoszenia się z uczuciami. Oczywiście ja przesady w tym również nie lubię. Gdy ktoś całuje się namiętnie i rozbiera na ławce przy innych ludziach, jakby zaraz miał mieć stosunek, jestem w stanie podejść i zwrócić uwagę, mówiąc, że do takich celów służy hotel. Takiej publicznej namiętności więc nie lubię, uważam nie tylko, że jest niesmaczna, ale jest też ponizaniem kobiety. Ale idąc ulicą, chciałbym czasem Ulę przytulić, złapać za rękę. A dla niej to już jest za dużo.

Ty już wcześniej zostałeś ojcem. Ale w wychowywaniu tamtych dzieci nie brałeś czynnego udziału...

Nie zgodzę się z tym. Moja mama, ojciec i bracia nigdy nie pozwolili, żeby moim córkom w Gujanie czegoś zabrakło, by miały jakiegokolwiek niedostatki: w edukacji, w jedzeniu, w czymkolwiek. I dzięki temu do dziś mam z dziewczynami fantastyczne relacje.

Ale to ojcostwo musiało się jednak różnić od tego z chłopakami, gdzie jesteś cały czas przy nich.

No tak, przez sam fakt, że mieszkam w Polsce. Gdy dziewczynki były małe, nie mieszkalem już w Gujanie i nie miałam zamiaru

tam wracać. Nie bawiłem się więc z nimi, nie pokazywałem świata, nie uczyłem ich. W pewnym sensie jest mi przykro, że nie byłem z nimi na co dzień. Ale nie każ mi żałować moich wyborów. Ula jest moim przeznaczeniem. Moją terażniejszością i – z tego, co widzę – przyszłością. A to, że była jakaś inna przeszłość? Nie lubię oglądać się za siebie. Nie jestem człowiekiem, który będzie patrzył *over my shoulder*. Żyję tylko tym, co teraz, i tym, co będzie. Wolę nawet o wczoraj nie myśleć. Czy pamiętam? Czasami pamiętam. Ale to nic nie daje. Powoduje tylko zgorzknienie, rozdrapywanie ran. To byłoby nie w porządku wobec Uli, wyszłoby, że jestem teraz z nią, bo nie udało mi się z poprzednią żoną. A jestem z nią, bo to przeznaczenie. Bo Bóg tak chciał.

Córek nie kąpałeś, nie karmiłeś, nie zmieniałeś im pieluch. Czy więc po narodzinach synów coś cię przerosło?

Nie! Pochodzę ze społeczeństwa, gdzie dzieci od małego – w Polsce może tak jest na wsiach – dbają o młodsze rodzeństwo czy kuzynostwo. Więc nie miałem problemów. Ba, to ja Ulę wielu rzeczy uczyłem: składania pieluch, czyszczenia dupska, kąpieli, masowania olejem. Formowałem głowy chłopaków, żeby miały ładny kształt.

Co robisz?

Spójrz na głowy moich chłopaków. Nie mają żadnych kątów, płaskości. Dziecko, kiedy jest małą istotą, jest miękkie i elastyczne. Jak plastelina. Można uformować jego ciało przez masaże. Paluchy, dłonie, stopy, nos. Nie musisz być specjalistą, żeby to wiedzieć, wystarczy żyć w społeczeństwie, gdzie nie było lekarzy, fizjoterapeutów, pielęgniarek. W moim społeczeństwie żyły stare kobiety – w Polsce mówi się na nie akuszerki – które przyjmowały wszystkie porody.

Nie było lekarzy?

Nie dla wszystkich. Znam w Gujanie osoby, które nigdy w życiu nie były u lekarza. A Ula musiała rodzić w dobrym szpitalu, lekarz prowadził jej ciążę przez całe dziewięć miesięcy, trzeba było za to płacić słone pieniądze. Ale czy w Gujanie było gorzej? Nie.

Wychowywałeś chłopaków trochę po gujańsku?

Tak. Nauczyłem ich między innymi modlić się w sposób, który znam z Gujany. Pamiętaj, że jestem z chrześcijańskiej rodziny. Obydwaj moi chłopcy uczyli się modlitw, których wcześniej ja uczyłem się od swoich rodziców. Na wieczór, gdy idziemy spać:

*This night I lay down to sleep
I give the Lord my soul to keep.
If I should die before I wake
I ask the Lord my soul to take.*

Ładne.

Dzieci to rozumieją. „Tej nocy, kiedy położę się spać, daję Panu duszę, by jej strzegł. Gdybym umarł przed obudzeniem się, niech trzyma duszę u siebie”. I jeszcze, gdy budzimy się rano:

*Now I wake to see the light
Lord has kept me through the night.
Thank You Lord, I pray
Keep and guide me through the day.*

Uważam, że warto było te dwie modlitwy przekazać. One są częścią mojej tożsamości, obok języka, kultury, historii rodzinnych, jedzenia.

Ty jesteś presbiterianinem. Jakie są różnice między Waszym chrześcijaństwem a naszym?

To Kościół protestancki ze Szkocji. Presbyterian Church of Scotland.

W którym Kościele są Twoi chłopcy?

Moje dzieci są Polakami. Są katolikami. Wszystkie sakramenty, które ty przyjąłeś, oni też mają: chrzest, pierwszą komunię. Marvell ma także bierzmowanie, Michael będzie miał bierzmowanie za rok. To oni zdecydują dalej, co z ich katolicyzmem. Nigdy nie próbowałem nawet sugerować im, jakie mają podejmować decyzje.

Nie myślałeś, żeby zostać katolikiem?

Nie. Moje wyznanie jest częścią mojej tożsamości. A przecież też wierzę w Chrystusa, w jego ukrzyżowanie, w zmartwychwstanie. Wierzę w tego samego Boga, w którego wierzą Polacy. Nasze święta są takie same jak polskie święta. Jedyne, czym się różnią, to potrawy, które wtedy jemy.

Gujański sposób wychowania różni się od polskiego?

O tak. W Gujanie na przykład znacznie wcześniej mówi się dzieciom, co to jest miłość i seks. Nie ma historyjek o bocianie i kapuście. Nie ukrywamy tego, skąd biorą się dzieci, nie czekamy, aż dziecko „wpadnie”, żeby pogadać z nim o antykoncepcji. Nagość nie jest tabu. W moim i Uli domu ten temat zawsze był obecny. Kapaliśmy się w czwórkę, bo mamy dużą wannę: ja, moja żona, moje dzieci.

W dzisiejszych czasach gdyby ktoś o tym usłyszał, jeszcze posądziłby mnie o molestowanie seksualne. A my po prostu nie ukrywaliśmy naszych ciał. Mówiliśmy chłopakom wprost, że to jest ich siusiak. A gdy dziecko zwracało uwagę, że mama nie ma susiaka, to mu tłumaczyliśmy dlaczego. Albo wyjaśnialiśmy, skąd u mamy biust, że to była ich mleczarnia, gdy byli mali. I że dziecko wychodzi z brzucha, że mieszka tam wcześniej dziewięć miesięcy.

Uważam, że to jest nasz, rodziców, obowiązek. Mój ojciec ze mną rozmawiał i ja rozmawiałem ze swoimi dziećmi. Nie ma

żadnego uniwersytetu, który kształci ojców i matki. Tego się nie uczy. To można tylko obserwować, podpatrywać, jak dzieci wychowywali twój tata, dziadek, babcia, wujek, starszy brat, sąsiad. Nie wszystkie wzorce ci się podobają, nie z wszystkimi się zgadzasz, więc część z nich odrzucasz, a inne wykorzystujesz. Sporo rzeczy, które wyniosłem z domu, jest dla mnie ważnych, na przykład wspólne posiłki. My teraz siedzimy w restauracji, jemy coś, ale gdy wrócę do domu, zjem jeszcze jeden wspólny posiłek z Ulą i Michaelem, bo Marvell wyprowadził się już z domu, wpada tylko w odwiedziny. Zawsze staramy się jeść wspólne śniadania w soboty. Przyrządzamy szwedzki stół, gdzie jest wszystko: jajecznica, wędlna, biały ser, żółty ser, woda, kawa, herbata, ryby, sok, tosty, ciemny chleb, biały chleb... Istnieje podział obowiązków: my z Ulą gotujemy, chłopcy ustawiają stół, a później sprzątają. To nie jest nowość, którą ja wymyśliłem. U mnie w rodzinnym domu też zawsze w weekendy jadło się wspólne śniadania.

To, że kultura wspólnych posiłków w Polsce zanika, bardzo niepokoi psychologów i socjologów.

Tym bardziej trzeba ją więc pielęgnować. Pod wieloma względami jestem tradycjonalistą. Posiłki, odpowiedzialność za rodzinę. Również finansowa. Nie wiem, ile zarabia moja żona, nie interesuje mnie to. Bo uważam, że to jest mój obowiązek, żeby utrzymywać ją i rodzinę. Płacę wszystkie rachunki, robię zakupy. Nigdy nie proszę Uli o pomoc. Nie podoba mi się nasz chrześcijański, szowinistyczny świat, gdzie kobieta zawsze miała być matką, kochanką, kucharką, kurą domową, sprzątaczką, praczką, szwaczką i jeszcze miała pięknie wyglądać i pachnieć. A facet, tego wielkiego pana, który idzie do pracy, po powrocie z niej trzeba obsłużyć, podetknąć mu jedzenie pod nos, przynieść pantofle pod kanapę, na której się rozsiada, żeby obejrzeć mecz i napić się piwa. W tej tradycji facet nawet nie wychowuje dzieci, kobieta ma to robić. To nie jest polskie myślenie, tak jest na

całym świecie. Sprzeciwiam się temu. Uważam, że jeżeli kobieta była ambitna, poszła na studia i chce pracować, trzeba jej dać szansę, żeby się realizowała, pomóc jej w tym, wziąć na siebie część obowiązków w domu. A co ona zrobi z tymi pieniędzmi, to już jej sprawa. Ula zawsze jest zadbana, piękna, dobrze ubrana – przecież to jest też dla mnie. Chodzi na fitness, spotyka się z koleżankami, ma życie poza mną. I dobrze. Ma do tego prawo.

Kobieta, wychodząc za męża, nie staje się niewolnikiem. *Sorry*. I ja też niewolnikiem nie jestem. Ona ma prawo mieć swoich przyjaciół, a ja swoich. Jej przyjaciele niekoniecznie są moimi i odwrotnie. Nie muszę się z tego powodu wkurzać, być zazdrosny. Powtórzę raz jeszcze, że małżeństwo jest jedynie zwieńczeniem związku, potwierdzeniem go papierami. A nie stwierdzeniem, że ktoś jest moim właścicielem. Na Murzyna to działa jak płachta na byka. Samo słowo „właściciel”. To jest niewolnictwo, kiedy do kogoś należysz. Moja żona nie należy do mnie. Jest moją żoną, matką moich dzieci, towarzyszką mojego życia, a nie moją własnością. Nie mam prawa niczego od niej żądać ani jej rozkazywać. To nie jest wojsko. Pokaż mi, gdzie w Biblii jest napisane, że mam od kobiety tylko żądać albo że kobieta jest uzależniona ode mnie?

Jest napisane, że kobieta powstała z żebra mężczyzny.

Z czegoś musiała powstać. Ktoś musiał być pierwszy. Ale co z tego, że pierwszy był Adam? Może i był pierwszy, ale potrzebował partnera, a najlepszym partnerem, jakiego mógł dla niego wymyślić Bóg, była kobieta. Czy Adam i Ewa brali ślub? A jednak mieli synów. Więc dla mnie kobieta ma być przede wszystkim partnerką.

Co przez to partnerstwo rozumiesz?

To, że problemy próbujemy rozwiązywać wspólnie, siedząc i rozmawiając. RAZEM. Na tym polega partnerstwo. Każdy

jest tak samo ważny. Jak drużyna sztafety: jej członkowie są partnerami, bo wszyscy mają ten sam cel – jednoczą swoje siły, by jak najszybciej dobiec do mety. Partnerstwo to współpraca. Nie ma w nim rządzenia, narzucania swojego zdania. Nie jest też tak, że dzielimy się odpowiedzialnością i satysfakcją pół na pół. Nie. Jedna osoba ma sto procent i druga osoba ma sto procent. Partnerstwo to wyjątkowy układ, który z matematycznego punktu widzenia nie jest możliwy. A jednak wspólnie osiągamy znacznie więcej, niż osiągalibyśmy osobno. Wiem, że gdyby jutro coś się ze mną stało, gdybym nie mógł płacić rachunków, gdybym zachorował, miał wypadek, Ula stanęłaby na głowie, rzęsach, nogach, paznokciach lub włosach, by utrzymać rodzinę.

Uważasz się za dobrego ojca?

Dla Michaela – tak. Niestety podczas wychowywania Marvella popełniłem bardzo dużo błędów. Gdybym moje życie miał przeżyć jeszcze raz, nie mieszkałbym tyle lat w rozjazdach, między Krakowem a Warszawą – gdy pracowałem dla RMF-u w Warszawie, rodzina widywała mnie tylko w weekendy. I teraz, jak sądzę, płacę za to cenę. Wysoką. Między mną a Marvellem jest dystans, ściana, przez którą już nie mogę się przebić. Z Michael-em, który pojawił się później i poświęcałem mu więcej czasu, mam zupełnie inną relację.

Ściana między tobą a Marvellem?

Marvell ma problemy z narkotykami. Od zawsze był wrażliwym dzieckiem. Dręczy mnie myśl, że poświęcałem mu za mało czasu, że czasem dawałem klapsy i one może dodatkowo oddaliły go ode mnie. I przez to może on po prostu szukał schronienia u kolegów, którzy niekoniecznie byli dobrzy. I pojawiły się narkotyki.

Co to były za narkotyki?

Na pewno była marihuana, ale mógł próbować wszystkiego, nawet dopalaczy. Teraz jest człowiekiem uzależnionym. Krew mnie zalewa, kiedy słyszę, jak Palikot i inni mówią, że marihuana jest fantastyczna. Gdybym tylko złapał tych, którzy to sprzedają... Uważam, że dla dealerów powinna być przewidziana kara śmierci. W Malezji za jakąkolwiek, nawet najmniejszą ilość narkotyków, idziesz na śmierć. Popieram to.

Tylko że marihuana akurat może być skutecznym lekarstwem na wiele poważnych chorób.

Więc jako lekarstwo niech będzie dostępna, ale niech to będzie kontrolowane, wystawiane na receptę. Ale ci, którzy nielegalnie sprzedają narkotyki i wzbogacają się na tym, powinni być surowo ukarani. Łącznie z tym, że powinno się zabierać im majątek. Nie chcę karać ich żon, rodziców, dzieci. Im bym zostawił tyle, żeby mogli żyć. Ale to skurwysyństwo, że dealerzy żyją w dostatku, jeżdżą mercedesami czy BMW i przy okazji zabijają innych.

Oni w pewnym sensie zabili mojego syna. Marvell był fantastycznym, zdolnym dzieckiem. Koszmarem jest przez cztery albo pięć lat siedzieć i patrzeć, jak twoje dziecko, na twoich oczach, niszczeje, degeneruje się i idzie ku upadkowi. A ty nic nie możesz zrobić. To najgorsze, co człowiek, ojciec, może przeżyć.

Wyszedł z tego?

Nie. Dalej nie. On wchodzi, wychodzi i tak w kółko. I tak będzie do momentu, kiedy przyjmie do wiadomości, że ma poważną chorobę i musi ją leczyć. Dla chłopaka takiego jak Marvell – przystojnego, wysportowanego, zdolnego – to katorga. Nie może pić alkoholu, pójść z kolegami na piwo. A on chce żyć, chce być jak każdy normalny młody mężczyzna!

Jak w ogóle o tym rozmawiać? Mam fajne dziecko, fajnego chłopaka, nie przestanę go kochać, ale nie wierzę w to, że będzie

kiedyś tym samym Marvellem, którego znałem. Może to jest w rękach Boga, może jeszcze Bóg zrobi tak, że będzie dobrze. Marvell był najlepszy po gimnazjum, znakomicie radził sobie w debatach oksfordzkich, był świetnym pływakiem. A teraz się niszczy.

Jak Michael się w tym odnajduje?

Jest nieszczęśliwy, bo nie ma starszego brata, na którym może polegać. Ale Michael jest cholernie dzielny, rozmawia z bratem, apeluje: „Marvell, spróbuj z tego wyjść”.

Mówię szczerze: jakbym mógł oddać wszystkie te moje tak zwane sławy i osiągnięcia w Polsce tylko za to, żeby mój syn nie miał dzisiaj tego problemu, nie zawahałbym się. Proszę Boga: „Odbierz mi to wszystko, a daj mojemu synowi takie życie, na jakie on zasłużył. Odbierz mi, Boże, wszystko. Nie chcę tego. Guzik mnie obchodzi, że jestem znany, jeśli mój syn cierpi, a z nim cierpi cała rodzina”.

Marvell nie przyjmuje do wiadomości swojej choroby?

Myślę, że on to rozumie, nawet mówi, że jest chory. Ale jest uzależniony. Tylko gdy weźmie, czuje się dobrze. A on jest młody i chce się czuć dobrze. W przeciwnym razie tylko leży i śpi, chodzi na studia, ale nie widzi w tym większego sensu.

Co Marvell studiuje?

Filozofię. Ludzie, którzy mają podobne problemy, często wybierają studia, które pomagają zrozumieć samych siebie, choćby filozofię czy psychologię. Ale to wcale nie działa. Sugerowałem, żeby był prawnikiem, jego wujek jest prawnikiem. Ale on, że nie i nie. Że pójdzie na filozofię. Widać, że wszystko, co Marvell robi – to, co kupuje, co czyta, czego szuka w Internecie – jest po to, żeby zrozumieć siebie. Szuka różnych dróg, w tym hinduskich. Marvell jest moim największym zmartwieniem. Czy

klęską? Nie można mówić, że dziecko jest klęską. Ale to jest niedokończone dzieło Briana Scotta. Tęsknię za tym fajnym synem, który świetnie biegał i przynosił same szóstki.

I ciągle zastanawiam się, czy coś zrobiłem nie tak. Miałem taki moment, kiedy czułem się winny, bo myślałem, że może to przez moją osobowość, przez to, że osiągnąłem sukces. Może Marvell nie był w stanie udźwignąć presji, tego, że ludzie go do mnie porównywali, że w szkole miał pod górkę? Raz powiedział mi nawet, że żałuje, że jestem jego ojcem. A kiedy byłem zaproszony do jego szkoły, żeby rozmawiać z młodzieżą, poprosił nauczycielkę, żeby nie przedstawiać mnie jako jego ojca. Poczuję się, jakby się mnie wstydził, jakbyśmy tworzyli patologiczną rodzinę. Czasem mówię mu: „Marvell, to nie jest moja wina, nie mogę iść i powiedzieć teraz polskiej publiczności: przepraszam, że byłem i jestem tym Brianem Scottem, którego tak lubiliście i daliście mu szansę, żeby stał się osobą publiczną poza granicami swojego kraju, Gujany. Jestem, Marvell, tym, kim jestem. Nie mogę tak zrobić. Ale jeżeli to jest coś, co cię krzywdzi, to cię przepraszam. Przepraszam, jeśli kiedykolwiek zmusiłem cię do tego, żebyś dążył do osiągnięcia czegoś”.

A wywierałeś taką presję?

Może mam coś takiego w sobie. Uważam, że życie człowieka teraz, w tym nowym świecie, takie po prostu jest. Nie popieram wyścigu szczurów, ale obecnie na wejściu jesteś nikim, jeśli jesteś przeciętny. Przeciętności ludzie nie pamiętają. Musisz być jeden duży krok do przodu. Jeżeli nie jestem w stanie cię wygooglować i znaleźć na Wikipedii, to znaczy, że nie istniejesz. Bo jest tylu przeciętnych... I trudno być jednym z wielu. Współczesny świat wmawia nam, że mamy być wyjątkowi. Lepsi. Mówiłem zawsze: „Dzieci, z powodu tej naszej ciężkiej sytuacji – bo życie Murzyna w Polsce naprawdę jest trudniejsze – na każdym kroku musicie udowadniać, jacy dobrzy jesteście”.

I dlatego Marvell czuł presję?

Myślę, że tak. Że ta moja ambicja mogła mu zaszkodzić. Gdy studiowałem na Uniwersytecie Jagiellońskim, to podejście do każdego egzaminu, który musiałem zdać, traktowałem jak wyjście na bitwę. Na wojnę. Po tym, jak te wszystkie rzeczy były napisane na moich drzwiach, jak byłem poniżany, opluwany, doszedłem do wniosku, że jedynym sposobem, żeby pokazać, że jestem równy, a może i lepszy, jest zdać egzamin w języku polskim. Doszło do tego, że cieszyłem się, gdy moi polscy koledzy oblali. Mówię o kolegach, którzy nie zrobili mi nic złego, a mi ich porażka sprawiała przyjemność. Sprawiało mi przyjemność, gdy Polska przegrywała mecze piłki nożnej. W ten sposób odregutowywałem poniżenie, nietolerancję, pobicia, oplucia – wszystko, co tutaj przeżyłem.

Czy twoi synowie kiedykolwiek mieli problemy z powodu swojego koloru skóry?

Staralem się ich przed tym chronić. Zawsze mówiłem: „Słuchajcie, miejcie jedną rzecz na uwadze. Spójrzcie na siebie i na swoich kolegów. Jesteście ładni. Jesteście nawet ładniejsi. Dzieci, nie przejmujcie się. Nie jesteście czarni, spójrzcie, ja jestem czarny, wy nie. Jesteście Polakami, tak jak oni. Jesteście Mulatami, dobrze, ale nie jesteście murzynkiem Bambo, który w Afryce mieszka. Jesteście dziećmi, które chodzą do tej samej szkoły ze swoimi kolegami, znacie ten sam język. Podróżujecie, znacie więcej kultur, znacie inne języki. Nie ma się czego wstydzić. I oprócz tego popatrzcie na swoją urodę. Jesteście piękni”. Zawsze im tak mówiłem.

To jest budowanie ich samooceny. Ale nie mogłeś ich ustrzec przed aktami nietolerancji.

Ale jak oni w siebie wierzą, to i ich koledzy inaczej na nich patrzą. Raz pojechałem odebrać Michaela ze szkoły. Był tam

starszy mężczyzna, przyjechał po wnuka. I pokazuje na mojego syna i mówi: „O, patrz, jaki słodki Murzynek, jaki kochany!”. Ten jego wnuk, kolega Michaela, odpowiedział mu na to: „To nie jest Murzynek, to jest Michael”.

Pomyślałem sobie wtedy: „Widzisz, staruszkule, nauczcie się wreszcie”. Młodszy nie widzą żadnej różnicy. Ale jeszcze istnieje generacja, która sprawia, że w tym kraju nie może być na raz prawdziwej tolerancji, miłości i chrześcijaństwa. Ta generacja, niestety, musi wyginąć, żeby to się zmieniło. To między innymi przez takich ludzi moje dzieci miały trudniej, czuły większą presję. A może być też tak, że Marvell ma problemy z tego powodu.

Nie wiadomo, jaki wpływ wywarło na niego środowisko.

W przypadku Marvella zaczęło się gdy był jeszcze w liceum, pięć lat temu. Początkowo myśleliśmy z Ulą, że to trudny okres dojrzewania, normalne zachowanie u nastolatków. W takiej sytuacji człowiek spogląda wstecz, zadręcza się, zastanawia, co zrobił nie tak. Może za dużą dyscyplinę stosowałem? Może za mało czasu z nim spędziłem? Bądź tu mądry teraz. Wiem tylko, że moje dziecko tuła się od pięciu lat po psychologach: najlepszych, płatnych, niepłatnych, państwowych i nikt mu nie potrafi pomóc. A ja mogę tylko beczynnie patrzeć i modlić się za dzieciaka, żeby jednak się ogarnął. I myśleć, co by zrobił mój ojciec, najmądrzejszy człowiek na świecie. Ale ojca już nie zapytam.

**NACZELNY
MURZYN**

NIE bierzesz pod uwagę, że kiedyś wrócisz do Gujany?

Biorę.

Jak to?

Zastanawiamy się z Ulą, jak ma wyglądać nasze życie na emeryturze. I Gujana wydaje się ciekawą alternatywą dla polskich zim. Ula, tak jak ja, jest osobą, która woli tropikalną aurę. Oboje nie przepadamy za zimą. Trzy miesiące lata to dla nas za mało. Ula poza tym była przecież w Gujanie i jej się tam podobało. Uwielbia moją rodzinę, gujańskie jedzenie, zna języki, jest wykształcona i na pewno by się tam odnalazła. Tylko nie do końca wierzę w to, że jak przyjdzie co do czego, to ona zdecyduje się tam przeprowadzić... Wiesz dlaczego?

Nie chciałyby zostawiać Marvella i Michaela?

Właśnie. Nie wierzę, że będzie miała tyle siły wewnętrznej, żeby zostawić chłopaków w Polsce i widzieć ich tylko wtedy, kiedy przyjedziemy do nich w odwiedziny albo oni przyjadą do nas. Ula ma w sobie za dużo z matki Polki, by to zrobić. Przede wszystkim nie wierzę, że zgodziłaby się zostawić tu Marvella,

kiedy on boryka się z problemami. Ona chciałaby mieć go na oku. Kiedy mówię jej: „Słuchaj, on jest dorosłym człowiekiem, niech zajmuje się sam swoim życiem. Niech spada na sam dół, a gdy już spadnie, to może spróbuje sam się podnieść i coś zrozumie”. Ale ona kurczowo trzyma się jednak tej nadziei, że my jesteśmy w stanie go ocalić i uważa, że nie wolno nam dopuścić do tego krytycznego momentu.

Ula przeżywa to bardziej niż Ty?

Też to ogromnie przeżywam. Ale Ula jest matką. Matki zawsze czują głębszą, bardziej biologiczną więź z dzieckiem. To najsilniejsza miłość, jaka jest na świecie: miłość macierzyńska. Jeśli chcesz, żeby kobieta naprawdę cię kochała, Kochaj jej dzieci, nawet jeśli to są dzieci innego faceta. Bo kobieta może iść z tobą do łóżka, może podróżować, możecie mieć wspólne życie, ale ona ciągle z tyłu głowy ma swoje dzieci. Widzę to nawet na wywiadówkach w szkole – wciąż większość rodziców, którzy przychodzą, to matki.

Ile procent na zebraniach to mężczyźni?

Okolo trzydziestu. Głównie kobiety zajmują się tymi sprawami. Kobiety w ogóle są w stanie ogarnąć więcej rzeczy niż mężczyźni. I świetnie sobie z tym radzą. Są mistrzami w organizacji, w oszczędności, w poświęceniu. Dlatego denerwuje mnie to, że to mężczyźni rządzą tym krajem. Nie zgadzam się z tym. Uważam, że Polki są zbyt inteligentne, aby pozwolić, żeby ten kraj był opanowany przez męskich szowinistów, których jest tu mnóstwo. Gdyby w Polsce była poważna partia złożona z samych kobiet, chciałbym być jej członkiem. Nawet jakbym miał w tym celu zmienić płeć. Mam ogromny szacunek do polskich kobiet – tych, które poznałem na studiach i poza uczelnią. Nie chcę urazić moich kolegów Polaków, ale znam więcej poważnych kobiet niż facetów. One potrafią czynić cuda, ale nie mają

w tym kraju równych szans. I obecna polityka tego nie zmieni. Bo jeśli partia rządząca jest silnie związana z doktryną katolicką, to do tego nie dopuści.

Ale na czele tego rządu stoi przecież kobieta.

Marionetka. Oglądałem dzisiaj przemowę naczelnika państwa...

Masz na myśli Kaczyńskiego?

Tak. Wreszcie dożyliśmy momentu, kiedy ten urząd wrócił. Bo jedynym naczelnikiem w Polsce był Piłsudski. I teraz znów jest naczelnik. Mówił dzisiaj o polityce zagranicznej i wewnętrznej, na widowni siedziała pani premier i to wszystko oklaskiwała.

Skoro już mówimy o polityce... Wiesz, o co chciałam zapytać?

O poprzednie wybory samorządowe? Startowałem w Krakowie z listy Jacka Majchrowskiego, prezydenta miasta. Startowałem i na radnego miejskiego, i na radnego dzielnicy.

Nie dostałeś się ani ta, ani tu. Dlaczego tego pomysłu nie udało się zrealizować?

Niewiele zabrakło. Startowałem z okręgu, w którym mieszkam, a nie z tego, w którym uczę w szkole. Więc większość moich potencjalnych wyborców po prostu nie mogła na mnie zagłosować.

Skąd w ogóle wziął się pomysł, żeby po tylu latach życia w Polsce wracać do polityki?

Pomysł zrodził się nagle. Mam przyjaciela, nazywa się Marcin Mikos. Często rozmawiamy. I podczas jednej z takich rozmów rzuciłem: „Wiesz co, Marcin, chciałbym być radnym. Nie posłem, ale radnym, żeby służyć lokalnemu społeczeństwu”. Marcin powiedział na to: „Naprawdę? To zadzwonię do ciebie za kilka dni”. I Marcin później umówił mnie z Majchrowskim.

Różne są opinie na jego temat.

To nie jest tak, że kocham Majchrowskiego. Ale szanuję go. Kiedy byłem jeszcze studentem, on był chyba rektorem Uniwersytetu Jagiellońskiego. Nie poszedłem za Majchrowskim z powodu jakiejś doktryny. W jego Komitecie Wyborczym znaleźli się ludzie różnych opcji politycznych – postkomuniści, kandydaci, którzy byli wcześniej w PO, w PSL... Łączyło ich jedno – chcieli coś zrobić dla Krakowa. I ja też chciałem. Miałem niezły program.

Co w nim było?

Może powiem, jak go wymyśliłem. Najpierw zastanowiłem się, co wkurza mnie i moich znajomych w tym mieście. Doszedłem do wniosku, że jednym z głównych problemów Krakowa – przynajmniej najbardziej uciążliwym dla mieszkańców – są, obok smogu, zatłoczone ulice. Więc nie rozumiem, czemu wciąż brakuje tu parkingów Park&Ride. To nie był pomysł z kosmosu. Człowiek podróżuje po świecie i się uczy. Niestety, widocznie Polacy nie podróżują albo ludzie Majchrowskiego nie podróżują. Widziałbym to tak: docierasz do Krakowa, parkujesz swoje auto, a w zamian masz zapewnione nie tylko to, że twój samochód jest bezpieczny, ale również komunikację miejską wliczoną w cenę parkingu. Czy wsiadasz do tramwaju, czy autobusu, nie płacisz już za bilet. Nawet jak chcesz pożyczyć rower, to masz to za darmo.

Wymyśliłem też jedną rzecz, z której zrobiłaby się awantura ze studentami. Na wojnę z nimi bym poszedł. Bo kiedy jest największy ruch w Krakowie?

Od października do maja, zwłaszcza w święta i weekendy, szczególnie te długie.

No właśnie! A więc wniosek jest prosty: korki generują studenci. Studiowałem w zupełnie innych czasach, gdy studenci byli

biedni i nie mieli samochodów. A dzisiaj co drugi student jeździ swoim autem na uczelnię i parkuje wszędzie – na trawnikach, na osiedlach. A ty, który tu pracujesz, tu płacisz podatki, który dajesz więcej dla tego miasta, nie masz gdzie zaparkować. I stoisz w korkach, i spóźniasz się do pracy. Czy to jest sprawiedliwe?

To jak zamierzałeś to rozwiązać?

Dać studentom wybór: albo niech jeżdżą autami, ale wtedy odbieramy im ulgi na komunikację miejską, albo, skoro mają zniżki, niech jeżdżą komunikacją. Tylko wtedy za każdym razem, gdy spotkałoby się studenta jeżdżącego po Krakowie autem, należałoby dać mu mandat.

Naprawdę zrobiłaby się wojna.

Ale to byłoby po myśli mieszkańców, którzy utrzymują to miasto. Widziałbym w tym duży sens. Co my mamy z tego, że studenci tu są? Ile pieniędzy tu zostawiają? Okej, jedna trzecia z nich wynajmuje tu mieszkanie, może jakaś niewielka część studentów zarabia tu jakieś pieniądze, ale na ogół na czarno, a Urząd Skarbowy nic o nich nie wie.

Nawet jak wie, to studenci rozliczają się pewnie w urzędach w swoich rodzinnych miejscowościach.

Tak. Więc pożytku finansowego z nich nie ma. Nie wierzę też, że dzięki nim mamy tyle knajp, kawiarni, restauracji. Czy student, który wchodzi do knajpy, zostawia w niej dużo pieniędzy? Nie, siedzi całą noc przy jednej kawie, jeszcze często pitej na pół z dziewczyną. Oni piją i bawią się głównie w akademikach. W galeriach siedzą ze swoimi napojami. Myślisz, że dlaczego na twoim czy moim osiedlu jest tak trudno zaparkować? Przecież nie wszyscy studenci tam mieszkają. Oni mieszkają w centrum, przyjeżdżają do Krakowa i zostawiają swoje auta poza

centrum na kilka miesięcy. Okupują jedno miejsce, które mogliby zająć mieszkańcy. Są na moim osiedlu samochody, które stoją cały rok, w ogóle nieruszane, a nagle pod koniec roku akademickiego tego samochodu nie ma. Owszem, niektóre części mojego programu były dość kontrowersyjne, ale wymyśliłem to, mając na uwadze mieszkańców Krakowa.

Pomyślałem też, że trzeba przeprowadzić decentralizację eventów krakowskich.

Co przez to rozumiesz?

Prawie wszystkie ciekawe imprezy, które dzieją się w tym mieście – i wszystkie największe – odbywają się w okolicach Rynku Głównego, ewentualnie Kazimierza. I jak ludzie z Prądnika Czerwonego czy Kurdwanowa mają na nie dotrzeć?

Autobusem lub tramwajem.

Okej, ale to już jest większa wyprawa. Więc ci ludzie rzadko tak naprawdę korzystają z oferty kulturalnej miasta. Chciałem te dzielnice znajdujące się poza centrum ożywić, przenieść tam część dużych imprez, stworzyć warunki do tego, żeby inwestorzy nie bali się otwierać tam knajp. Bo coś by się na tych osiedlach działo! Przecież gdy jesteś w Berlinie, nie wszystko się dzieje wokół centrum.

Ani nawet w Warszawie tak nie jest.

No więc to była kolejna rzecz. Miałem też inne ciekawe punkty.

Wymyśliłeś ten plan i przedstawiłeś go Majchrowskiemu?

Nie miałem go przedstawiać Majchrowskiemu, tylko swoim wyborcom w dzielnicy, w której mieszkam. Bo miałem być radnym, który reprezentuje tę dzielnicę i cały Kraków. I przegrałem o dwadzieścia pięć głosów.

Do Rady Dzielnicy czy Rady Miasta?

Rady Dzielnicy. Do Rady Miasta w ogóle za pierwszym razem trudno się dostać.

Miałeś też mało widoczną kampanię.

Była widoczna, ale tylko w mojej dzielnicy. Moje plakaty nie wisały w centrum, bo zbierałem głosy tylko na swoim podwórku.

Jak na osobę publiczną Twój wynik nie był szczególnie dobry. Ale pewnie wystraszyłeś trochę konkurencję samym faktem startu?

Tak było. Jeden z moich konkurentów, kiedy dowiedział się, że startuję w dzielnicy, przyszedł do mnie, proponując kompromis. Powiedział: „Będę cię wspierał, żebyś dostał się do Rady Miasta, ale ty nie przeszkadzaj mi w dzielnicy”.

Po co Ci to było? Te próby zabawy w politykę?

Chciałem dać Krakowowi trochę więcej siebie. Więcej niż to, co widać w telewizji, w radiu, w szkole. Chciałem zrobić coś społecznie. Mam doświadczenie. Byłem najmłodszym radnym w historii mojego miasta w Gujanie. Chciałem służyć ludziom. Nie chodziło mi o pieniądze. Chciałem, żeby mieszkańcy w tej szarej, wiecznie nieszczęśliwej rzeczywistości zrozumieli, że są już inne czasy. Że są kandydaci, na których mogą głosować i na których mogą liczyć. Na mnie mogliby liczyć przez cały rok mojej kadencji, a nie tylko podczas kampanii.

Polityka taka nie jest.

W Polsce nie. Ale na świecie politycy bywają porządnymi, dobrymi ludźmi. I jedną z takich osób był Joseph Scott. Mój ojciec. Żył biednie i umarł biednie, a w tak skorumpowanym kraju jak

Gujana mógłby dorobić się majątku na łapówkach. A on nawet samochodu nigdy nie kupił! I nie ściągnął, tylko dla siebie, prądu i wody do domu. Bo doszedł do wniosku, że jeżeli jego cała dzielnica i ludzie dookoła nie mają prądu i wody, to i on nie będzie miał. Taki był mój tata.

To był facet, który wyrzucił za drzwi człowieka, który przyszedł do nas z torbą pieniędzy, aby załatwić sprawę. Bo u nas będąc merem miasta – a on był merem, a później także wojewodą – automatycznie jesteś notariuszem. *Notary public* jest mianowany przez prezydenta państwa, to człowiek zaufania publicznego. Więc ludzie mogli przychodzić do mojego ojca, żeby sporządzić testament, załatwić przeniesienia ziemi i tym podobne rzeczy – wszystko, czym w Polsce zajmuje się notariusz. I to jest funkcja dożywotnia, można ją sprawować do końca swoich dni, czyli jest możliwość, żeby dorobić sobie do emerytury. Ale mój ojciec nigdy nie brał od ludzi pieniędzy. A mama na niego nie naciskała. Pogrzeb Josepha Scotta – który odbył się 18 listopada, dwa dni po jego śmierci – to był największy pogrzeb w historii tego miasta. Do dziś wszyscy pamiętają tam mojego ojca. Ma nawet swój pomnik – jest osiedle nowych domów, które nazywa się Scottsburg Housing Scheme. On był inicjatorem jego budowy, powstawało dzięki *self-help*.

Ale wracając do wspomnianej przez Ciebie sytuacji, faktycznie ktoś z workiem pieniędzy przyszedł do Waszego domu? Tak. Ojciec chciał wzywać policję.

Co chciał za te pieniądze załatwić?

Jakąś sprawę związaną z przeniesieniem ziemi. Facet miał problemy, nie mógł się dogadać z rodziną. Wystarczyłby mu papier od skorumpowanego notariusza, że dom należy do niego i komornik może działać, może tę drugą osobę wyrzucić na bruk. Pamiętam doskonale ten dzień. Ojciec ryknął do niego: „Jak ty

śmiesz?! Przychodzisz do mojego domu i chcesz mnie przekupić?! *Out! Get out! I'll call the Police on you!*".

Jesteś podobny do niego?

Bardzo. Jestem jego żywym obrazem. Mama mówi mi czasem: „*You resemble your father*”. Wyglądam tak jak on. Mówię jak on, śmieję się jak on.

Brakuje ci go?

Tak. Dwa lata temu, gdy były siedemdziesiąte piąte urodziny mojej mamy, które organizowałem jako niespodziankę dla niej, bardzo się rozkleiłem z tęsknoty za tatą. Przyjechałem do Gujany, była tylko najbliższa rodzina, ja, rodzeństwo i moja mama chrzestna. Jak dawniej. I nagle spojrzałem na nich wszystkich i się rozplakałem. Dotarło do mnie, jak dużo straciłem. Te lata życia w Polsce sprawiły, że nie widziałem śmierci mojego ojca, nie widziałem też, jak oni się starzeją: mama, rodzeństwo, ciotki. Pamiętałem ich z dzieciństwa, z młodości. Pamiętałem mocnego ojca i młodą mamę. A te lata potem zostały mi odebrane.

Sam je sobie odebrałeś, podejmując taką decyzję.

Wiem. To była moja decyzja, której staram się nie żałować. Ale i tak mam prawo czuć żal. Gdy przyjechałem na pogrzeb taty, widziałem go w trumnie tylko przez chwilę. Kiedy moi bracia chcieli, żebyśmy poszli do kostnicy, odmówiłem. Powiedziałem, że mój ojciec nie jest kawałkiem mięsa. Nie chcę go takiego widzieć, wolę pamiętać go takiego, jaki był wcześniej. Ale teraz czasami gryzie mnie to, myślę sobie, że może trzeba było jednak na niego spojrzeć, chociaż ostatni raz. Bo wszystkie jego zdjęcia, które mam, to są zdjęcia silnego faceta.

Zawsze chciałem być taki jak on. Wychował nas i mówił: „Daję wam jedno: możliwość zdobycia edukacji. Zawsze można

zabrać człowiekowi wszystkie rzeczy materialne, które ma, ale nie zabierze się mu tego, co ma tu, w głowie. Daję wam coś, co będziecie mieli przez całe życie, a czego ja nigdy nie miałem”. I mój ojciec, który nie miał wyższych studiów i żył z mamą, która nigdy nawet nie poszła do *high school*, doczekał momentu, kiedy wszyscy jego synowie zdobyli wyższe wykształcenie. To jest ewenement, naprawdę. Szkoda, że tata nigdy nie odwiedził mnie w Polsce i nie widział, że mi tu wyszło. Ale i tak był dumny.

A ty jesteś z siebie dumny?

Jestem. Ale ta duma przeplata się z tęsknotą, ze smutkiem. Wielu ludzi uważa, że imigranci przez sam fakt, że żyją w bogatszym kraju, że im wyszło, są całkowicie szczęśliwi. Że niczego im już nie brakuje. Ale rzeczy materialne to nie wszystko. Są jeszcze sprawy duchowe, relacje między ludźmi... Wiesz, dlaczego kocham Polskę? Dlatego, że poznałem tu fantastycznych ludzi, którzy spowodowali, że ci źli ludzie, którzy niszczą ten kraj i nie chcą mnie tutaj, nie mogą mi zrobić nic złego. Bo nie mam z nimi do czynienia.

Jak patrzysz na swoje życie, co byś w nim zmienił? Oprócz decyzji o przejściu z RMF-u do TVN-u?

Chyba nic bym nie zmienił. Cieszę się, że wyjechałem z Gujany. Mam wrażenie, że w Gujanie od czasu mojego wyjazdu niewiele się zmieniło – nawet nie mam na myśli kwestii materialnych, a cywilizacyjne. Cywilizacyjnie wciąż jesteśmy w tym samym miejscu. Jesteśmy małym krajem, nic nieznaczącym dla takich mocarstw jak Stany Zjednoczone. Już nie mieszam się w gujańską politykę. Uważam, że nie mam prawa, skoro mieszkam w Polsce i w Polsce płacę podatki. Napisałem nawet do moich kolegów, którzy z Gujany wyjechali, że nie powinni być „politikami na uchodźstwie”. Nie może być tak, że żyją daleko od

Gujany, jest im łatwiej, jedzą trzy dobre posiłki dziennie, ale uważają, że wiedzą, co jest lepsze dla Gujańczyków. Chcesz, żeby Gujana była lepsza? To wracaj tam i żyj z tymi, którzy na co dzień walczą o swój byt. To tak jak Polacy, którzy mają papiery w Stanach, a jednak głosują też w Polsce. To jest oszustwo. Jak można być jedną nogą tu, a drugą gdzie indziej?

Żyję w Polsce i mam prawo wkurzać się tylko na politykę polską. Bo jestem Polakiem. Nikt mi nie powie, że nie jestem. Mam na to papier. Obywatelstwo.

W którym roku dostałeś ten papier?

W 1997.

Dosyć szybko. Po dwunastu latach od przyjazdu.

Tak. I wiesz, z czego jestem dumny? Że nie dostałem obywatelstwa, jak wielu obcokrajowców, bo ożeniłem się z Polką. Dostałem, bo jestem „zasłużony dla polskiej kultury”. Czy komukolwiek się to podoba, czy nie. Moją pierwszą nagrodę otrzymałem od Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego w 1991 albo 1992 roku, kiedy kopalnia soli w Wieliczce była zagrożona zalaniem i zniszczeniem. Pojawiły się pęknięcia i do kopalni zaczynała wlewać się woda. Codziennie z Pawłem Pawlikiem relacjonowaliśmy dla całej Polski, co się dzieje z Wieliczką. Miejscem związanym z polskim dziedzictwem, polską kulturą. I za to otrzymałem medal.

Przyznanie obywatelstwa to był dla ciebie szczególny dzień?

Tak. Przede wszystkim byłem dumny, że nie dostałem go dlatego, że poprosiłem, tylko dlatego, że państwo doszło do wniosku, że jestem wartością nie tylko dla Gujany, ale i dla Polski. Że jestem ich człowiekiem. I ja polski paszport noszę z dumą. W wielu miejscach na świecie opowiadam o Polsce.

Co na przykład?

Czasem muszę prostować pewne zdania na temat Polaków, które mają ludzie za granicą. Mówię, że to, co słyszeli, dotyczy tylko małej grupy Polaków. Polacy nie są tacy, bo znam na przykład Marysię Mazurek, Urszulę Stefańską i dziesiątki innych osób.

Otrzymanie obywatelstwa to był dla mnie wielki dzień. I wtedy zdecydowałem – z własnej, nieprzymuszonej woli – że nie będę wznawiać paszportu gujańskiego. Podróżuję na polski paszport. Choć była taka chwila, że było to zagrożone... Zdawało się, że mogę jednak tego dokumentu nie otrzymać.

Dlaczego?

Bo polskie prawo stanowi, że obcokrajowiec przyjmujący polskie obywatelstwo musi zrezygnować z obywatelstwa swojego rodzinnego kraju. Pani urzędniczka zauważyła w moim podaniu, w którym wyjaśniałem, dlaczego chcę przyjąć obywatelstwo – bo musiałem to umotywić, mimo że nie ja o nie zabiegałem – że nie zamierzam oddać obywatelstwa gujańskiego. Napisałem, że jeśli chcą mi dać polskie obywatelstwo, to nie mogą zarazem wymagać, żebym zrezygnował z czegoś, co jest moim państwem i zawsze będzie sentymentalnym, emocjonalnym miejscem, gdzie się urodziłem, gdzie mój ojciec jest pochowany, gdzie moi przodkowie wylewali krew jako niewolnicy. Nie wymaga się tego od innych, nie wymagajcie więc tego również ode mnie.

I wywalczyłeś to? Masz teraz podwójne obywatelstwo?

Tak. Sam prezydent Polski musiał na to wyrazić zgodę.

Wtedy był Kwaśniewski?

Tak. Ale proces zaczął się od Wałęsy. Kwaśniewski go tylko zakończył. Dziś mówię z dumą o tym, że jestem Polakiem. Ale i nie wstydzę się swojego pochodzenia. Z natury postrzegam

pochodzenie, rasę jako powód do dumy. Uważam, że mam misję: pokazać innym, że jest dużo zalet bycia Murzynem. Bo w polskiej kulturze samo słowo „Murzyn” ma konotacje negatywne: traktować jak Murzyna, być sto lat za Murzynami i tak dalej. Więc kiedy rodzice pokazują mnie na ulicy dziecku, które jeszcze nigdy nie widziało Murzyna, to nie dlatego, żeby pokazać, że to ktoś z fajnej rasy. Robią to, żeby pokazać, że to są te „gorsze murzyny”. Uważam, że przez te lata pracy w mediach dorzuciłem swoją cegiełkę, żeby to zmienić. Że odjąłem z tego słowa, choć trochę, negatywne skojarzenia. Staralem się odebrać ludziom możliwości obrażania mnie przez używanie słowa „Murzyn”. Teraz muszą coś innego znaleźć, by mnie obrazić. Na złość mówiłem na przykład w radiu: „Jako Murzyn uważam, że...”. Na ich zarzuty prawie nie reagowałem, zadawałem tylko pytanie. A w jaki sposób mamy wyrwać się z sytuacji, w której jedyne słowo w języku polskim, dokładnie określające, kim jesteśmy, ma negatywny wydźwięk? Tylko przez powtarzanie go! Więc gdy ktoś mówił o mnie „czarnoskóry”, pytałem: „Gdzie mam tę czarną skórę? Mam brązową. Jestem Murzynem. Jakim prawem odbierasz mi możliwości przyznania się do mojego pochodzenia?”. **JESTEM MURZYNEM.**

Przez długi czas byłeś nawet naczelnym Murzynem w Polsce. Cieszę się, bo pokazałem, że Murzyn też może osiągnąć sukces. Mimo koloru skóry, przeszkód językowych, problemów imigrantów. Tak, czuję dumę, że osiągnąłem sukces. Nie odbiła mi palma, mam prawo być zadowolony ze swojego życia.



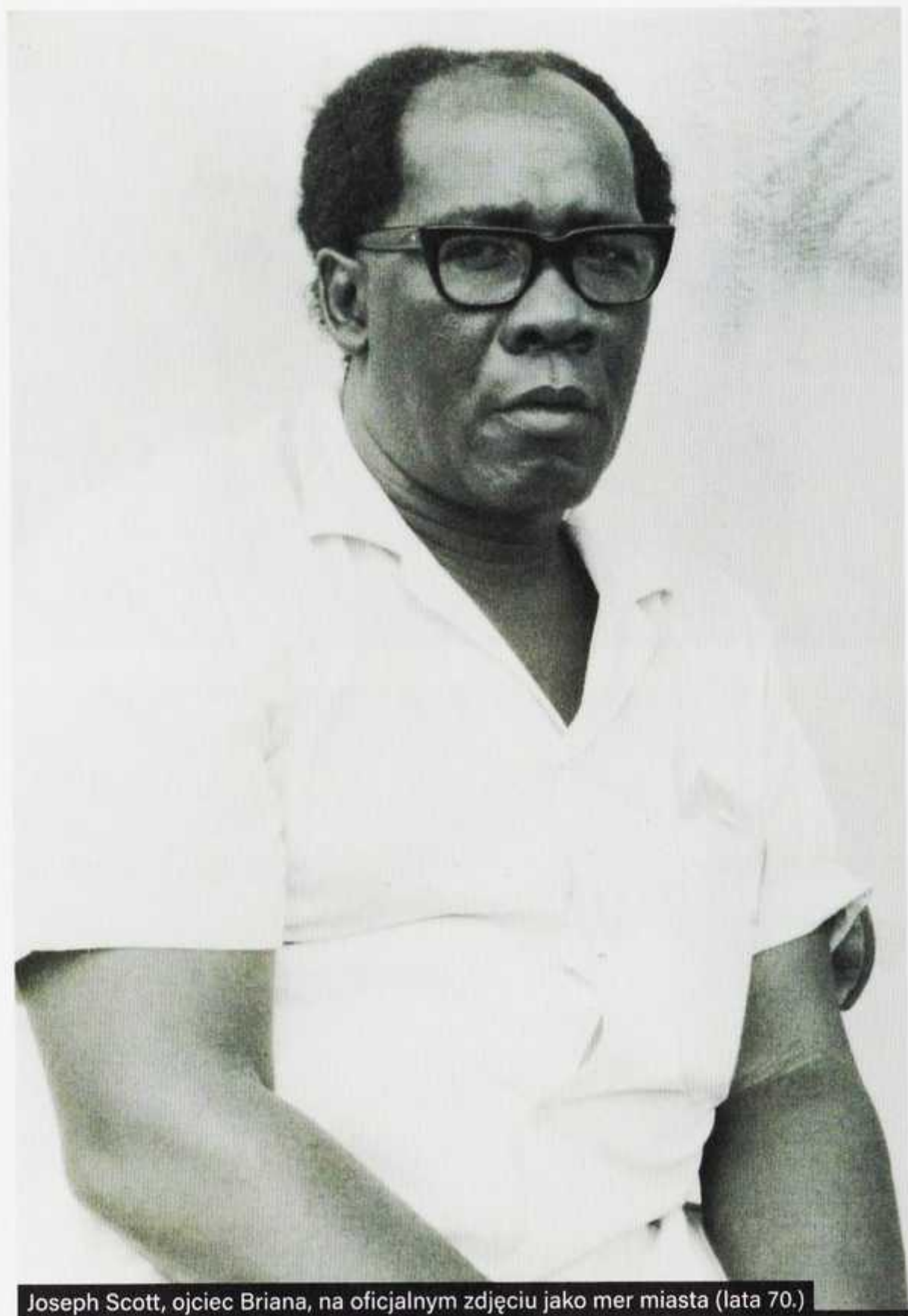
Brian w towarzystwie rodziców, Josepha i Uny, oraz rodzeństwa (od lewej: Hazel, Michael, Randolph, u dołu: Floyd i Brian; ok. 1964)



Dziesiąte urodziny Briana. Gości poczęstowano tortem w kształcie domu. Obok Briana stoi jego najlepszy przyjaciel (1970).



Brian ok. 1966



Joseph Scott, ojciec Briana, na oficjalnym zdjęciu jako mer miasta (lata 70.)



Brian składa przysięgę jako młody radny (1978).



Budowa osiedla Scottsburg Housing Scheme, stworzonego przez kooperatywę powstałą z inicjatywy Josepha Scotta (lata 70.)



Dom rodzinny Briana. W oknie stoi jego mama (2008).



Enklawa brytyjskich kolonizatorów (2008)



Brian z Grażyną Bekier w studio RMF FM (fot. M. Curzydło, Archiwum 25-lecia RMF FM)



Brian z Pawłem Pawlikiem na dachu pierwszego wozu transmisyjnego RMF FM w oczekiwaniu na wejście antenowe (Rynek Główny w Krakowie, 1992)

ARCYPREZYDENT ELEKT BRIAN SCOTT

ŻEBY WSZYSTKO
CO CZARNE
BYŁO BIAŁE
[...OPRÓCZ MNIE]

Brian Scott

Plakat jednej z akcji promocyjnych radia RMF FM
(fot. M. Curzydło, Archiwum 25-lecia RMF FM)

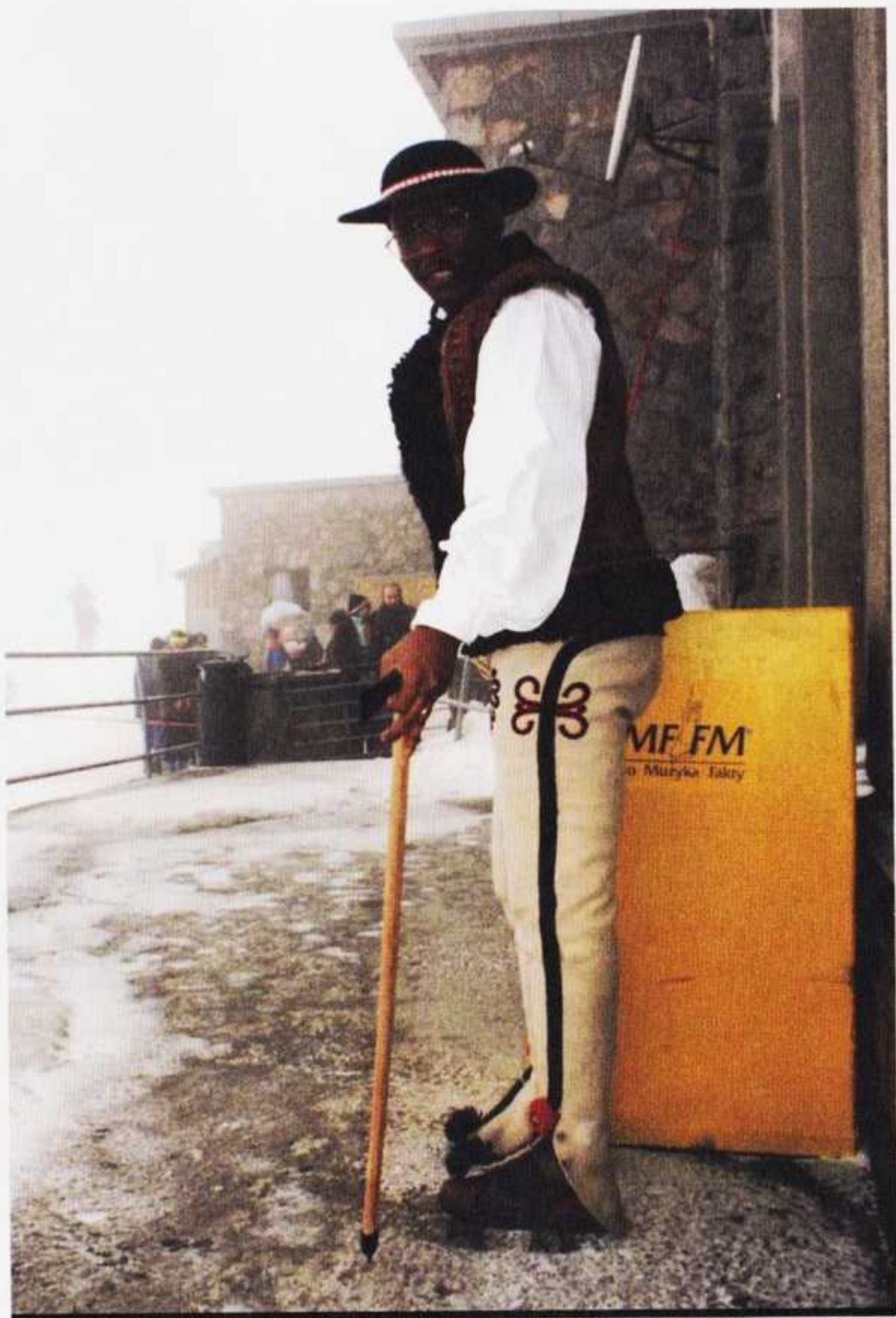
Foto: Marian Curzydło

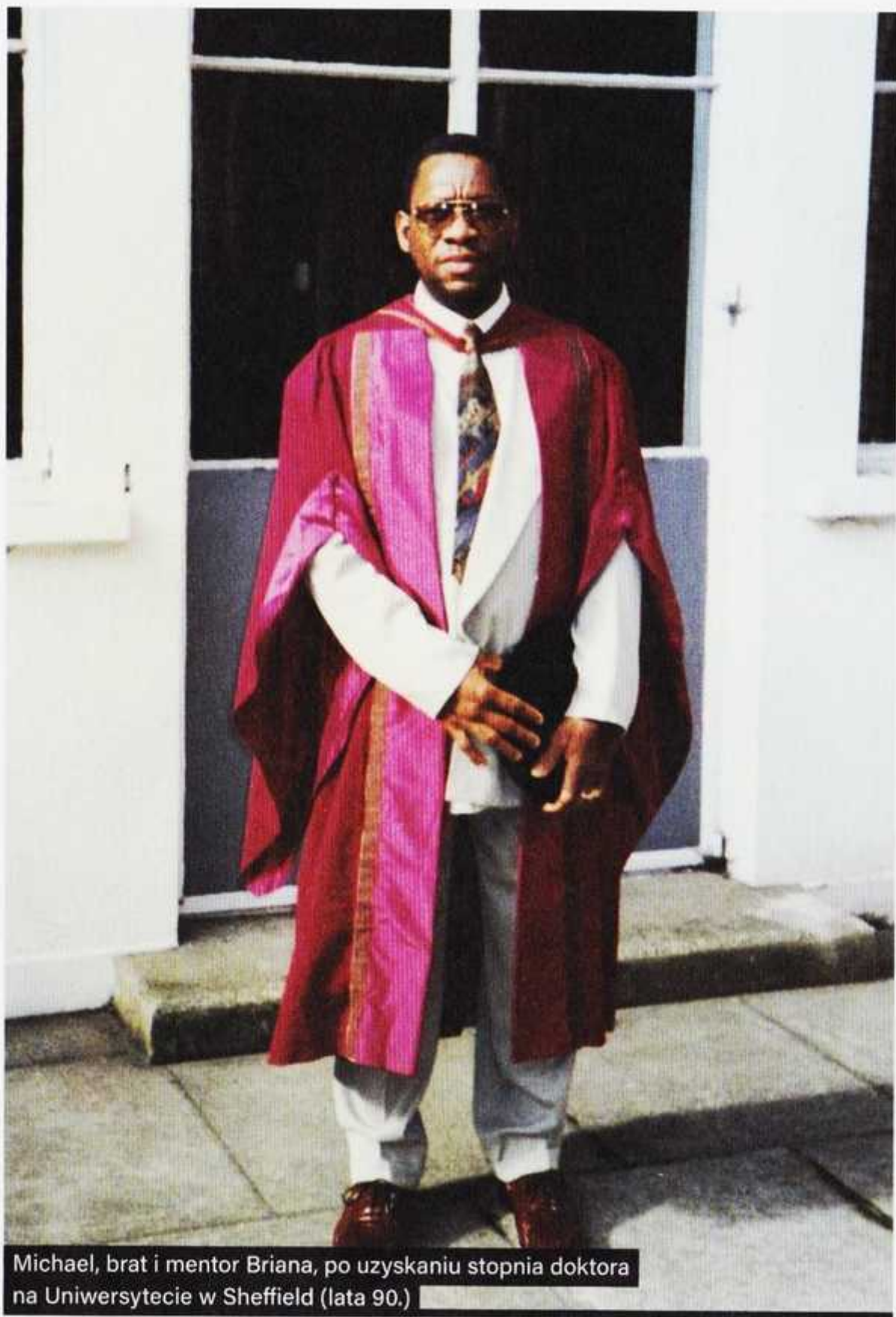


Brian jako arcyprezydent elekt (1992; Archiwum 25-lecia RMF FM)



Tu i na następnej stronie: na Kasprowym Wierchu podczas jednej z akcji promocyjnych RMF FM (lata 90.)

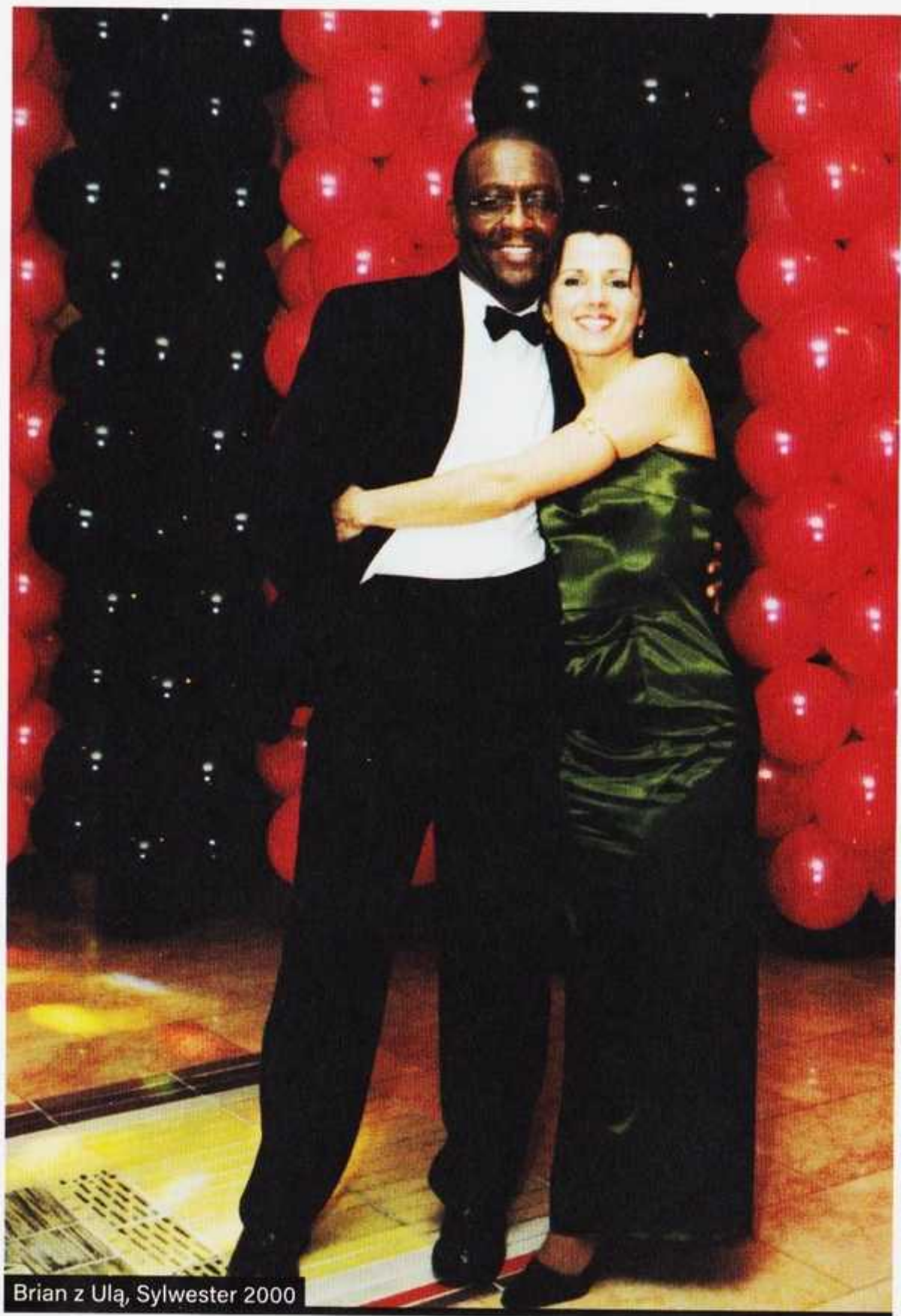




Michael, brat i mentor Briana, po uzyskaniu stopnia doktora na Uniwersytecie w Sheffield (lata 90.)



Brian w dniu nadania polskiego obywatelstwa w Urzędzie Wojewódzkim w Krakowie (1997)



Brian z Ulą, Sylwester 2000



Rodzinne wyjście do kościoła. Od lewej: Shurla, mama Briana, Brian, Ula i matka chrzestna Briana (2008)



Brian i Ula przed domem najbliższej sąsiadki i „cioci” Briana, Hinduski Shili (2008)



Sklepik z przekąskami w Gujanie (2008)



Na stoisku z lodami i zimnymi napojami na targu w Skeldon (2008)



Brian z członkiniami zespołu Jutrzenka w Bolesławcu podczas kręcenia jednego z odcinków *Etnicznych klimatów* (2008; fot. D. Pawelec)



Podczas nagrywania 60., jubileuszowego odcinka *Etnicznych klimatów*. Na krakowskim Kazimierzu spotkali się bohaterowie poprzednich odcinków programu (2007, fot. D. Pawelec).

Brian Scott urodził się w 1960 roku w Gujanie Brytyjskiej, małym, ale kolorowym kraju w Ameryce Południowej. Wśród zaledwie 800 tysięcy jego mieszkańców są Hindusi, Azjaci, Indianie, biali i Murzyni. Zanim w 1985 roku przyjechał do Europy, w swojej ojczyźnie zajmował się polityką.



Do Polski przyleciał, aby studiować. W planach miał kierunek techniczny, ale ostatecznie trafił na dziennikarstwo. Mimo że początkowo nie znał ani słowa po polsku, szybko opanował język i okazał się dobrym studentem. Na początku lat 90. został pracownikiem nowo powstałego radia RMF FM. Był nie tylko pierwszym Murzynem, ale i pierwszym obcokrajowcem, który zrobił karierę w polskich mediach. Szybko stał się jednym z najbardziej popularnych dziennikarzy w naszym kraju.

W 1997 roku przeszedł do stacji TVN, gdzie prowadził kilka programów rozrywkowych. Przez wiele lat współtworzył program TVP *Etniczne klimaty*, poświęcony mniejszościom narodowym i etnicznym w Polsce. Ostatnio jest głównie nauczycielem – uczy angielskiego w jednej z krakowskich szkół. Mąż Urszuli.